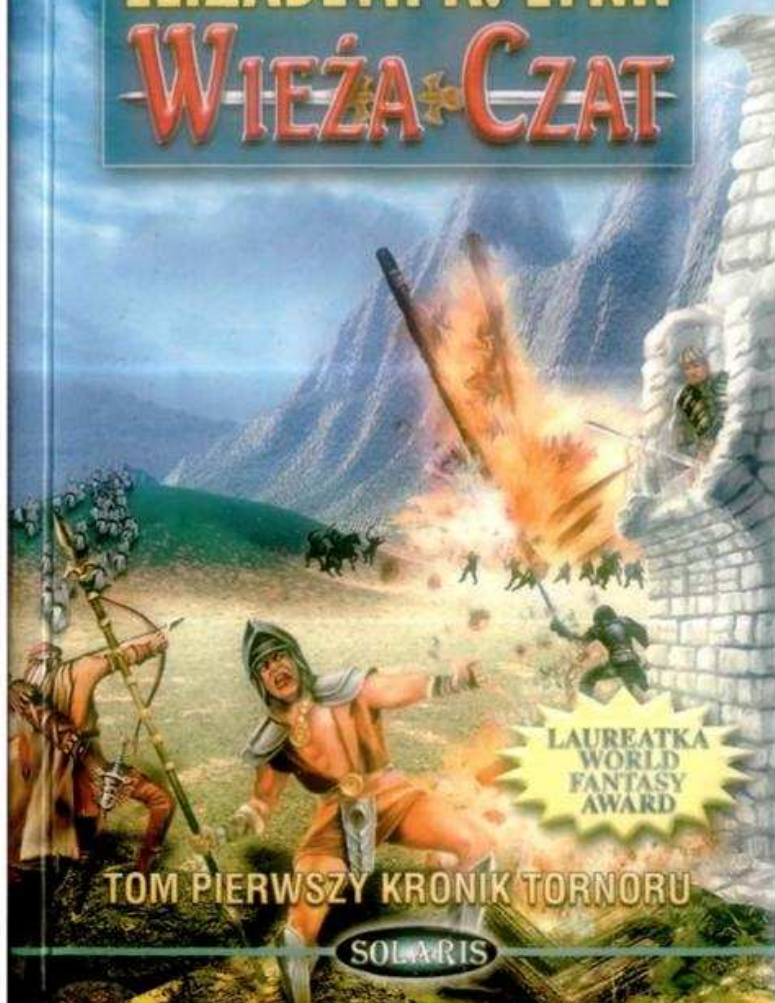


FANTASY

ELIZABETH A. LYNN

WIEŻA CZAT



LAUREATKA  
WORLD  
FANTASY  
AWARD

TOM PIERWSZY KRONIK TORNORU

SOLARIS

**KRONIKI TORNORU  
TO POZYCJA  
Z ŻELAZNEGO KANONU FANTASY  
ANDRZEJA SAPKOWSKIEGO**

*Tornor, Podchmurna Twierdza, Zilia i Pel to bastiony strzegące krainę Arun przed napaściami barbarzyńców z Anhardu za północnymi górami. Tymczasem pojawia się charakterystyczny przywódca z południa – Kol, który zdobywa kolejne twierdze dzięki licznej przewadze i okrucieństwu.*

*Syn księcia podbitego Tornoru jest zmuszony służyć mu jako błazen, na szczęście ma wiernego sługę Ryko'a, z którego pomocą ucieka z niewoli. Na wygnaniu poznaje legendarnych tancerzy Arun, których wciąga w swój plan odbicia twierdzy i odzyskania dziedzictwa. Ale spotkanie tancerzy całkiem odmieni jego widzenie świata.*

**Kolejne tomy noszą tytuły:  
TANCERZE Z ARUNU  
DZIEWCZYNA Z PÓŁNOCY**



ISBN 83-88431-75-7

cena: 29.90 zł

Patronat medialny:



**ELIZABETH A. LYNN**

**WIEŻA CZAT**

Przełożył  
Dariusz Kopociński

**SOLARIS**  
Olsztyn 2003

Tytuł oryg. „Watchtower”

Copyright © 1979 by Elizabeth A. Lyrin  
All Rights Reserved  
Copyright © 2003 for Polish translation by  
Dariusz Kopociński

ISBN 83-88431-75-7

Projekt graficzny serii Tomasz Wencek  
Projekt i opracowanie graficzne okładki  
Jacek Najdora  
Redaktor serii Wojtek Sedeńko  
Korekta Bożena Mołdoch Skład Tadeusz Meszko

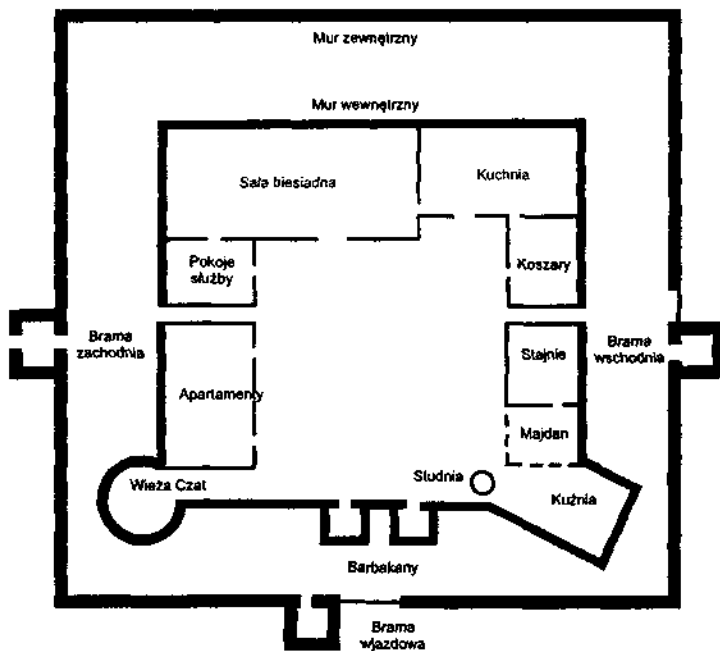
Wydanie I

Agencja „Solaris”  
Małgorzata Piasecka  
ul. Generała Okulickiego 9/1, 10-693 Olsztyn  
tel/fax. (0-89) 541-31-17  
e-mail: [agencja@solaris.net.pl](mailto:agencja@solaris.net.pl)  
[www.solaris.net.pl](http://www.solaris.net.pl)

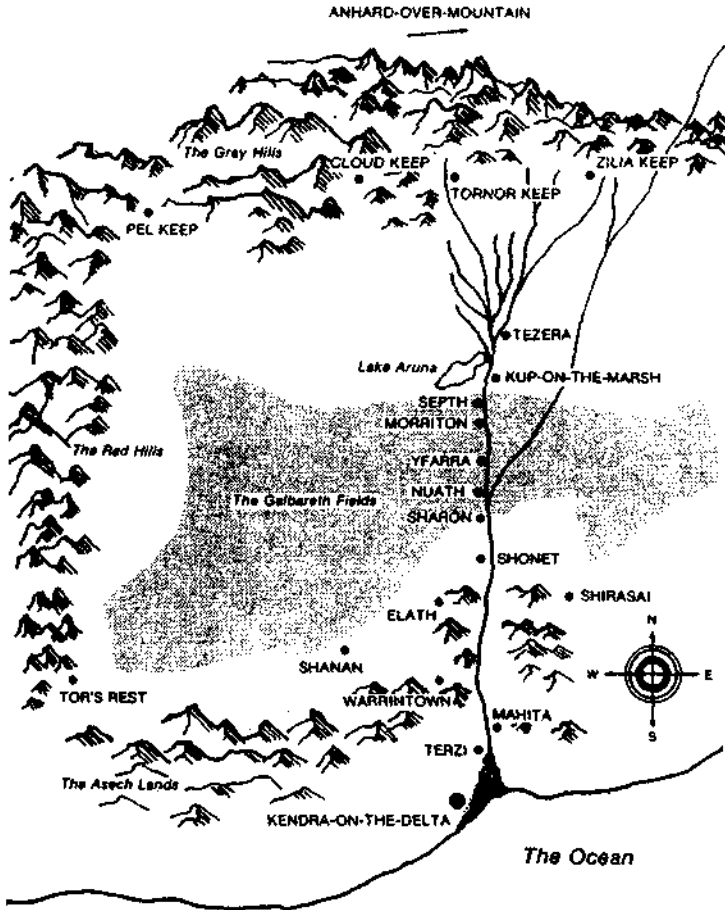
Kraina Arun jest wytworem fantazji. Między przedstawionymi tu ludźmi, zwyczajami i wydarzeniami a światem rzeczywistym zachodzi podobieństwo czysto przypadkowe, choć jest jeden wyjątek. Opisana tu sztuka cziri pod pewnymi względami przypomina aiki-do, wschodnią sztukę walki wręcz, stworzoną przez mistrza Moriheiego Ueshibę. Jest to zabieg celowy. Pisarze powinni pisać o tym, na czym się znają. Wdzięczna za otrzymaną wiedzę, autorka uprzejmie dziękuje swoim nauczycielom.

# TWIERDZA TORNOR

## TWIERDZA TORNOR



# KRAINA ARUN



# Rozdział 1

Ogień trawił zdobytą twierdzę Tornor.

Ryke miał okopconą twarz i skórę zdartą na nadgarstkach za sprawą łańcucha. Łupało go w skroniach. Gdy tak leżał na wewnętrznym dziedzińcu, nie odróżniał już wspomnień od majaków. Nad zewnętrznym murem, gdzie minierzy Kola Istora wysadzili fragment umocnień, dostrzegął kłęby dymu. Wyczuwało się silny swąd spalenizny. Z tyłu, w głównej sali zamku, syczały płomienie.

Śmierć poniósł Athor, pan pierdzy. Padając na ziemię, Ryke widział jego brodę, czerwoną od krwi z licznych ran. Półprzytomny z wysiłku, oczekiwał, że lada chwila mury zamczyńska zatrzesą się i rozsypią z hałasem... Nic podobnego się nie wydarzyło. Ściany stały na swoim miejscu, choć polegli wszyscy strażnicy dowodzeni przez Ryke'a. Zamarznięci na bezdusznym śniegu, spoczywali pod bramą, której bronili do ostatka. Ryke wyobrażał sobie, jak wiosną zjawiają się kobiety z wioski, żeby odkopać z roztopów ciała swych mężów i synów.

Kręciło mu się w głowie. Potoczył się po kamieniu, rozmyślając, ilu jego towarzyszy przeżyło i co Kol Istor zamierza z nimi zrobić... No i z nim. Pogodził się z tym, że zginie razem z żołnierzami. Wciąż przypuszczał, że nie ujdzie stąd z życiem. Nie pragnął śmierci, lecz trudno było rozbudzić w sobie chęć do życia, skoro odszedł Athor, została naruszona równowaga sił i uległ zburzeniu dotychczasowy porządek rzeczy. Zastanawiał się, czy Kol Istor zaciągnął go na dziedziniec i zakuł w kajdany, bo chciał wymierzyć mu przykładną karę. Pod policzkiem czuł szorstki kamień. Zadrżał. Gdzieś z wnętrza warowni zbudowanej na planie wielkiego prostokąta dobiegło gdakanie i głosy kobiet goniących za



kurami. Zima przyszła niedawno, przed dwoma tygodniami, więc nie przywykł jeszcze do chłódów. Tej nocy nareszcie przestał padać śnieg. Nie, pomyślał w otepieniu. To było dwa dni temu...

Mimo dreszczy niekiedy przysypiał. Po przebudzeniu spróbował odtoczyć się na bok. Ktoś kopnął go w żebra.

Podniósł wzrok. Doskonale widoczny na tle niebieskiego zimowego nieba, stał nad nim Kol Istor: czarne włosy, czarna broda, okrągła, ogorzała twarz człowieka z południa.

- Właśnie ugaszono pożar - oznajmił lekkim tonem, jakby gawędził z przyjacielem, a nie zakutym w łańcuchy i poniżonym wrogiem. - Te barany wołały podpalić kuchnię, niż się poddać. - Przykucnął. Nosił kolczugę i długi miecz. Jego żelazny hełm wyglądał na stary rondel. Śmierdział popiołem. - Ciepło ci?

- Lepiej się nie zbliżaj! - ostrzegł ktoś stojący za nim.

- Milcz! - Rosły, barczysty mężczyzna przewiercał Ryke'a swymi ciemnymi oczami, jakby pojmany dowódca straży był kozą przeznaczoną na ubój. - Dzielnie walczysz - powiedział. - Nie odniosłeś ciężkich ran, prawda? Nic oprócz porządnego guza. Padłeś ogłuszony i to cię ocaliło. Żadnej złamanej kości. Jesteś młody. Powiodło ci się lepiej niż twojemu panu.

Ryke usiadł powoli. Chętnie rzuciłby się na łotra, lecz tak osłabł, że nie zdołałby nawet zakotłosać ciężkimi żelaznymi kajdanami.

- Athor nie żyje.

Kol Istor zachichotał.

- Nie miałem na myśli starca, tylko młodego księcia.

- Errela? - Ryke zamrugał oczami. Dokuczliwy dym gryzł go w oczy. Od dwóch dni nie spał, głowa mu ciążyła. Zgarnął trochę śniegu i przetarł twarz, usiłując zebrać myśli. Errel, jedyny syn i dziedzic Athora, brał udział w łowach, kiedy przed pięcioma dniami pod zamkiem zjawił się Kol ze zbrojnym hufcem. Errel dotąd nie wrócił. Tak Athor, jak i dowódcy straży zakładali, że nic mu się nie stało, Również

Ryke pocieszał się tą nadzieją. - Nie dostaniecie go.

- Jest z nami. - Kol Istor wstał i dał sygnał swemu towarzyszowi. - Niech wstaje!

Mężczyzna zbliżył się i bezceremonialnie podźwignął Ryke'a grubymi łapskami. Oparty o mur, Ryke poczekał, aż nogi przestaną mu dygotać. Kol przyglądał mu się z niewielkim zainteresowaniem. Nie wyglądał na wybitnego wodza. W powszechnym mniemaniu wojna przychodziła tylko z północy. Tam, wśród skał, narodziła się wojna, którą później zahartowały kolejne starcia zbrojne. Chwilowo między Arunem a krajem położonym dalej na północ, Anhardem-zagórami, obowiązywało kruche zawieszenie broni. Athor z Tornoru, zawsze na baczności przed najeźdźcami z Anhardu, puszczał mimo uszu docierające do twierdzy pogłoski, powtarzane przez kupców z południa. Ci mówili o dowódcy najemników, który rósł w siłę w Galbareth, krainie spokojnych farm i złotych łańców zboża. A jednak ten człowiek wypowiedział wojnę zaprawionym w bojach żołnierzom Tornoru i zwyciężył.

- Bierzcie go! - zarządził Kol.

Przemierzyli dziedziniec i doszli do bramy. Ryke z trudnością poruszał się po śliskim śniegu. Chłodny wiatr pomógł mu otrząsnąć się z otępienia. W jasnych promieniach słońca żołnierze Kola przywracali porządek na zamku. Pod murem leżały w szeregu trupy. Wszyscy w bojowym rynsztunku oprócz jednego nieszczęśnika w skórzanym fartuchu kucharza. Z daleka nie dało się go rozpoznać...

Po drodze Ryke przewrócił się, a wtedy zaczęli, aż niezgrabnie się podnieśli, i ruszyli dalej.

Przeszli przez wartownię, pod żelaznymi kłami spuszczonej kraty. Strażnicy wyprężyli się na baczność. Kilku miało na sobie zagrabione ubrania z ognistym godłem zamku Zilia - najbardziej na wschód wysuniętej twierdzy, oddalonej od Tornoru o trzy dni jazdy konnej. Ryke nie wiedział, jaki los spotkał rodzinę Ocela, pana tamtych ziem. A była to duża rodzina. Prawdopodobnie wszyscy zginęli. Na zewnętrzny dziedzińcu roіło się od żołnierzy. Jeden nazbierał

pęk strzał. Trzymał je za brzechwy, psując ułożenie lotek. Południowcy nie znali się na strzelaniu z łuku. Ryke zastanawiał się, czy twierdza broniłaby się dłużej, gdyby mieli więcej strzał. Tutejsi rzemieślnicy wykonywali strzały tylko do łuków myśliwskich; w czasach zawieszenia broni przestawali się zajmować łukami bojowymi.

Doszedł do wniosku, że nic by im to nie dało.

Nad murami łopotały proporce Athora, z czerwoną ośmioramienną gwiazdą w białym polu. Na oczach Ryke'a mała ciemna postać wspięła się na maszt i odcięła proporzec. Odwrócił wzrok, czując na sobie baczne spojrzenie Kola. Kajdany na rękach tarły go boleśnie. Szli wzdłuż południowego muru. U stóp Wieży Czat pławiła się w słońcu psia zagródka: niewielkie ogrodzenie ze wspartym na balach płóciennym daszkiem. Athor zbudował ją dla wilczura; suka zamieszkała tu ze swoimi szczeniętami. Teraz zagroda była pusta.

Errel, przykryty brudnym kocem, leżał na upapranym odchodami bruku. Na sienie z zimna twarzy biegło przy ustach szerokie rozcięcie. Miał zamknięte oczy. Tylko miarowe ruchy klatki piersiowej świadczyły, że jeszcze żyje.

- Marnie wygląda - stwierdził mężczyzna, którego Ryke nie znał z imienia.

- Moi ludzie schwytali go na Zachodnim Gościńcu, jechał do Podchmurnej Twierdzy - odparł Kol. - Czterech ukatrupił strzałami z długiego łuku. Ale dostał za swoje.

Ryke najchętniej ukreśliłby mu szyję.

- Czego chcesz? - zapytał.

Kol Istor kołysał się w przód i w tył z radosnym uśmiechem. Nosił kaftan z tłoczonych skóry, a na niej kolczącą kamizelkę. Płócienne poły kaftana łopotały mu nad kolanami. Zbroja wyglądała na lekką i silną - po mistrzowsku wykonaną, jak wszystkie wyroby kowali z północy.

- Mogę go zabić - powiedział. - Mogę zrobić z niego pachofka albo świniarza. Jeśli zechcę, do końca życia będzie gnął w łańcuchach.

- Czego chcesz, bandyto?

Kompan Kola uderzył go na odlew w twarz. Ryke zatoczył się na ścianę. W głowie mu się zakręciło, ujrzał przed oczami dzikie błyski. Przewyciężył jednak mdłości i stanął równo na nogach.

- Starczy, Held! - Kol spojrział na niebo, gdy jego podkomendny odstał posłusznie. - Na razie ani chmurki. Spadną jeszcze śniegi?

Na początku rozmawiali o Errelu, a teraz o pogodzie. Absurdalna historia. - Co...?

- Odpowiadaj na pytanie! - warknął herszt. Położył lewą dłoń na pochwie miecza, bez porywczowości, lekko, jakby dotyk broni dawał mu ukojenie. Skórzana pochwa miała metalowe okucia. Sam miecz wykonano zapewne z najlepszej jakości tezerafskiej stali.

- Za pięć lub sześć dni. Prędziej, jeśli wiatr zawieje z zachodu.

- Moi żołnierze poszukają w wiosce furazu, ale nie chcę morzyć głodem chłopów. Jakie zapasy zgromadził Athor na zamku?

- Magazyny są pełne zboża i solonej wołowiny. - Ryke poczuł smak krwi, gdy dotknął językiem policzka. Held rozciął mu skórę. - Dla was może nie starczyć. Athor miał do wyżywienia dwieście ludzi z załogi i służbę. Was jest więcej. - Próbował mówić beznamiętnym głosem, lecz nie w pełni mu się to udało.

- Boli, prawda? - rzekł Kol. Na murach wieszano już jego chorągiew: czerwony miecz na czarnym tle. Held nosił to godło na prawej piersi. - Spójrz na mnie, Ryke.

Ryke popatrzył mu prosto w oczy. Ten człowiek umiał narzucać swą wolę.

- Od razu lepiej. W razie konieczności wojsko będzie jadło skromne racje. Dobrą tu macie wodę w rzece? - Miał na myśli Rurian, rzekę spływającą z gór na zachód od twierdzy. Biegła na południe wartkim nurtem, coraz szerszym korytem, w miarę jak wpadały do niej liczne potoki. Podobno uchodziła do morza. Zakręcając pod zamkiem, szemrała pod murami. Stanowiła główne źródło wody pitnej dla mieszkańców twierdzy.

- Z roztopionych śniegów. Krystalicznie czysta. Czemu pytasz?

- Chciałeś wiedzieć, czego chcę. Chcę ciebie. Znasz zamek, okoliczne wioski, tutejszą pogodę, ukształtowanie terenu. Chcę cię przyjąć do służby. W zamian za twą lojalność, daruję życie temu ot księciuniowi.

- Obaj spojrzeli na Errela poprzez pręty drewnianego ogrodzenia.

Ryke starał się odgadnąć, co na jego miejscu zrobiłby Athor. On wszakże leżał trupem i zamilkł na wieki.

- Założmy, że się nie zgodzę...

- To sobie popatrzysz, jak Held wyłamuje mu ręce - odrzekł Kol Istor z uśmiechem.

Powiedział to zdawkowym tonem, lecz na tyle głośno, że Errel musiałby go usłyszeć, gdyby był przytomny. Książę nawet nie drgnął. Ryke obserwował jego unoszącą się pierś. Zapewne i jemu oberwało się w głowę. Od tego człowiek mógł umrzeć. Tak samo jak z zimna.

- Ilu masz dowódców straży?

- Trzech.

- Niechaj będzie czterech.

Kol skubał brodę w zamyśleniu.

- Czterech... - powtórzył wolno.

Held poruszył się obok, lecz nie zabrał głosu.

- Wyciągnij Errela z zagrody - powiedział Ryke.

Kol dał znak Heldowi. Żołnierz odemknął zamek.

Chwyciwszy więźnia za nogi, wywłókł na zewnątrz jego długie ciało. Ryke przyklęknął na kolano. Omal przy tym nie upadł; opanował się jednak i wyciągnął ręce. Kilku czarnobrodych, zaintrygowanych żołnierzy przystanęło opodal, aby się temu przyjrzeć. Kol pochylił się i chwycił ręce Ryke'a. Ten zwilżył wargi językiem. Nie zamierzał składać tej samej przysięgi, którą w wieku piętnastu lat złożył przed prawowitym panem Tornoru.

- Ślubuję wiernie ci służyć, póki Errel będzie żył w zdrowiu i spokoju.

Tyle wystarczyło. Kol cofnął się i pozwolił mu wstać.

- Dobrze - powiedział. Odwrócił się do Helda. - Niech go zanosą do medyka.

Held przywołał dwóch stojących w pobliżu żołnierzy. Gdy podeszli, jeden ujął Errela pod pachy, drugi chwycił jego bezwładne nogi.

- Rozkażesz Gamowi i Onranowi wybrać skład czwartej straży - rzekł Kol Istor. - I pomożesz im. Nie zareagował, gdy Held kiwnął głową z wyraźną niechęcią. Popatrzył na Ryke'a. - Pójdziesz ze mną. Kował cię rozkuje.

\*\*\*

Kiedy Ryke wyszedł z kuźni, Kol już na niego czekał. Wolnym krokiem ruszyli w stronę koszar. Pierwszy odezwał się Kol:

- Twoja straż nie różni się od innych. Teraz każda będzie liczyć niespełna sto osób.

- Jak duży był twój hufiec?

- Pięciuset żołnierzy. Pół setki zostawiłem do obsadzenia twierdzy Zilia, drugie pół setki straciłem w bitwie.

Ryke ucieszył się niepomiernie, słysząc, że zdobycie Tornoru kosztowało Kola aż pięćdziesięciu ludzi. Teraz jednak musiał zachowywać tego rodzaju myśli dla siebie, służył wszak Kolowi.

- Dzisiaj na kolacji ogłoszę nowy rozkład zajęć - ciągnął Istor. - Postarasz się, żeby ludzie nie gnuśnieli i byli zdadni do boju. Za miesiąc, może dwa, kiedy zima popuści, oblegniemy wojskiem Podchmurną Twierdzę. Długo się nie ostoï, gdy przypuścimy szturm.

Podchmurną Twierdzą dowodził Berent Jednooki. Oko stracił dziewięć lat temu, podczas ostatniej z wojen toczonych z Anhardem, gdy dostał w twarz kamieniem wyrzuconym spod kopyt biegnącego konia. Ryke zastanawiał się, od kogo Kol się dowiedział, że Podchmurną Twierdza jest słaba. Może wśród żołnierzy ma zdrajców z północy, którzy donoszą mu o takich sprawach? Ta myśl napawała go wstrętem.

- Po Podchmurnej Twierdzy przyjdzie kolej na twierdzę Pel? - zapytał.

- Owszem. Z nią pójdzie nam najtrudniej. Trudniej niż z Tornorem. Sironen ma głowę na karku. Przygotuje się na moje nadejście.

Mijali majdan. Nie zważając na śnieg, ludzie zaprawiali się tam w używaniu noża, miecza i topora. Teraz wszyscy należeli do Kola. Warownie nad górskimi przełęczami, jak każda większa wioska czy miasto od źródeł Rurianu aż po Kendrę w delcie rzeki, miały swój majdan. Po ukończeniu trzynastego roku życia chłopcy codziennie przechodzili przez furtę na ćwiczenia. Bez tych szkoleń Arun już dawno uległby Anhardowi. Ryke słyszał pogłoski, że odkąd ogłoszono zawieszenie broni, na południu kraju rygor ćwiczeń został znacznie złagodzony. Chłopstwo szybko zapomniało o gotowości do wojny, skoro twierdze brały na siebie główny ciężar walki.

Zwolnili kroku, by popatrzeć na ludzi pochłoniętych ćwiczeniami. Niegdyś każdym takim placem dowodził mistrz majdanu: człowiek o niekwestionowanym wojennym autorytecie, który uczył chłopców i nadzorował przebieg zajęć. W Tornorze odstąpiono od tego zwyczaju. Kol powiodł wzrokiem po podwórku. Nic nie umknęło jego bystrym oczom. Najbliżej walczyli dwaj mężczyźni z drewnianymi mieczami.

- Ma słabą zasłonę - mruknął Kol i obsztorcował winowajcę, który nie odwracając się, uniósł wyżej tarczę.

Kol odwrócił się do Ryke'a.

- Sam ją zrobiłem.

- Byłeś kowalem?

- Z dziada pradziada. Mieszkalem w wiosce Iste. Może o niej słyszałeś? - Gdy Ryke potrząsnął przecząco głową, podjął: - Maleńkie sióło nad jeziorem Aruna przy Wielkim Południowym Gościńcu. Nieraz patrzyłem, jak dowódcy twierdz gnają tamtędy w stronę gór lub Kendry. Pragnąłem się do nich przyłączyć, zazdrościłem jeźdźcom, którzy wyruszyli na wyprawy. Dlatego też przybrałem takie, a nie inne imię. Oprócz niego zabrałem tylko topór wojenny, gdy

opuszczałem dom rodzinny. - Zatknał kciuki za pas. - Możesz mieć kłopoty z żołnierzami. Jesteś z północy i do niedawna byłeś naszym wrogiem. Rób, co uważasz za stosowne, bylebyś trzymał ich w ryzach - dodał tonem, jakby chciał jeszcze powiedzieć: A ja będę pilnie śledził twe postępy. Ruszył ku masywnym kamiennym koszarom. - Zapewne siedzą wszyscy w kupie.

Ryke, który dziesięć lat mieszkał na tym zamku i znał tu każdą szczelinę w murze, podążył za nim posłusznie.

Setka żołnierzy zgromadziła się w południowo-zachodnim kącie koszar, gdzie było najchłodniej; kominy kuchni znajdowały się w przeciwnej części pomieszczenia. Wstali, gdy ich dowódca wszedł do środka. W powietrzu unosił się dochodzący z kuchni zapach pieczonego. Ryke przełknął ślinkę. Czuł się nieswojo. Jasnowłosa, jasnoskóry, wyższy od reszty, rzucał się w oczy jak lis na śniegu. Skupił na sobie baczne spojrzenia. Zastanawiał się, co Held im naopowiadał.

- Oto Ryke, jeden z poprzednich komendantów twierdzy. Będzie teraz dowódcą waszej straży. Ma te same uprawnienia co inni dowódcy. - Zakołysał się, wodząc wzrokiem po twarzach milczących wojaków. - Zrozumiano? - Odpowiedział mu zgodny chór pomruków. - To wszystko. - Odwrócił się ku schodom. Odchodząc, posłał Ryke'owi łotrowski uśmiech.

Dowódca straży skrzyżował ręce na piersi. Pozostali czekali, aż przemówi. Promienie słońca błąkały się po spłowiałych draperiach. Sceny bitewne, przybrudzone tłustym dymem świec zatkniętych w kinkietach, były już prawie niewidoczne. Na najbliższym malowidle wojownicy mierzyli z łuków do jeźdźców z Anhardu. Dało się zauważyć rozcięcie w miejscu, gdzie w pijackim odurzeniu chlasnął mieczem jeden z żołnierzy załogi zamku. Czubate hełmy przykrywały blade, rozmyte twarze. Ryke ogarnął spojrzeniem żywych żołnierzy, którzy stali obok swoich malowanych druhów. Dopiero co byli jego wrogami... Wśród ogorzałych twarzy wypatrzył kilku ludzi z północy. Nie znał ich z



widzenia, musieli zatem pochodzić z twierdzy Zilia. Kol wcielił ich do swej służby groźbą lub obietnicą. Niewątpliwie to jeden z nich doniósł mu, kim jest Ryke.

Ruszył przejściem między pryzcami, aż doszedł na sam środek sali.

- Tu będę spać. - Zrzucił na podłogę ryszstunek leżący na posłaniu. Z szeregu wystąpił długoreki rudzielec.

- Jak się nazywasz? - spytał go Ryke. Zapewne miał przed sobą samozwańczego przywódcę grupy.

- Vargo - odrzekł zapytany. Twarz i wierzch dłoni pokrywały mu piegi. Na lewym biodrze wisiała pusta pochwa na topór. Popatrzył na Ryke'a twardym wzrokiem.

- Zająłeś moje miejsce.

Ryke wskazał mu sąsiednią pryzcę.

- Mylisz się. Tam jest twoje. Mianuję cię zastępcą dowódcy.

Widzący to żołnierze mruczeli z ciekawością i zaskoczeniem. Vargo zwilżył usta, najwyraźniej speszony, gdy tak znieacka odebrano mu powód do bójki.

- Przy kolacji Kol oznajmi wam nowy rozkład zajęć. Przedtem stawicie się tu wszyscy na przegląd broni. Macie całe popołudnie, żeby wyczyścić ryszstunek. Spróbuję zdobyć trochę więcej koców. Vargo, ty zostaniesz. Reszta może się rozejść. - Stopniowo znikali za drzwiami lub porozsiadali się w grupkach, zajęci rozmową. Ryke usiadł na pryzcy. Vargo poszedł w jego ślady. - Znasz tych ludzi. Powiedz mi, którzy są wałkoniami, a którzy sprawiają kłopoty.

Przed wieczerzą Ryke rozkazał ludziom ustawić się w rzędzie na dziedzińcu obok koszar. Kucharki spozierały z zaciekawieniem przez okna. Strażnicy z wewnętrznej wartowni obracali na nich oczy. Ryke przechadzał się wolno wzdłuż szeregu, sprawdzając broń i zaglądając w twarze. Jeden z żołnierzy garbił się; miał zabrudzone rzemienie i niewyczyszczoną rękojeść miecza. Nazywał się Efrem. Vargo uprzedził Ryke'a, że może się on buntować. Gapił się hardo na Ryke'a. Miał ciemne oczy i szerokie bary - posturę byka.

- Byłeś w koszarach - rzekł Ryke. - Słyszałeś rozkaz.

Mężczyzna rozejrzał się na boki.

- Miałem co innego na głowie. - Zachowywał się w sposób wybitnie wyzywający.

Ryke cofnął się o krok. Efrem odprężył się i opuścił ramiona. Ryke okręcił się na pięcie i z lewej strony trzasnął go w szczękę. Pod rękawicą ścisnął gładki metalowy sworznię, który wyniósł z kuźni. Głowa Efrema poleciała do tyłu. Zatoczył się wstecz i grzmotnął bezwładnie, jak worek zboża, na zimny bruk dziedzińca.

Ryke wrócił do oględzin. Gdy zakończył przegląd, Efrem leżał jeszcze nieprzytomny.

- Ty i ty! - Ryke wywołał dwóch przypadkowych żołnierzy. - Połóżcie go na łóżku. - Wskazani przyskoczyli do rannego i znieśli go z placu. Kucharki szydziły z pobitego mężczyzny reszta stała spokojnie. Ryke odczekał dobrą chwilę, próbując zgłębić uczucia ludzi, podobnie jak jeździec wczuwa się w temperament ujeżdżanego konia. Kilku patrzyło na Efrema, którego dźwigano do koszar. W końcu jednak wszyscy skupili uwagę na Ryke'u. Nastąpiła cisza. Gdzieś w obrębie murów samotnie zaszczekał pies. Może jeden z wilczurów Athora, który na próżno szukał swego pana? - Rozejść się! - nakazał.

\*\*\*

Kol jeszcze przed posiłkiem ogłosił kolejność straży.

Ryke zasiadł do wieczerzy razem z Kolem i pozostałymi dowódcami. Ich stół znajdował się opodal miejsca, obecnie pustego, gdzie dawniej wisiała chorągiew wojenna Athora. Żołnierze siedzieli przy trzech długich stołach, które odchodziły od stołu dowódców niczym trzy zęby kuchennego widelca. Ludzie Ryke'a otrzymali straż ranną, trwającą od świtu do południa. Żołnierze świętowali zwycięstwo. Kol zapowiedział, że wojsko ogólnie będzie jadło marnie, lecz tego wieczoru nie mogło głodować. Była to ich pierwsza

uczta na zamku, który zdobyli z takim trudem. Na chwiejnych nogach kuchciki donosili z okienek wielkie tace i misy. Były półcie boczku, koźlina, dwie owce z wioski upieczone w całości, pieczywo, ser, sosy, ziemniaki i wino. Wznoszono toasty za zdrowie Kola, dowódców i wszystkich zebranych. Uczczono również zmarłych. Nikt nie wspomniał o dwustu ludziach Athora, pogrzebanych w płytkich mogiłach za murami zamku.

Ryke nie wychylał toastów.

Pozostali dowódcy często nań popatrywali. Onran ukradkiem, Held z posępną podejrzliwością, a Gam, dowódca jazdy, z rozbawieniem. Kol udawał, że tego nie widzi. Na jednej ze ścian - ponad okienkami, gdzie wydawano dania - wisiały włócznie, topory, oszczepy, miecze, hełmy, tarcze w srebrne i złote wzory, a więc łupy zdobyte na najeźdźcach z Anhardu, którzy przez lata przybywali zza gór grabić, aż w końcu i oni zostali ograbieni. Oręż tu i ówdzie pokrywała rdza. Ryke pamiętał wyprawę łupieżczą sprzed dziewięciu lat, podczas której wódz napastników zginął z ręki Athora. Pamiętał tamte letnie dni, gdy miał osiemnaście lat. Zachował sobie pamiątkę z wojny: zdobyczny nóż do obdzierania skóry. Zabral go zabitemu przez siebie człowiekowi, a nosił w pochwie ukrytej w prawym bucie.

Boczne ściany obwieszane były gobelinami przedstawiającymi budowę twierdzy. Murarze i cieśle z narzędziami, ludzie dowożący budulec z kamieniołomów, robotnicy kopiący dół pod fundamenty, kamienie spławiane na tratwach spiętrzoną po odwilży rzeką Rurian. Ryke zatrzymywał wzrok na wyblakłych draperiach, żeby tylko nie oglądać triumfujących południowców. Dokuczał mu dym i gorąco. Gdy opróżniono misy, Kol wstał od stołu. Żołnierze wiatowali. Uciszył ich gardłowym rykiem.

- Jestem z was dumny, boście dzielnie wojowali! - Bili pięściami w stoły. - Wystarczy! Dwadzieścia pięć osób z każdej straży wróci do zamku Zilia, aby nie wybuchły tam bunty. Jutro wyjedziecie. Zaopatrzycie się na podróż w

zamkowej kuchni, aby w drodze nie nękać wiosek. Ci, którzy zostaną, będą walczyć z zimą. Przypuszczam, że mrozy potrwają jeszcze dwa, trzy miesiące w tym nieszczęsnym kraju. Ogrzeje nas praca przy odśnieżaniu i podjazdy do granic Podchmurnej Twierdzy. - Podniosła się wrzawa. - Milczeć! Chcecie zamknąć się w murach i zdziadzić do szczętu? Nie umrzemy też z nudów. Będziemy żyć jak wielmożni panowie. Sprowadzimy kobiety z wioski. - To też im się spodobało. - Podobno w apartamentach zachodniego skrzydła jest mnóstwo pokojów dla kobiet, toteż możecie zaprzestać bójek o kucharki. I podobnie jak w sławnych rezydencjach w Kendrze, w twierdzy Tornor wprowadzimy sztukę cziri.

Ryke nachmurzył się, słysząc nieznanе mu słowo; pochodziło ze starego narzecza, używanego na południu.

- Kto nie zna zasad gry, szybko się ich nauczy!

Ryke pochylił się w stronę Gama.

- Co to cziri?

- Dosłownie błazen - wyjaśnił dowódca jazdy.

Ryke kiwnął głową. Obiło mu się o uszy, że to prawdziwy zwyczaj, pielęgnowany na południu, szczególnie w bogatych mieszczańskich rodach: malowano tam chłopca farbą, przystrajano piórami, po czym musiał zasłużyć sobie na kolację fikołkami i wygibasami. Ryke odchylił się na oparcie krzesła. Konał ze zmęczenia, a dym i hałas powodowały ból głowy. Pod stołem ciepły łeb psa otarł się o jego kolano. Poczłł gładką sierść i miękkie uszy. Zwierzę obwąchało mu rękę. Był to chyba jeden z wilczurów Athora. Ryke zebrał dla niego resztki jadła z talerza.

Zajęty, ledwie zauważył błazna, który wszedł kuchennymi drzwiami i fiknął parę koziołków przy stołach. Jak na chłopca, był wysoki i trochę niezgrabny. Ubrali go w podkolanówki wykończone czerwonym aksamitem, lecz same stopy i tułów miał nagie. Ktoś rzucił mu kość ze szpikiem. Udając psa, trefnił chwycił ją w zęby i zaczął biegać na czworakach.

- Grzeczny chłopiec! - pochwalił go Kol.

Błazen zaszczekał. Roześmiani żołnierze ciskali mu resztki jedzenia, na które rzucał się łapczywie. Truchtał jak zwierzę, wywijając służącą mu za ogon wierzbową witką, aż zbliżył się do stołu dowódców. Ryke przekonał się teraz, że to nie chłopiec, ale mężczyzna, szczupły i posiniaczony. Twarz pomalowano mu na niebiesko. Gdy minął Ryke'a psim truchtem, ten poznał w nim Errela. Nie wierzył własnym oczom. Popatrzył na Kola Istora. Wódz siedział uśmiechnięty, jakby oglądał dobrze graną sztukę komiczną. Ryke powstał, drżąc.

Wstał również Kol, a za nim Held.

- Pamiętaj o przysiędze, komendancie - rzekł Kol.

- Żyje i nie stała mu się krzywda. Bądź łaskaw usiąść. - Zgiełk nawet na chwilę nie przycichł. Żaden z biesiadników nie zauważył tego zdarzenia. - Usiądź!

Ryke wykonał rozkaz. Nie mógł złapać oddechu. Czuł się, jakby coś rozsadzało mu głowę. Cekał z nadzieją, że granitowe mury zatrzęsą się, popękają, lecz nic się nie działo. Kol poruszał wargami. Ryke gapił się na postacie wyszyte na gobelinach. Jedzenie w jego ustach zaczęło trącić popiołem. Nie słyszał nic prócz łomotania w czaszce.

## Rozdział 2

Cztery miesiące po śmierci Athora ziemie północy znajdowały się w okowach zimy i, nie licząc twierdzy Pel, we władaniu Kola Istora.

Ryke jeździł z zamku do rodzinnej wioski. Podróżował tam z grubsza co trzy tygodnie, pełniąc funkcję wysłannika i emisariusza Kola. Przywdziewał wtedy futrzany płaszcz, podbite futrem buty, skórzane bryczesy i wełniany kaftan. Wszędzie zalegał jeszcze stary, zaskorupały śnieg. Kopyta końskie ciąły go z głośnym trzaskiem. Pomiedzy zamkiem a miasteczkiem rozciągały się jałowe, kamieniste pustkowia, gdzie latem wśród kamieni strzelała trawa, a dzieciaki z zamku pasają stada kóz, zrywając płatki niebieskich stokrotek. Ongiś było tu miasto, oddzielone od zamku kamiennym murem - kiedy się jednak powiększyło, mieszkańcy rozebrali mury na budowę nowych domów. Do dziś ostały się ruiny. Z wysoka przedzamcze wydawało się pokryte rysunkiem dawnych ulic. Z bliska widziało się tylko smętne gruzowisko.

Zapasy Athora okazały się niewystarczające do wyżywienia trzystu żołnierzy, a do tego służby, kobiet i koni. Kol musiał rekwirować żywność po wioskach. Dotrzymał słowa i rzeczywiście nie morzył wieśniaków głodem, lecz mocą prawa i zwyczaju określona część trzód i zbiorów należała do twierdzy, której pan w każdej chwili mógł się o nią upomnieć. Ryke chował za pas tabliczki z wykazem, jaka ilość wieprzków, owiec czy zboża ma być dostarczona do Tornoru - w ciągu tygodnia przy sprzyjającej pogodzie. W zamian za to żołnierze ściągali dziczące kozy i chronili stada przed wilkami, borsukami, lisami i dzikimi kotami. Południowcy używali do polowań dzid i proc, nigdy łuków. Przed tygodniem ludzie ze straży Gama ruszyli na południe tropem

dzika, lecz zwierz uszedł im... ku rozczarowaniu kuchmistrza. Był południowcem i zawsze marzył, żeby przyrządzić comber z dzika.

Tabliczki z wrytymi znakami (sierp oznaczał zboże, a róg - kozy) i karbami wskazującymi liczbę buszli lub zwierząt, klekotały nad biodrem Ryke'a. Kol osobiście nanosił znaki. Kazał mu też zanieść wiadomość do rodzinnego miasta Errela. „Przekaż im, że jego zdrowie zależy od tego, czy wyrażą chęć współpracy - powiedział. - Niech nie wyskakują z żadnymi głupstwami typu planowanie rebelii”. Mówiąc to, kiwał się w przód i w tył, uśmiechnięty. Ryke nie miał ochoty tłumaczyć, że wieś, zamieszкана głównie przez starców, dzieci, podrostków i kobiety, nie będzie planować rebelii w środku zimy.

Wjechał na wąskie, znane mu dróżki. To wspinały się, to znów opadały, zgodnie z ukształtowaniem terenu. Ze szczytu wzniesienia dojrzał rzekę. Okutane w wełniane oponcze kobiety siedziały przygarbione, zajęte łowieniem ryb w przeręblach. Ryke pojechał do domu Sterreta, tutejszego naczelnika, aby zostawić mu tabliczkę. Kiedy wjechał w środek wioski, otoczyła go sfera ujadających psów. Uciszył je dopiero skrzekliwy głos jakiejś kobiety. Psy świeciły żebrami, były chude jak wilki. Napał koniem, aby je rozgonić. Wilczur Athora, który tak się do niego przywiązał, towarzyszył mu aż do furty i skomlał, chcąc wejść do wsi, lecz Ryke polecił strażnikom, by go nie wpuszczali. Teraz gratulował sobie zapobiegliwości: tutejsze psy zwęszyłyby obcego i rozszarpały go na sztuki.

Sterret trudnił się kołodziejstwem, a wiedzę swoją przekazał synom. Jeden z nich wywędrował na południe do Kendry; ojciec dostawał od niego wieści raz w roku, latem. Jego dom z szarego kamienia był większy od innych, wyposażony w solidny komin, kuchnię i dachówkę. U podstrzeszy zwisały sopte lodu. Dom znajdował się w samym sercu miasteczka, niedaleko rynku. Niezrażona zimnem dziatwa biegła ulicą przed wierzchowcem Ryke'a aż do bramy Sterreta. Ryke pamiętał zabawy w chowanym, kiedy krył się w bramach i innych zakamarkach, aż marzyły mu policzki, a palce

w butach z owczej skóry stawały się dętwę i sine.

Sterret w towarzystwie najmłodszego syna wyszedł do bramy, aby odebrać karbowane tabliczki. Podpierał się laską: w czasie wojny z Anhardem został ranny w biodro. Żelazna stopka laski zostawiała na ziemi kształtne ślady, jakby wywiercił je świdrem stolarz. Przesunął kciuk po wyżłobionych znakach.

- Zrobi się - oświadczył. - Co u księcia?

Ktoś otworzył okiennicę. Z kuchni doleciał zapach ostro przyprawionej kiełbasy. Na zewnątrz wyjrzała jakaś kobieta.

- Errel ma się dobrze - rzekł Ryke.

- Powiedz mu, że o nim pamiętamy - odezwał się chłopak z płomiennym wzrokiem.

- Powiem.

- Chodź - zwrócił się Sterret do młodszego z dwóch synów, jacy mu zostali. A miał ich ogółem sześciu. Położył dłoń na jego ramieniu. Wspierając się na młodzieńcu, kołodziej wrócił, utykając, do domu. Okiennica się zamknęła.

Na obrzeżach wioski stały mniejsze, biedniejsze chaty. Tylko nieliczne miały komin. Dachówki częściej zastępowała tu darni. Ryke zeskoczył z siodła przed domkiem z kamienia. Przez dziurę w dachu uchodził dym. Przywiązał wodze do osadzonego w murku żelaznego pierścienia. Otworzyły się drzwi. W przejściu stanęła jego matka w wełnianym płaszczu. Pochylił się i ucałował ją w policzek. Z tyłu zerknęła nań najmłodsza siostra. Poczł woń owsianki. Otrzeptyjąc płaszcz ze śniegu, czekał, aż matka zaprosi go do środka.

Posadziła go przy stole i nakarmiła jęczmiennym podłomykiem oraz kwaśnym piwem. Chodziła tam i z powrotem między stołem a paleniskiem, lekko zgarbiona, powolnym krokiem kobiety, która urodziła dwanaścioro dzieci i siedmioro straciła. Czwooro zmarło, nim Ryke przyszedł na świat.

Wyciągnął nogi do ognia. Resztki śniegu spływały z butów i wpadały z sykiem w płomień.



- Jak zdrowie? - zapytał.

- Dobrze. A twoje?

Dając dziewczynce kawałek podpłomyka, udawała, że go nie słyszy. Siwe włosy, gęste i długie, miała związane jak przysłało zamężnej kobiecie. Po kapturze z brązowego sukna opadał na plecy warkocz.

Ryke z grubsza orientował się, ile matka ma lat: kończyła czwarty krzyżyk. Wyglądała staro jak na swój wiek. W górach kobietom prędzej dokuczała starość.

- Kaszle - wyjawiała dziewczynka, trzymając się kurczowo fartucha matki.

- Nic poważnego - stwierdziła ta ostatnia. - Zwyczajne przeziębienie.

Ryke spochmurniał. Jego ojciec umarł, zaziębiwszy się latem podczas kąpieli w rzece - śmierć niegodna wojownika. Jako jeden z dowódców straży Athora, większą część roku spędzał w twierdzy.

- Byłaś u zielarki?

Wykrzywiła wargi, dając do zrozumienia, że uważa temat za zamknięty. Ech, ten jej niedźwiedzi upór, zwykł potwarzać ojciec. Sięgnęła po igły.

- Od wiosny Kepi będzie pobierać nauki u zielarki.

Kepi była jego drugą siostrą.

- Ile ma lat?

- Dziewięć.

- Dobry wiek. - W górskich osadach ceniono ziołarzy. Obecnie w ich wiosce leczyła podstarzała kobieta o imieniu Otha. Jakies osiem lat temu miała uczennicę, która jednak przerwała naukę i uciekła. Zielarka odmówiła przyjęcia nowej uczennicy, co wywołało w wiosce strach. - A jak się ma Ewion? - Ewion był najstarszym z chłopaków, nie licząc samego Ryke'a. Miał trzynaście lat. W lepszych czasach, starszy brat przyjąłby go pod swoje skrzydła w Tornorze. Załatwiłby mu pracę w kuchni, kuźni lub stajniach.

- Nieźle. Całe dni spędza z dorosłymi. Rzadko go widuję. - Poruszyła wargami, jakby coś obliczała. Czekał, aż dokończy skargę.

- Co u Becke? - Ta była jego najstarszą, dziewiętnastoletnią siostrą. Miała już dwójkę dzieci. Jej mąż zginął pod

murami Tornoru; topór południowca rozłupał mu głowę niczym suchą szczapę. Trzecie dziecko urodziło się martwe. Matka milczała. Kiedyś już dwa razy próbował rozmówić się z Becke, lecz unikała go i nie wychodziła z domu. - A ty, maleńka? - Pociągnął dla zabawy warkoczyki siostry, która pisnęła i z chichotem skryła się za matczyną spódnicą. Miała siedem lat.

Dosiadając konia, zauważył grupkę chłopaków. Przypatrywali mu się z szerokiej sieni domu stelmacha. Napotkawszy jego spojrzenie, odwrócili głowy. Żadnego nie znał. Nosili grube płaszcze z owczej skóry, odwrócone włosiem do środka, aby lepiej chroniły przed zimnem. Zastanawiał się, czy nienawidzą go dlatego, że przeżył. Żył ze względu na Errela i ze względu na Tornor. Ujął wodze dłonią w rękawicy i pomachał ręką chłopakom. Nie ponosił winy za śmierć ich ojców i braci.

Nieruchomi niczym postacie na gobelinach, przeszli go martwym wzrokiem. Jeden rzucił kamieniem - nie w niego, ale do góry. Kamień poleciał w niebo, a potem spadł na dach, gdzie zagrzehotał na oblodzonych dachówkach. Chłopcy puścili się biegiem. Ryke ruszył w drogę powrotną. Zawrócił ku białym wzgórzom, gdzie domki cisnęły się do siebie, jakby szukały ciepła. Psy odprowadzały go szczekaniem. Dwie przysięgi: tamta złożona Athorowi i ta, która wiązała go z Istorem, dręczyły go niemiłosiernie.

\*\*\*

Cztery dni po wizycie w rodzinnej wiosce dowiedział się, dlaczego matka zbyła go milczeniem, gdy pytał o siostrę.

Jego ludzie pełnili akurat straż od południa do zmierzchu. Dokonywał obchodu stanowisk wartowniczych. Dziedziniec rozbrzmiewał stukotem młotów: żołnierze zbijali stół i dwie ławy. Na bruku ścieliły się wióry. Niebo było jasne, lecz słońce skryło się za murami i wewnętrzne ściany spowijał cień. Do głównej sali wbiegło dwóch chłopców, jeden z naręczem patyków, drugi z pękiem lepkich pochodni

o nasmołowanych łbach. Ryke zagubił się w rozmyślaniach. Śnił o lecie, kiedy wyprawił się z ojcem w odwiedzinę na farmę kuzyna, mieszkającego na obrzeżu Galbareth. Wspominał szum wiatru nad równiną. Ojciec posadził malca na ramionach, żeby objął wzrokiem łany zboża, purpurowe wieczorową porą.

Ryke zbliżył się do schodów wieżowych i omal nie przewrócił przechodzącej tamtędy kobiety. Złapał ją błyskawicznie i przytrzymał za łokieć. Wymamrotał słowa przeprosin. Włosy na czubku głowy spięła na południową modłę kościanym grzebieniem, lecz jej ruchy wydały mu się znajome. Miała na sobie niebieską wełnianą suknię. Jej usta do złudzenia przypominały jego własne. Odwróciła wzrok i spróbowała go szybko wyminąć. Położył jej dłoń na ramieniu.

- Becke?

- To ja - doszła go z półmroku jej chłodna odpowiedź. Nie była ubrana jak służąca.

- Co ty tutaj robisz?

- Mieszkam w twierdzy - odparła hardym tonem.

- Od dawna?

- Niecałe trzy tygodnie. - Wyszarpnęła ramię.

Nie zbliżał się już do niej. Jej oczy błyszczały w ciemności. Jasnobrzowe, piwne, takie jak u niego.

- Gdzie są dzieci?

- U Any. - Ana była jej sąsiadką, żoną stelmacha.

Nie wiedział, co w tej sytuacji powiedzieć. Nie znał jej za dobrze. Miała osiem lat, kiedy wyjechał do twierdzy, zostawiając ją w wiosce. Od tamtej pory widywali się tylko latem i na zniwach. Była dokuczliwym dzieckiem. Czasem się przyjaźnili, lecz znacznie częściej ze sobą rywalizowali. Miał ochotę spytać: Co powiedziałby Jebe? Był jej niezłym mężem. Gdyby nie zginął, z pewnością by tu nie przyjechała.

Życie w twierdzy nie okrywało hańbą kobiety, zwłaszcza wdowy, w czas wojny, gdy w miastach pozostała tylko garstka mężczyzn. Gdyby urodziła dziecko, zostałoby oddane na wychowanie na wieś, gdzie dorastałoby, by w dojrzalszym

wieku powrócić na zamek. Matka Errela też mieszkała w twierdzy.

Becke była jeszcze młoda, miała gładką skórę i śliczną twarz.

- Czemu nie powiedziałaś, że tu jesteś? - zapytał.

- Nie chciałam się z tobą widzieć - odparła zimnym głosem. Pachniała kapryfolium. Prawdopodobnie wplotła we włosy warkoczyk lub torebeczkę z suszonymi kwiatkami. W Wieży Czat ktoś zapalił światło. - Odsuń się, bracie, bo się spóźnię.

Odstąpił na bok, aby ją przepuścić. Otarła się spódnicą o jego nogi. Po chwili zniknęła na schodach. Zwiesił głowę na piersi. Palił go wstyd na myśl, że jego siostra chodzi z Kolem do łóżka. Zdziwił się, że Kol jeszcze sobie z niego nie podrwiwał. Być może sam nie wiedział, z kim sypia. Ryke nie mógł się nawet gniewać. Kobiety musiały sobie jakoś radzić w życiu. Nie tylko Becke wysługiwała się południowcom, on też im służył. Tę myśl, podobnie jak wiele innych, starał się odsunąć od siebie.

\*\*\*

Umówił się z Errelem na schadzkę. Przesłali sobie wiadomość, jak to czynią zwykle kochankowie, za pomocą liściku, który zgodziła się przekazać zaprzyjaźniona kucharka.

Spotkali się na szczycie murów, powyżej głównej sali, gdzie stali ramię przy ramieniu niby żołnierze na warcie, przygarbieni i opatuleni płaszczami w śnieżnej zawiei. Errel zapytał, co słychać w wiosce. Ryke wszystko mu opowiedział. Twarz księcia była koścista, wychudzona. Zadawał pytania, które zadałby Athor. Ryke pamiętał Errela jako myśliwego, łucznika, młodzieńca patrzącego z powagą zza pleców Athora, gdy Ryke klęczał i przysięgał posłuszeństwo jego ojcu. Teraz żywił się ochłapami ze stołu i resztkami wyżebranymi od kucharzy. Ryke wsparł się łokciami na murze. Głęboko w jego sercu, gdzie nikt tego nie widział, wrzał gniew. Złość go rozpierała. Mówił rzeczowo o owcach

i świniach, a zarazem wyobrażał sobie tę upragnioną chwilę, kiedy zaciśnie palce na gardle Kola Istora.

- Sterret wciąż o ciebie pyta. Wieśniacy nie zapominają, kto jest ich prawowitym panem.

Errel poczerwieniał.

- Mam nadzieję, że nie będą występować przeciwko Istorowi. Bo źle to się dla nich skończy.

- Nie występują.

- Całe szczęście. Czy ludzie Kola dochowują przyrzeczenia łowieckiego?

- Trzech żołnierzy Onrana schwytało wczoraj wilka.

- To dobrze - rzekł władca Tornoru. Miał na sobie staroświecką, obszytą futrem opończę i przyduże poplamione buty. I żadnych rękawic. Nie przypominał żołnierza. Kol dał Ryke'owi jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie, aby się widywali. A to było już czwarte spotkanie w ciągu czterech miesięcy. Ryke bałby się spotykać częściej.

- Dobrze się czujesz, książę?

Errel zaśmiał się.

- Czy tego nie widać? Czuję się na tyle dobrze, żeby co wieczór wygłupiać się w zamian za strawę. Cóż to za dziwne pytanie?

- Ciekawe, czy Kol pozwoli ci odgrywać koniucha w stajni, jeśli go o to poprosisz.

- Miałby uciechę z moich błagań, ale wątpię czy zgodzi się, bym zamienił różgę trefnisia na zgrzebło. Za bardzo polubił moje błazenady.

Ryke nie pojmował, czemu książę śmieje się z takich rzeczy. Zastanawiał się, co rzekłby Athor, gdyby wiedział, że jego syn żyje, zarabiając na kolację jak pies wytresowany do siadania i dawania głosu. Athor szalałby z gniewu. Słyszał ze swoich napadów szału. Teraz już nie żył. Errel ściągnął opończę na ramionach. Nie miał brody, był dokładnie ogolony, a wszystko po to, żeby farba trzymała się lepiej.

- Coś sobie pomyślałem... - rzekł Ryke.

- Mów.

Ryke rozejrzał się po murach, choć padający śnieg ograniczał widoczność. Nikogo nie zobaczył. W dole, na wewnętrznym dziedzińcu, drżąca jasnowłosa dziewczyna biegła co tchu w stronę kuchni z mosiężną misą w rękach. Bose stopy zostawiały słabo widoczne ślady na cienkiej warstwie śniegu.

- Ukryłem pakunek z futrami na podróż w kącie stajni, gdzie nie znajdzie go nawet stary Gam. Gdybyś tam się przekradł...

Położywszy ręce na zmrożonym kamieniu nad otworem strzelniczym, Errel wpatrywał się na zachód, w półmrok przyciemniony zawieją.

- To zły sposób - powiedział.

- Czyżbyś nie chciał stąd uciec? - Słowa Ryke'a poniosły się daleko nad murami.

- Ciszey - napomniał go Errel. - Niech wiatr się uspokoi.

- Chwilę nasłuchiwali. Nikt nie nadchodził. - Marzę o ucieczce - podjął ksiązę. - Ale choć odgrywam błazna, nie straciłem rozumu. To trzeba zrobić inaczej. Jeśli tu zostaniesz, Kol zemści się na tobie. Nie zgodzę się na żaden plan, który naraża cię na niebezpieczeństwo.

- Człowiek w pojedynkę porusza się sprawniej...

- Nie zgadzam się i basta. - Odwrócił twarz od nastliwego wiatru i wbił w Ryke'a nieugięte spojrzenie. Oczy miał jakby z niebieskiego lodu. - Przysięgi obowiązują obie strony.

Ryke spuścił wzrok.

- Tak, ksiązę.

Wiatr przycichł, dzięki czemu usłyszeli odgłos kroków na schodach. Zbliżał się wartownik. Przyłgnęli do kamienia, a on minął ich, cały otulony futrem, niczego nie podejrzewając. Ryke odczekał chwilę, aż ścichły skrzypiące kroki żołnierza.

- Czy karty coś mówią, ksiązę? - Na życzenie Errela wykradł z dawnych apartamentów księcia jego talię kart do wróżenia. Sam nie przepadał za magią. Nie mieściło mu się w głowie, że przyszłość kryje się symbolicznie w podwójnym zestawie malowanych obrazków. Errel wszakże znał się na kartach.

- A gdybym powiedział, że tak? Ty im niedowierzasz.

- Gdy w grę wchodzi ucieczka - powiedział Ryke - to zgodzę się na każdą formę magii, nawet na karty.

Zaczęli spacerować w kierunku południowym. Z okna Wieży Czat wylewało się światło, przyciemnione w padającym śniegu. Tam był Kol. Ryke jeszcze bardziej zmarkotniał.

- Nierozsądnie mówić o kartach, kiedy są daleko - stwierdził Errel. - Są stare, potężne i jak wszystkie istoty wiekowe, nie znoszą być obgadywane.

Pomimo wycia wichury dał się słyszeć czyjś wściekły ryk.

- To Held obchodzi warty - stwierdził Ryke.

- Wiesz, jak go nazywają w kuchni? Psem Kola.

Ryke zastanawiał się, czy Kol Istor zna się na kartach.

- Ostatnio często cię wzywa - rzekł, szarpiąc bolesną strunę w swoim sercu, podobnie jak zwierzę targa ranę.

- Dzięki mnie żołnierze nie muszą myśleć o lichej strawie.

- Sironen go zatrzyma. Sironen nie da sobie wydrzeć twierdzy Pel.

Rozległo się miauczenie.

Ryke wdrygnął się jak spłoszony koń. Spod futrzanego płaszcza Errela wyściubił główkę rudy kociak.

- A cóż to...?

- Znalazłem ją na schodach, umierała z zimna. Oddam ją do kuchni, może się tam zadomowi.

Znów odezwało się kocię. Zaczęło mrużyć z wielkim ożywieniem. Jakby w odpowiedzi na ten nikły głosik, za zamkowymi murami rozległo się ochryple warczenie, które przeszło w jękliwy, zniecierpliwiony skowyt.

- To żbik - zawyrokował Errel. Odezwała się w nim żyłka myśliwego. - Nieczęsto podchodzą tak blisko.

- Głód go tu przygnał. - Obaj wychylili się na zachodnią stronę, gdy zwierzę znów zaczęło skowyczeć.

- Patrz! - Errel wskazał jeźdźców, którzy pojedynczo wyłaniali się spomiędzy szarych skał, przysłaniających Zachodni

Gościniec. Droga wiodła do Podchmurnej Twierdzy i dalej, do twierdzy Pel, a potem dobiegała aż do Wielkich Gór, wyznaczających zachodnią granicę Arunu. W ich cieniu nie budowano żadnych fortec. Nie było takiej potrzeby. Wyniosłe, skute lodem wierchy tworzyły ciemną i nieprzebytą ścianę.

- Pościący - stwierdził Ryke.

- Widzę - odparł Errel. - Bardzo dziwne. Jeźdźcy z zielonego klanu rzadko zapuszczają się tak daleko na północ. Ostatnim razem przybyli tu po to, żeby uczestniczyć w rokowaniach pokojowych z Anhardem.

- Zjawiają się tam, gdzie wojna. - Wbijając wzrok w niewyraźną dal, Ryke ledwo dostrzegł flagę. Zieloną, zapowiadała przybycie heroldów, pościąców lub negocjatorów. Pod murami odezwały się głosy. Ludzie zaczęli zbierać się przy bramie wjazdowej.

- To prawda. - Gdy kociak znów zamiauczał, trefniś pogłaskał go w zamyśleniu, patrząc uważnie na zbliżające się postacie.

- Muszę iść - powiedział Ryke. - Zaraz będą mnie szukać.

- Idź, nie zwlekaj.

Ryke spochmurniał. Kol zabronił swemu czirisowi wychodzenia na mury. Gdyby przyłapali go tu wartownicy, musiałyby się gęsto tłumaczyć.

- Lepiej tu się nie kręć - powiedział.

- Wiem, pójdę północnymi schodami - odparł Errel. - Idź pierwszy.

Rozstali się. Ryke'a ciekawiło, z czym przybywają pościący do Tornoru o tej porze roku i skąd właściwie jadą. Na pewno nie z wypowiedzeniem wojny, bo z czymś takim by ich nie wysyłano. Może mieli do przekazania jakąś propozycję, ofertę przymierza (z Podchmurnej Twierdzy?), prośbę...

Stanął mu w pamięci obrazek, jaki ujrzał przelotnie na jednej z kart, gdy przesuwwały się po smukłych palcach Errela: postać w kapturze i zielonym płaszczu, jadącą pod granatowym



niebem na bułanym koniu. Posłaniec - tak nazywała się karta.

Stukając dźwięcznie obcasami na śliskich kamieniach, doszedł do północnych schodów i zbiegł nimi pośpiesznie do ciepłej, zadymionej sali. Tam usłyszał swoje imię.

- Tu jestem! Ktoś mnie wzywa?

- Kol cię szuka - rzekł Vargo. - Co to za zamęt?

- Nie wiem.

Wokół zaroilo się od ludzi z jego straży. Wszyscy tchnęli zapachem piwa.

- Będziemy jeszcze raz szturmować Podchmurną Twierdzę?

- Dowiem się. - Strząsnął śnieg z płaszcza. Zapinając go na powrót, wyszedł na wewnętrzny dziedziniec. Wiatr osłabł. Nasunął głębiej kaptur i ruszył ku spiralnym schodom Wieży Czat.

\*\*\*

Twierdza Tornor była labiryntem schodów i korytarzy. Pierwotny zamek, podobnie jak linia władców Tornoru, liczył sobie dwieście lat. Zewnętrzne i wewnętrzne obwarowania, koszary i Duży Zamek zbudowane były jeszcze ze starego, szarego kamienia - ciemnych szorstkich bloków granitu, wyciętych w górach. Później stopniowo dostawiono budynek mieszkalny, składy, stajnie, majdan, kuźnię, młyn i kuchnię, tak iż niepodobna już było określić początkowych wymiarów wewnętrznego dziedzińca. Morven, ojciec Athora, dobudował pralnię, a sam Athor odremontował i unowocześnił młyn, który siedział okrakiem na rzece tuż poniżej twierdzy. Pokoje, z wyjątkiem apartamentu Kola Istora, na razie świeciły pustkami, czasem tylko pary urządziły sobie w nich schadzki. Żołnierze sypiali w koszarach, służący w kuchniach, a kucharze w małych pokojach obok składow. Ryke nie wiedział, który pan zamku wybudował Wieżę Czat. Według legendy stanęła po to, „aby widać było jeźdźców z Anhardu, nim tamtejsi królowie daliby rozkaz ataku”.

I zaprawdę, okna wieży wychodziły tylko na północ. Dlatego nie widziało się stąd, co się dzieje na wschodzie, zachodzie i południu. Może właśnie z tego powodu straciła swą użyteczność. Athor nieraz wspominał, że chce ją zabić deskami albo nawet zburzyć.

A tymczasem Kol bardzo ją polubił. Postanowił urządzić tu stałe miejsce narad, toteż z jego rozkazu została wyczyszczona, otynkowana i wstawiono nowe okna. Żółte szybki były osadzone w żelaznych, łatwych do otwarcia ramkach. Ryke wspinał się wolno po długich, słabo oświetlonych schodach. W końcu wdrapał się mozolnie na sam szczyt, gdzie usłyszał wrzawę, z której wybijał się głos Kola. Wódz był najwyraźniej zadowolony. Aura jego radości wydostawała się na schody niczym podmuch wiatru. Paż pokłonił się i otworzył drzwi Ryke'owi, a ten wszedł do komnaty.

Pozostali trzej komendanci już tam byli. Ryke uklonił się im i Kolowi.

- Oto Ryke - przedstawił go Kol. - Mój czwarty dowódca straży. - Błysnął uśmiechem w gąszczu czarnej brody. Na znak szacunku dla gości ubrał tunikę z delikatnej fioletowej wełny i niebieską aksamitną szarfę, gdy zazwyczaj nosił odzież skórzaną i płócienną. Wskazał ręką posłańców, stojących tyłem do ognia. Wełna na obszywkach ich futer miała zielonkawe zabarwienie, świadectwo pozycji i neutralności. - Norres. Sorren.

Ryke kiwnął głową. Ich twarze były szczupłe, bez cienia zarostu; wpatrywali się weń wnikliwie. To jeszcze chłopcy, pomyślał, po czym przyjrzał się uważniej ich posturze i ułożeniu ciała. Norres dotykał lewym ramieniem prawego ramienia Sorrena. W razie potrzeby mogli błyskawicznie sięgnąć do pasa po długie sztylety. Jednak nie byli chłopcami. Sięgnął do wspomnień. Latem przybył do nich brzegiem rzeki smagły kupiec z południa z ładunkiem jedwabiów i korzeni. Do późnego wieczora, długo po tym jak Athor udał się na spoczynek, grał w kości z wartownikami. Opowiadał ciekawe historie, choć w grze nie potraktowano go ulgowo. Przegrał w trzech kolejkach, za co musiał zapłacić sztuką jedwabiu i tuzinem pawich piór, nim

odszedł zdenerwowany swoim pechem. Przedtem jednak snuł opowieści o sławetnym kapitanie Ewainie Medzie i banicie Kruku Batto.

Gdy nakarmił już słuchaczy zdumiewającymi miejskimi historiami, mówił o posłańcach. Zielony klan, tak ich nazywał. Przewozili listy, jakich nie można było powierzyć nikomu innemu. Gardzili łapówkami, nie jeździli na przespiegach. Wartownicy, ludzie z północy, odparli mu z uśmiechem, że wiedzą wszystko o posłańcach. Wszak to oni pośredniczyli w układach pokojowych między Anhardem a Arunem. Poirytowany kupiec opowiedział im szeptem o człowieku, który chciał ich przekupić, żeby zawieźli kłamliwy list. Obdarli go ze skóry, a samą skórę przybili gwoździami do drzwi jego domu. Nagabywany, kupiec wyznał ich imiona. Brzmiały, jak się Ryke'owi zdawało, łudząco podobnie do imion ich dzisiejszych gości. Coś jeszcze sobie przypomniał. To byli gianie. Słowo pochodzące z języka południowców oznaczało hermafrodyty. Gianin był po części kobietą i po części mężczyzną - innymi słowy ni kobietą, ni mężczyzną, tylko jeszcze czymś innym. W oczach osoby nieorientowanej, posłaniec mógłby się wydać zwyczajnym młodzieńcem. Ryke odwrócił wzrok, aby nie gapić się na gości nazbyt natarczywie.

- Przynoszą propozycję pokoju od Berenta Jednookiego - oznajmił Kol.

Berent Jednooki był panem Podchmurnej Twierdzy. Kol od miesiąca nękał go podjazdami, które docierały aż pod same mury zamku. Teraz się uśmiechał. Zapewne spodziewał się tej propozycji. Może nawet skrycie na nią liczył.

- Trzy tygodnie po wejściu w życie umowy, przyśle mi swego młodszego syna jako zakładnika.

Held prychnął.

- Nie jest takim głupcem, za jakiego go miałem. Wie, że przegrałby wojnę.

Mówił prawdę. Ryke współczuł Berentowi, który poświęcał syna, bojąc się ujrzeć lada dzień pod bramami awangardę wojsk nieprzyjacielskich. Rozpiął płaszcz, gdyż w

ośmiobocznej komnacie było gorąco. Kol kazał pobielić ściany wapnem i przyozdobić antycznymi draperiami, przeniesionymi tu z apartamentów. Na jednej z nich człowiek z pozłacaną brodą przyzywał swoich żołnierzy. Ryke słyszał niemal jego okrzyki. Posępnym obliczem przypominał Athora.

- A jeśli to fortel? - zapytał Onran. - Może kłamie?

- Nie - oświadczył jeden z posłańców, Norres. - On nie kłamie. - Gianin sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Skąd ta pewność...? - zaczął Onran.

- Onran to żartowniś - wpadł mu w słowo Kol. - Napijecie się wina? - Napełnił dwa kielichy winem z dzbanu. Posłańcy sięgnęli po żółte kryształowe czary i spróbowali trunku. Sorren zsunął kaptur, odsłaniając opadające na ramiona włosy, spięte zieloną wstążką, a także jasną karnacją człowieka z północy. Norres postąpił podobnie. Obaj mieli blade twarze. Sorren zwracał na siebie uwagę pomarszczoną blizną pod lewym okiem.

- Nigdy jeszcze nie siedziałem w takiej komnacie.

- Szkoda, że nie widzisz jej w świetle dnia - powiedział dumnie Kol. Postukał palcem w stół. - Gdy tu przybyliśmy, przez okna wpadał wiatr, komin był zatkany, a schody zawalone takim świństwem, że człowiek mógł nogi połamać. - Skubał brodę. - Mam nadzieję, że ten zamek zbliży się kiedyś świetnością do rezydencji na południu.

Niedoczekanie twoje, pomyślał Ryke. Sironen cię powstrzyma. Rozchylił palce, które do tej pory zaciskał kurczowo. A Kol nie zamierzał milczeć. Ryke miał go raczej za małomównego.

- Zjecie z nami obiad. Zapewne jesteście głodni po podróży z Podchmurnej Twierdzy. Nie ma tu może luksusów, lecz znajdzie się i stawa, i wino, i odrobina rozrywki.

- Dziękujemy za gościnę - rzekł Norres.

- Wiem, jak traktować posłańców. Światło! - krzyknął na pазia, który przybiegł co żywo. - Zaprowadź gości do ich pokoju.

- Możemy najpierw zajrzeć do stajni? - zapytał Norres.

- Mamy zwyczaj doglądać koni na noc.

- Mój dowódca jazdy osobiście wskaże wam drogę - zapewnił ich Kol.

Gam nastroszył się, otrzymawszy zlecenie godne co najwyżej pazia.

- Dziękuję - rzekł Norres.

Gianie przysłonili głowy kapturami i wyszli za Gamem. Paż wycofał się rakiem z komnaty, kołyszając nerwowo latarnią. Kol dał sygnał dzieciakowi, aby zamknął drzwi.

Po jego wyjściu odwrócił się do Onrana.

- Powstrzymaj się od uwag, przyjacielu, póki ci dwaj goszczą na zamku. Nie godzi się podawać w wątpliwość słów posłańca, a ci tutaj są szczególnie groźni. Miałem już do czynienia z zielonym klanem, nie chcę z nimi zwady.

Onran wymruczał przeprosiny. Był najmłodszym z komendantów: dwadzieścia dwa lata, pełen wigoru, odważny i powszechnie lubiany.

- Skóra mi cierpnie na ich widok - rzekł, chwytając dzban z winem.

Kol wyrwał mu go z ręki.

- Zatrzymaj to dla siebie! I napomnij ludzi, niech nie posuwają się w żartach za daleko. Jeszcze do tego wrócimy. Na razie możecie odejść.

Cóż było więcej do dodania? Onran poczerwieniał na twarzy i sztywnym krokiem szedł na dół. Ryke wyszedł za nim na ziąb, lecz wolniej.

Na stromych schodach nie sposób było rozmawiać. Przed wyjściem na dziedziniec zbili się do kupy przy latarni pazia. Twarz Onrana zdradzała zdenerwowanie.

- Oddawaj to! - rzekł do chłopca, chcąc wyszarpnąć mu latarnię, ten jednak śmignął koło niego i uciekł zwinnie na schody. Onran zaklął pod nosem.

- Usta ci zamarzyły? - zapytał kpiąco Held.

Onran warknął na niego. W trójkę, ramię przy ramieniu, skierowali się ku koszarom.

- To były żarty - powiedział Onran. - Wcale się nie obrazili.

- Twoje szczęście - rzekł Held. - Gdyby tylko chcieli, obłupiliby cię ze skóry i nikt by cię nie bronił. Klan cieszy się licznymi przywilejami. Ten los spotkał już kiedyś pewnego bogacza na południu.

- Co przeszkrobał?

- Próbował przekupstwem nakłonić posłańców do kłamstwa. - Held wskazał kciukiem budynek mieszkalny. - Słyszałem, że właśnie ich.

- Co o nich wiesz? - zapytał Onran z dziecięcą fascynacją.

- Wiem tyle, co wszyscy.

- Są jednopłciowi.

- Owszem, tak się mówi.

- I walczą jak wilki z piekła rodem.

- A żeby skorzystać z ich usług, trzeba sypnąć złotem - dodał Held. - Dlatego też Kol jest przekonany, że Berent Jednooki nie szykuje żadnego podstępu. Gdyby kłamał, zamiast posłańców pchnąłby własnego gońca.

Held rzadko bywał taki rozmowny. Ryke doszedł do wniosku, że zadowolenie z udręki Onrana rozwiązało język zgorzkniałego południowca.

Onran kopnął kamień.

- A ja myślę, że mimo wszystko to może być pułapka - mruknął.

- Kto wie, czy nie jest sprytniejszy, niż wam się wydaje - rzekł Ryke bardziej po to, aby dopiec Heldowi niż z przeświadczenia, że tak jest w istocie.

Held przeszył go jadowitym spojrzeniem.

- Kto wie, czy nie posiada tajemnego skarbcza - dorzucił Onran z uśmiechem.

- We wszystkich górskich twierdzach panuje bieda - stwierdził Held z dezaprobatą. - Co zawdzięczają tej po trzykroć przekłętej zimie.

Wszyscy popatrzyli na niebo. Śnieg przestał padać. Chmury, poganiane rześkim zachodnim wiatrem, ścigały się na tle gwiazdnych konstelacji.

- Jeśli chcesz tu zostać, Held, powinieneś polubić zimę - powiedział Ryke.

- Ugryź się w dupę - odciął się Held.

Onran zmienił temat.

- Kol cieszy się, że ma towarzystwo.

Held wypogodził się, jak zawsze, gdy słyszał imię swego pana.

- Dziś będziemy ucztować. Słyszałem, jak wydawał polecenia kucharzom.

Szli obok siebie równym krokiem. Stukot podbitych drewnem podszew rozlegał się głośnym echem. Ryke z niechęcią myślał o biesiadzie, w której musiał uczestniczyć. Nie chciał być świadkiem błazeństw Errela. Kol lubił te chwile, zacieśniał w ten sposób obrozę na szyi księcia. Ryke nie mógł dopuścić się zdrady, a nawet o niej myśleć, póki Errel spełniał, niczym kukiełka, najbłahsze zachcianki Istora.

Onran zachichotał.

- Żołnierze mówią, że Ryke ma dziewczynę w kuchni. - Dla żartu dał Ryke'owi kuksańca w bok.

- Co ty powiesz? - rzekł Held. - Czyżby mężczyzna w randze komendanta musiał się zadowalać sypianiem z kuchennymi fladrami?

Zamierzał mu dokuczyć, lecz Ryke przez wzgląd na Errela puścił mimo uszu zniewagę.

- Do zobaczenia na obiedzie - pożegnał Onrana, po czym wyprzedził pozostałych, jakby miał do spełnienia jakąś własną misję.

Służba zapalała światła w głównej sali.

## Rozdział 3

Trzysta osób sfloczonych na sali przygotowało się na duchotę i szaleństwa wieczoru.

Żołnierze z trzech straży siedzieli w dwóch rzędach przy czterech długich stołach. U góry pochodnie w żeliwnych obejmach kopcily i sypały płatki popiołu na podłogę. Kol wraz z gośćmi i komendantami straży siedział przy głównym stole. Służący biegali rażno do okienka, gdzie pojawiały się wciąż nowe potrawy. Drewniane stoły uginały się pod ciężarem półmisków z szynkami, pieczonymi gęśmi, baraniną i sosami, garnkami ze świeżo złowionymi w rzece węgorzami, przetworami owocowymi; kucharze pokazali, na co ich stać. Psy węszyły wokół ław z nadzieją na znalezienie ochłapów. Sala wyglądała prawie tak samo jak podczas uczt wystawianych przez Athora, tyle że żołnierze nosili czarnoczerwone naszywki, a ich twarze nie były twarzami ludzi, których Ryke znał od dzieciństwa, od których się uczył i z którymi stawał do boju.

Kol sprawił wszystkim miłą niespodziankę, zapraszając na ucztę mieszkające na zamku kobiety. Zajmowały ławy pospołu z żołnierzami. Ryke patrzył na nie uważnie, gdy wchodziły na salę. Wątpił, by zjawiała się tu Becke, lecz wszystko było możliwe. Na tę okoliczność ubrały się strojnie w aksamity, miękką bawełnę, delikatną wełnę i błyszczące połyskliwie jedwabie. Wyraźnie odróżniały się od ubranych w samodziałowe odzienie wojaków.

Ryke napełnił talerz węgorzami w sosie winnym. Uwielbiał tę potrawę, jednakże po kilku kęsach odsunął pełną miskę. Zrobiło mu się niedobrze. Ujrzał w wyobraźni ciemny mur, a przed nim szczupłego, wygłodzonego Errela. Młoda służąca pochyliła się nad nim, zatroskana.



- Zepsuta?

Rozpromieniona buzia przypomniała mu jego siostrzyczkę Kepi. Uśmiechnął się, widząc jej zmartwienie.

- Nie. Jest całkiem dobra, ale wolałbym czysty talerzyk z plastrem szynki.

Straż Ryke'a miała pełnić wartę od północy do świtu. Nastawiając ucha na toczące się wokół rozmowy, zastanawiał się zarazem, jak porozstawiać ludzi. Kol znakomicie się bawił. Rzucił psom kości wieprzowe, nagabywał służące, rozprawiał o strategii z Onranem (który zarumienił się wyróżniony w ten sposób, lecz stanął na wysokości zadania) i o hodowli koni z Gamem. Dowodził, że konie Asechów są silniejsze niż te z ras górskich. Gam nie zgadzał się z nim. Kol pilnował, aby gościom nie brakowało jadła. W czasie uczyty w imieniu obydwu posłańców głos zabierał nieodmiennie Norres.

Kiedy zaczęło brakować trunku, Kol zarządził, aby wytoczono z piwnic beczkę słodkiego wina.

- I mają być srebrne kielichy - dodał, na co kamerdyner pokłonił się, by po chwili wrócić z trzema dzbanami słodkiego czerwonego wina. Kol uniósł kielich z płaskim reliefem, przedstawiającym kozła uciekającego przed łucznikiem. - Dobra robota - orzekł, głaszcząc powierzchnię naczynia. - Nie przyniosłaby ujmy rzemieślnikowi z południa. - Dotykał błyszczącego srebra, jakby miał w rękę żywą istotę. Ale przecież był synem kowala.

Po skończonym posiłku odsunięto ławy, aby rozprostować kości. Kobiety wycierały ręce z tłuszczu w nasączone parą w kuchni płócienne serwetki. Ryke rozglądał się za Becke, lecz jej nie zauważył. Kol poczekał, aż ze stołu znikną ostatnie resztki mięsa, a wtedy zażądał drugiej beczki słodkiego wina i deserów. Służący zaczęli rozdawać pucharki z lodami, kremem i miodem.

- Gdzie mój błazen? - spytał Kol.

Tym razem wwieziono na wózku całą beczkę. Siedział na niej okrakiem Errel.

- Przerwałeś mi - zwrócił się hardo do Kola. Hycnął z beczki, stanął na rękach i saltem przeskoczył na równe nogi.

- Co takiego robiłeś?

- A szczałem! - Uśmiechnął się trefniś bezczelnie i uskoczył przed skórką od chleba, którą weń cisnął Kol. Ruszył wzdłuż stołów, machając różgą i dotykając nią ludzi w ramię. - Ty, ty, ty i ty... - Skrzywił się, gdy mijał Ryke'a. Pod białymi i niebieskimi paskami farby jego twarz była skurczona i poważna. Panował nad nerwami ostatkiem sił. Poruszał się bezgłośnie na bosy. Wykonał akrobatyczną gwiazdę między dwoma stołami, a następnie potrząsnął rękoma, jakby rzucał zaklęcie. - Fe!

Ryke patrzył z rozbawieniem, jak żołnierze uchylają się z zabobonnym lękiem przed wierzbową witką.

- Cóż to ma znaczyć? - zapytał Kol, jeszcze nie dotknięty.

- Wszyscy zostaniecie odczarowani! - oświadczył chłodno Errel.

Spojrzenia kierowały się na główny stół. Gianie uśmiechali się. Zawstydzeni wojacy hałasowali, dając wyraz uldze. Dotykani różgą, szczyrzyli zęby lub czerwienieli na twarzy.

- To mój cziris - wyjaśnił Kol posłańcom. - Taki południowy zwyczaj. - Płonął rumieńcem. Ciekawe, co by zrobił, zastanawiał się Ryke, gdyby posłańcy poczuli się urażeni. - On nie robi nic złego. Chodź no tu bliżej! - zawołał na Errela.

Wezwany wskoczył na stół. Poruszając się z gracją, zręcznie omijał dzbanki i talerze, chłoscząc ręce ludzi, którzy próbowali go zrzucić. Ktoś chwycił go za kostkę. Trefniś strącił mu na spódnie pucharek z lodem. W końcu dotarł do głównego stołu. Ukłonił się posłańcom i przykucnął przed Kolem jak żaba, z obwisłymi rękami.

Ryke odwrócił wzrok z odrazą. Gdy usłyszał szyderyczy śmiech Helda, popatrzył z powrotem na Kola, który wsparł łokcie na stole. Na tę ucztę Errel ozdobił szyję marszczonym kołnierzem.

- Znasz Berenta Jednookiego? - zapytał Kol.

- Oczywiście - odpowiedział błazen.

- Nauczył się czegoś ode mnie? Wyprawi się zimą z wojskiem?

- Nie, to wykluczone - odparł Errel. Pokręcił głową, aż zadźwięczały dzwonki na jego czapie. Siedzący bliżej żołnierze wyciągali szyje, aby nie uronić słowa.

- Skąd ta pewność?

- Tylko człowiek z duszą wilka toczy wojnę zimą - odrzekł poważnie Errel.

Kol chwycił go za krezę.

- Ja walczę zimą!

Errel zdawał się nie zwracać uwagi na wielkie łapsko u swego gardła.

- Berent Jednooki miłuje honor i pokój. - Zebrał myśli.

- Nadawałby się bardziej na psiarczyka niż wodza.

Kol parsknął śmiechem i odepchnął błazna. Ten zeskończył zwinnie na ziemię i... przepadł. Nagle dał się słyszeć wrzask żołnierza siedzącego na środku jednego ze stołów.

- Tam do kata! Dziabnął mnie w nogę!

Errel wychynął przy innym stole, trzęsąc czapą z dzwonekami w teatralnym pokazie zranionej niewinności. Kol uśmiechał się szeroko. Wyglupy Errela, zwykle błahe i krotochwilne, posuwały się czasem do obrazy. Ludzie nieraz już brali się do bicia, choć Kol surowo ich pouczył, że tylko jemu wolno karać błazna.

Przyglądając się ucztującym, Ryke dojrzał kobietę, która zdawała się wrosnięta w ławę; zaciskała mocno usta i trzymała ręce na kolanach. Znał ją. Miała na imię Madi, urodziła się na wsi. Najwyraźniej była tym widowiskiem zniesmaczona, co trochę uspokoiło jego nerwy. Kierując spojrzenie na posłańców w zielonych kaftanach i wysokich butach, rozmyślał, czy wiedzą kim jest Errel i co sądzą o niebezpiecznej i upokarzającej grze, jaką prowadził książę. Jeśli w ogóle czegoś się domyślali. Zastanawiał się też, kim naprawdę są i czy rzeczywiście nie mają płci. Może byli kastratami? Słyszał o strasznych rzeczach, które przytrafiają się ludziom na Wojnie. Nie dostrzegał jednak w ich zachowaniu tej swoistej miękkości, jaka cechowała eunuchów. Gianie, choć tacy spokojni, byli też twardzi jak skała.

Po deserze kobiety rozeszły się do swych pokoi. Teraz miało się zacząć prawdziwe pijaństwo. Ryke miał oko na swoich ludzi. Z polecenia Kola żołnierze mający pełnić straż trzymali się z dala od kielichów. W przejściu między stołami dwie osoby wzięły się za bary. Wokół nich szczekały psy. Kol poruszył się ze złością. Jeden z mężczyzn, któremu nie-  
źle już dymiło się z czuba, potknął się i klapnął na tyłek. Zaklął, gdy inni zaczęli rzucać w niego łyżkami.

Ryke wstał, okrążył stół i kopniakami rozdzielił walczących.

- Przygotujcie mi ławę! - rozkazał. Żołnierze wstali z miejsc i przesunęli ławkę. Usiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. - Będę walczyć na rękę. - Podwinął niedwuznacznie prawy rękaw.

Zrobiło się ciszej. Ludzie uwielbiali pojedynki. Chwiejnie wystąpił naprzód żołnierz z zastępu Onrana. Miał wielki brzuch.

- Stawiam dzban, że wygra Scavat! - krzyknął Onran.

- Dwa, że Ryke! - odkrzyknął Vargo.

Ryke uśmiechnął się, złapał dłoń przeciwnika i wykręcił ją z łatwością. Onran jęknął, rozczarowany.

- Kto następny? - Ryke pokonał jeszcze trzech śmiałków. Trzeźwość umysłu i długość ramienia dawały mu przewagę. Zaczynały go już boleć palce. Zamierzał zrezygnować, gdy wtem spoczęła na nim ciężko czyjaś ręka. Kol obszedł ławkę i usiadł naprzeciwko niego. - Trochę się zmęczyłem - zastrzegł się Ryke.

- A czymże ty się zmęczyłeś? Tych pijaczków pokonałby każdy, kto zachował choć trochę trzeźwości. - Podwinął rękaw. - Zapraszam do uczciwej walki, Ryke.

Ludzie gromadzili się wokół w ciszy z błyszczącymi oczyma.

- A więc uczciwa walka - zgodził się Ryke. Zgiął kilka razy palce dla rozluźnienia i oparł łokieć o ławkę.

Ramię miał dłuższe niż Kol, lecz ten ostatni dysponował wielką siłą. Był zbudowany jak buhaj. Spletli dłonie. Held podjął się roli sędziego.

- Już!

Kol naprężył mięśnie, przeginając rękę Ryke'a. Ten jednak zacisnął zęby i więcej już nie popuszczał, mimo że Kol potężnie napierał. Liczył na to, że dowódca opadnie z sił. Pot zrosił mu szyję i czoło, gryzł w oczy. Kol błyskał ciemnymi oczami, miał łapy niedźwiedzia. Obnażył zęby, co na chwilę nadało mu wilczy wygląd. Ryke'a bolał kark. Kol znów się odrobinę przesunął. Ryke ryknął i podciągnął rękę do wyjściowej pozycji. Miał wrażenie, że upływają godziny. Przeciwnik zgniatał mu palce. Przyciskał. Ręka Ryke'a wolno poszła w dół.

I nagle zupełnie osłabł. Uderzył knykciami o ławkę i przewrócił się na bok. Leżał, zasapany, póki nie przyszedł do siebie. Kol dyszał również ciężko.

- Uczciwa walka - wychrypiał.

Gruchnęły radosne okrzyki. Kol potrząsnął prawą ręką, a następnie zakasał lewy rękaw.

- Kto następny? - zapytał, jak uprzednio Ryke. Nikt się nie zgłosił. Ryke wstał, a żołnierze z jego straży zrobili mu miejsce na ławce. - Banda słabeuszy - szydził Kol. - Baby jedne!

Południowcy śmiali się i kiwali potakująco głowami. Popychali się wzajemnie, lecz żaden nie odważył się walczyć.

Kol rozejrzał się po sali.

- Gdzie mój cziris? - Odpowiedział mu głos dzwonka. Wskazał na posadzkę. - Errel! Umiesz walczyć na rękę?

Errel natychmiast podbiegł, ukłonił się nisko, położył na plecach i uniósł nogę.

- Siadaj! - rozkazał Kol.

Błazen odwrócił się i wyprostował. Kol położył na ławce prawy łokieć.

- Kładę zmęczone ramię - powiedział. - Chodź, błaznie, zabawimy gości. - W jego głosie dało się wychwycić nutę złośliwości.

Ryke sięgnął po karafkę z winem. Bez ceregieli nalał sobie kubek i wypił go jednym haustem. Trunek szczypał w gardle. Poczul nieprzyjemną woń potu.

Przetarł czoło. Przynajmniej nikt go nie posądzi, że walczył nieuczciwie.

Errel podwinął rękaw. Nie był wcale cherlakiem, lecz przy ręce Kola, jego wydawała się szczuplutka. Spletli dłonie. Kol warknął i napał z całej mocy. Errel stawiał jednak opór, choć mięśnie nabrzmiały mu z wysiłku. Rozbrzmiały pomruki zdziwienia.

- Wszystko przez zmęczenie - stwierdził Held.

Czas płynął, lecz Kol nie zwiększał przewagi. Zaciskał tylko wargi, a w końcu wydusił z siebie przekleństwo. Ryke wiedział, że Errel długo tak nie wytrzyma. I rzeczywiście, po chwili uległ. Kol trzasnął jego ręką o kamień, aż ten skrzywił się z bólu. Wtedy go puścił. Książę przewrócił się na plecy, by po chwili wygrzebać się na kolana. Chował w lewej dłoni swą obolałą prawicę. Kol wstał.

- Wina!

Kilku żołnierzy pospieszyło spełnić jego życzenie. Wziął najbliższy kubek, chyłkiem opróżnił zawartość, a fusy wylał na Errela.

- Nieźle ci szło, książątko - powiedział. - Jeszcze się kiedyś poprobujemy. - Nagle znużyła go ta zabawa. - Robi się późno. Uprzątnijcie stoły! Spotkam się w wieży z dowódcami straży. - Popatrzył na gian, którzy siedzieli w milczeniu na swoich miejscach. - Z pewnością chcielibyście czym prędzej wypełnić swoje posłannictwo. Zostańcie z nami jeszcze trochę, aż się namyślimy. W ciągu trzech dni otrzymacie odpowiedź dla Berenta Jednookiego.

\*\*\*

Po czterech miesiącach, na prochach dawnych zwyczajów wyrosło wiele nowych. Zastępcy komendantów pilnowali rozchodzących się żołnierzy. Oni sami czekali na dziedzińcu, gdy paż z rozhuśtaną latarnią oświetlał drogę Kolowi, wspinającemu się na wieżę. Held chodził tam i z powrotem, niespokojny. To jego ludzie trzymali teraz wartę. Ryke opierał się o mur. Bolało go prawe ramię, mięśnie drżały.

Wsluchiwał się w gwar rozmów żołnierzy wracających do koszar. Szczęściarze po dwóch dniach wartowania kierowali się do apartamentów kobiet. Niektórzy szli z sobą pod rękę, zadowolając się własnym towarzystwem. Południowcy byli bardziej tolerancyjni wobec takich związków niż ludzie z północy, pomyślał Ryke. Nie widział nic złego w tego typu układach, lecz na wojnie liczyła się liczebna przewaga, toteż powinnością mężczyzny było płodzenie synów. Służący sprząтали wielką salę, szorując stoły. W kuchni kucharze pokrzykiwali na pomywaczki.

Ryke zamknął oczy. Mając tak niewiele zajęć, mógł sobie wyobrazić, że znowu jest trzynastoletnim chłopcem, którego ojciec niedawno przywiózł do twierdzy. W obecności tyłu olbrzymów czuł podziw i onieśmienie. Jakiś czas pracował w kuchni. Bez szemrania czyścił naczynia przy użyciu mydła, piasku i octu, aż wyskakiwały mu pęcherze na rękach, by po kilku miesiącach, gdy pozwolono mu usługiwać przy stołach, rywalizować z innymi chłopcami o przywilej podawania potraw samemu panu twierdzy. Zastanawiał się, czy chłopcy bili się po kątach o prawo usługiwania Kolowi Istorowi.

Otworzył oczy. Jakby szydząc z jego wspomnień, na dziedzińcu rozbrzmiały głosy południowców. Paź kiwał latarnią na najniższym stopniu schodów. Held pierwszy ruszył do góry, a za nim gęsiego pozostali komendanci, przy czym ostatni wolno szedł Gam. W komnacie pachniało sosnowym drewnem. Kol stał przy kominku. Miał na sobie brązowy wełniany płaszcz, narzucony na fioletowy kaftan, którego rąbek wystawał pod szyją. Obracał w palcach kryształowy kielich, rzecz by można, wysadzany brylantami - tak łatwo odbijał blask ognia. Maleńkie świetliste punkciki mrugały wesoło w ośmiokątnej komnacie.

Na czarnych szybach kładły się blade odbicia, zmarszczone i wypaczone w miejscach, gdzie szkło było pofałdowane lub mokre. Kol odstawił kielich, który znów był zwykłym naczyniem z żółtego szkła. Odwrócił się do Gama.

- Cóż więc myślisz, druhu, o tym układzie pokojowym? Gam targał siwą brodę. Płotka głosiła, że przystrzygał ją na wzór końskiej grzywy.

- Póki co, wyraż zgodę - odparł, niespieszony tym nagłym zapytaniem. - Wkrótce odstąpisz od umowy i nic złego się nie stanie.

- A jakie jest twoje zdanie? - zwrócił się Kol do Ryke'a.

Ryke przyglądał się mężczyźnie na ściennym malowidle. Przypominał Athora.

- Gdyby Berent spraszał najmitów, pierwszy byś o tym słyszał. Nie sprasza. Ma przy sobie mało wojska.

- Niestraszna mi jego armia, choćby najliczniejsza. Teraz chcę tylko wiedzieć, czy mogę ufać jego słowom. - Zaśmiał się. - A ściślej mówiąc, czy jest na tyle głupi, by zaufać moim? Nawet on ma trochę rozumu w głowie. Zamierza grać na zwłokę, póki nie zbierze ludzi. Jaką armię może zebrać i wyszkolić w ciągu dwóch miesięcy?

- Wtedy na niego pójdziemy? - zapytał Onran z zapalem.

Kol wzruszył ramionami.

- Niech będzie trzy miesiące. - Na stole leżała gomółka sera, tak samo żółtego jak kielich. Dobył nóż i odkroił plaster. - Masz - Podsuwając go Ryke'owi, który ugryzł kawałek.

Ser był z wierzchu twardy, ale miękki w środku. Ryke poczuł skurcz w żołądku: skutek tego, że odmawiał sobie jedzenia na uczcie. Ser był zrobiony z krowiego mleka, nie z koziego, do którego przywykł. Nawet mu smakował. Zapewne pochodził z zamkowej spizarni.

Kol odciął drugi plaster. Chwilę jedli w milczeniu, przerwany wreszcie przez Ryke'a.

- Berent stroni od miecza. Ze wszystkich czterech warowni, jego najsilniej obstawała przy rozejmie z Anhardem. Athor powiadał... - Zawahał się.

- Mów dalej.

- Athor powiadał, że Berent, kiedy stracił oko, stracił też ducha do walki.



- Założę się, że jeśli ma dość pieniędzy na opłacenie posłańców, wyśle ich jeszcze na zachód.

- Do Sironena? - zapytał Onran.

- Podpisze ze mną zawieszenie broni, a zarazem sprzymierzy się z twierdzą Pel. Na wypadek, gdybym złamał słowo. On wie, że je złamię. Chciałby zasłonić się tarczą Sironena.

- Ciekawe, czy pchnie gońców na północ - odezwał się Held.

- By prosić Anhard o wsparcie? Nie wiem. To możliwe, Ryke?

Tylko Held mógł wpaść na tak wariacki pomysł. Ryke nie krył obrzydzenia.

- Berent jest człowiekiem północy, jego ród od wielu pokoleń pełni straż w Podchmurnej Twierdzy. Nie sprzymierzyłyby się z Anhardem.

Held słuchał tego z powątpiewaniem, lecz Kol powiedział:

- Jesteś jednym z nich, Ryke. Wiesz najlepiej. - Sięgnął ponownie po kielich. - Jakiś kupiec przywiózł go aż z Kendry. - Skierował wzrok na pociemniałe okna.

- Czy do tego kraju nie zawita już wiosna?

Nikt cię tu nie zapraszał, pomyślał Ryke. Zagryzł wargi, aby powstrzymać się od uszczypliwości. Kol uśmiechał się, jakby czytał w jego myślach.

- Zawita - odparł Ryke. - Za dwa, góra trzy miesiące.

Held wyraził się wulgarnie o życiu na północy. Kol spiorunował go wzrokiem.

- Męczą mnie już twoje komentarze. - Na te słowa Held zeszytniał, jakby dano mu w twarz. - Co o nich myślicie? - ciągnął Kol, wskazując na budynek mieszkalny, gdzie zakwaterowano posłańców.

Ryke wzruszył ramionami.

- Dobrze o nich świadczy, że troszczą się o konie - powiedział Gam.

- Widać, że im na nich zależy. Godne podziwu.

- Myślisz, że pieprzą się z chłopakami? - zwrócił się Onran do Helda.

- Mogą sobie nawet wychedożyć świnię. Co mnie to obchodzi?

Onran parsknął śmiechem.

Kol zdjął świecę ze srebrnej oprawy. Pochylił się nad kominkiem i przytknął knot do czerwonego węglika. Odwrócił się z wesołą miną.

- Może i to robią. Nie takie rzeczy się słyszało. - Płomyk świecy odbijał się w oknie niczym księżyc na spokojnej tafli jeziora. Kol postawił ją na stole. - Wszystko, co odmienne, budzi moją ciekawość. I tym się różnimy. - Mówi do nich cicho w półmroku. - Powinno was to obchodzić. Powinno...

\*\*\*

Nocne strażę czuwały nad spokojnym snem twierdzy.

Ryke obchodził jedno po drugim stanowiska wartownicze. Do woreczka wiszącego u pasa schował kawałek czystego płótna z zapasów medyka. Przechadzał się wzdłuż murów wewnętrznych i zewnętrznych, kuźni, koszar, stajni, głównej sali. Zaglądał do wartowni. Ludzie machali mu ręką, mamrotali słowa pozdrowienia. Pod zachodnią bramą zaprosili go do gry w kości, lecz odmówił. Południowcy stosowali inne, nieznanne mu zasady. Nie spotkał żadnego śpiocha. I nie dziwota, jako że na mrozie ciężko byłoby usnąć.

Podczas tej bezksiężycowej nocy czuł się jakoś dziwnie. Po raz wtóry przemierzał dziedziniec. Jego myśli osaczyły widma, duch ojca i duch Athora. Dręczyły go wspomnienia zabitych ludzi. Cieszył się, że tego dnia nie ma pełni księżyca, albowiem taką porą, jeśli wierzyć starym opowieściom, po ziemi błąkały się niespokojne mary. Pierwszy raz od miesięcy Ryke pragnął kobiety - nie z żądy ciała, ale potrzeby ukojenia. Zastanawiał się, co zrobiłyby niewiasty, gdyby poszukał teraz w ich pokojach pociechy. Pewnie uważały go za zdrajcę. W powszechnej opinii mężczyźni mieli więcej niż one możliwości wyboru. Pomyślał o Becke,

a zaraz potem o Madi. Ciekawiło go, czy zrozumiałaby go ona lub ktokolwiek inny, gdyby zaczął wyjaśniać, że nie zawsze można wybierać.

Wiatr się wzmagał. Proporzec Kola Istora łopotał na maszcie niby jakieś nocne stworzenie, schwyte w potrzask. Ryke miał nadzieję, że jego wilczur schronił się bezpiecznie w ciepłym, osłoniętym od wiatru zakątku. Sam włożył ręce pod pachy, aby się ogrzać. Wszedł do kuchni, skinąwszy głową strażnikowi, po czym udał się do pomywalni. Przed piecami chłopcy kuchenni spali pokodem jak psiaki. Przeszępował ich nogi. Żelazne rondle na ścianach cicho pobrzękiwały.

W pomywalni przeważał zapach mydła i tłuszczu. Kucharze przymykali oczy, gdy nocą Errel wkładał się do obskurnej komórki, gdzie miał słomiane posłanie i skrzynię zamiast stołu. Ryke wetknął głowę za drewnianą przegródkę. Errel jeszcze nie spał. Rozłożył karty na skrzyni w mdłym blasku grubej świeczki. Układały się w logiczny wzór. Ryke dostrzegł niektóre z nich. Wiedział, jak się nazywają: śmierć, koło fortuny, tancerz, astrolog.

Ominął przegródkę. Na ścianie parodiował go groteskowo wysoki cień. Usiadł na słomie. Ledwie się mieścili w komórce.

- Pokaż mi rękę.

Errel wyciągnął prawą dłoń. Palec środkowy był ciemnosiny i bardzo napuchnięty. Do tego przekrzywiony.

- Złamany - stwierdził spokojnie książe.

- Możesz nim ruszać choć trochę?

- Nie.

- Trzeba go nastawić. - Ryke rozejrzał się po zagraconej komórce, szukając jakiegoś drewnienka.

- Lepiej nie - sprzeciwił się Errel. - Jeśli Kol zobaczy, że jest nastawiony, zacznie coś podejrzywać. Ma nosa do takich rzeczy. Żartował do kucharzy, żeby mnie zbytnio nie podkarmiali. To tylko z pozoru były żarty. Załóżmy, że zapyta, kto mi leczy rękę? Kogo miałbym wskazać? Nie uwierz, że sam to zrobiłem.

- Przynajmniej ci to zabandażuję. - Ryke wydobył z woreczka czystą szmatkę. - O to nie może się bocyć.

- Ścisnął kolanami nadgarstek Errela i związał trzy środkowe palce jego dłoni.

Errel stękał z bólu.

- Nie powinienes... tu... przychodzić - stęknął.

- Moi ludzie pełnią straż. Obchodzę posterunki. - Zaciśnął ostatni węzeł. - Nie za mocno?

- Nie. - Errel chwilę dyszał. - Już lepiej. Sięgnął lewą ręką do skrytej w mroku wnęki, skąd wyciągnął pajdę chleba. Odłamał sobie kawałek, a resztę wręczył Ryke'owi – resztki z obiadu. Poczęstuj się. Jadłem dziś po królewsku.

Brutalne zachowanie Kola nie wpędziło księcia w ponure otepienie. Ryke zaczął jeść chleb, pulchny i ciągle jeszcze ciepły. Posłyszał chłupot. Errel podał mu wino w kubku.

- Po co przyjechali posłańcy, Ryke? - zapytał raptownie.

- Przywieźli prośbę o zawieszenie broni od Berenta Jednookiego. W zamian za pokój odda Kolowi młodszego syna.

Errel przesunął wzrok na karty. Ryke nie wiedział, co mówią.

- Prawdopodobnie myśli, że nic innego mu nie pozostało - rzekł Errel. - Kol jednak nie przestrzega umów. Zdobędzie na wiosnę Podchmurną Twierdzę, zanim żołnierze rozleniwia się i odwykną od miecza. - Zgarnął karty na stosik. - Spotkałeś się osobiście z posłańcami? Rozmawiałeś z nimi?

- Spotkaliśmy się, ale nie było rozmowy. Poznałem ich imiona.

- Też je znam. Norres i Sorren. Przez noc w kuchni aż huczało od plotek. Co o nich myślisz?

Ryke wzruszył ramionami, jak to miał w zwyczaju, gdy odpowiadał na pytania Kola.

- Zamieniłem z nimi ze dwa słowa. Tylko jeden zabiera głos. Wyglądają całkiem zwyczajnie.

Errel parsknął cichym śmiechem, lecz szybko się opamiętał.

- Doprawdy? - Podniósł się z posłania. Blask świecy wydobywał resztki farby na jego policzkach. - Wstań na chwilę.

Ryke posłuchał Errela, który przyklęknął, uniósł prymitywne łożo, przytrzymał je ręką i kolanem, a następnie poszukał czegoś pod spodem. Uniósł się obłoczek kurzu i Ryke'owi zebrało się na kichanie. Zacisnął gwałtownie nos, aby powstrzymać odruch. Errel wyciągnął jakiś worek. Opuścił łożo i z pomocą zębów zaczął rozplątywać sznurki.

Ryke przeszkodził mu stanowczo.

- Pozwól, książę, że sam to zrobię. - Przysunął worek do świeczki. Poprzez skórę, najprawdopodobniej świńską, wyczuł wyraźnie kształt pierścienia. Ostatecznie poradził sobie z węzłami. Gdy wsunął palec do wnętrza, pierścień sam na niego wskoczył. Składał się z grubej złotej obrączki, ozdobionej płaskim kwadratowym rubinem. Na klejnocie wygrawerowano ośmioramienną gwiazdę, godło władców Tornoru. Ryke widział go po raz ostatni na rękę Athora. Nie, to inny, pomyślał. Zaskoczenie plątało mu myśli. Athor został pogrzebany, a więc i jego pierścień leży w ziemi.

Wiedział jednak, że nie było drugiego takiego pierścienia. Dotyk złota przejmował go dreszczem.

- Nim Athor spoczął w grobie, wezwali mnie, abym go zobaczył - powiedział Errel. - Wtenczas mu go zdjąłem. Zawsze był luźny, a po śmierci człowiek się kurczy. Pokażesz go komuś - dodał, kiedy Ryke podał mu pierścień.

Ryke wcale go nie chciał.

- Komu?

- Posłańcom. Możesz dostać się ukradkiem do ich pokoju?

- Oczywiście.

- Na pewno poznają ten pierścień. Powiedz, kim jesteś. Zapytaj, czy pomogą nam się stąd wydostać.

- Czemu mieliby nam pomagać?

- Kiedyś się z nimi spotkałem. Z Sorrenem i Norresem. Wybawiłem ich z kłopotów. Jest szansa, tym bardziej, że mają konie. Poproś ich. No, idź już. - W ciemnej komórce słowa dobiegały zewsząd, zdawały się wychodzić ze ścian. Ryke czuł się osłabiony. Ścisnął pierścień w dłoni i schował go do kieszeni na piersi.

54

Któryś ze śpiących jęknął w kuchni. Ryke zastanawiał się, czy przypadkiem jego, Errela i wszystkich mieszkańców zamczyska nie nawiedził w gorączce ten sam sen. Przypominały mu się opowieści, które snuła jego matka, kiedy leżał chory.

- Idę, książę.

## Rozdział 4

Gdy wyszedł z kuchni i znalazł się na wewnętrznym dziedzińcu, nocny ziąb, niczym srogi wicher, wdarł się pod jego koszulę. Przytrzymując płaszcz pod szyją, udał się czym prędzej pod drzwi budynku mieszkalnego. Tutaj przyszło nań otrzeźwienie. Oparł się o drewnianą framugę. Była dla niego jak kostur dla wędrowca. Czekał w cieniu, sprawdzając, czy nikt go nie zauważył. W oddali pies zaszczekał sennie, ale nie na niego. Wiatr gnał po placu tumany kurzu. Pośród wycia Ryke usłyszał odgłos, jakby coś upadło. Wyobraził sobie, że strażnicy nad nim na murze szukają czegoś po omacku. Ręce tak mu zmarzły, że nawet w skórzanych, podbitych filcem rękawicach nie dałby rady utrzymać włóczni.

Podniósł wzrok. Niebo było bezchmurne. Za obrysem północnego muru, hen daleko majaczyły góry: posępne, nieprzejrzane, czarne. Nad jego głową błyszczały dwie gwiazdy, które ludzie nazywali Oczami. Tuż obok nich krętą wygwieżdżoną ścieżką biegł Ogon. Opowieści nie rozstrzygały, jakie stworzenia - ludzkie, zwierzęce czy demoniczne - żyją na firmamencie. Ryke dostrzegał tam rybę o srebrzystych, cętkowanych łuskach i wilczych zębach. Podobno na południu ludzie wróżyli przyszłość z układów gwiazd na niebie, podobnie jak Errel odczytywał ją z kart. Zastanawiał się, jakie nazwy nadano niebiańskim konstelacjom. Odwróciwszy się, namacał rygiel. Z westchnięciem objął go palcami, odsunął i otworzył poskrzypujące drzwi. Wśliznął się do środka. Wewnętrzny rygiel jednak się zaciął. Ryke użył siły, bojąc się, że ktoś zobaczy niedomknięte drzwi. W końcu rygiel opornie dał za wygraną i wsunął się w zardzewiały skobel. Wydawał przy tym dźwięk jak człowiek cierpiący na

ból zębów. Ryke upewnił się więc, że nikt niczego nie słyszał. Żaden strażnik się nie pojawił. Był niewidoczny, podobny do cienia snującego się po zamku pełnym duchów. Zaśmiał się pod nosem. Wróciła gorączkowość, serce rozgrzał zapach, ognisty niczym cielesna żądza.

Kol zajmował pokoje, które dawniej należały do Athora. Zgodnie z tradycją tutaj, najbliższej głównej sali, mieszkali władcy twierdzy. Apartamenty kobiet znajdowały się w południowym końcu budynku. Posłańcom przydzielono pokój na środku korytarza, gdzie hałas mężczyzn odwiedzających kobiety nie był tak uciążliwy. Mijając rząd pustych pomieszczeń, Ryke co jakiś czas słyszał w dali przytłumiony śmiech lub kobiecy jęk. Drzwi kiwały się smętnie. Podłoga trzeszczała. Za rządów Athora nawet niezamieszkane komnaty napelniały się życiem. Gdy Ryke zajrzał do jednego pokoju, dostrzegł szczura skaczącego w mętym blasku gwiazd. Żałował, że nie ma pochodni. Pobielone ściany były lodowato zimne. Tutaj częściej niż gdzie indziej duchy snuły się za jego plecami. W drodze korzystał z poświęty gwiazd i tego, co pamiętał.

Pełgające na ścianie światło świecy ostrzegło go, że doszedł już do pokojów gościnnych. Jakiś paź skulił się pod drzwiami, gdzie spał, nie zważając na zimno. Drzwi były uchylone. Ryke pchnął je ostrożnie. Otworzyły się z cichutkim skrzypieniem. Pazia to nie obudziło. Ryke ominął chłopaka. Gdyby nie mrugające czerwienią węgle w piecyku, sypialnia byłaby pogrążona w całkowitych ciemnościach. Już, już miał przemówić, gdy raptem w ciszy ktoś chwycił go za włosy i wykrzywił mu głowę do tyłu. O mało nie stracił równowagi. Nie chciał upaść, aby hałas nie obudził pazia.

- Przyjacieł! - szepnął.

Poczuł na gardle chłodną pieszczotę noża.

- Nie ruszaj się! - posłyszał czyjś cichy rozkaz. Oślepił go blask zapalanej świecy. - To komendant Ryke.

Rozejrzał się. Ten, który z nim rozmawiał, stał naprzeciwko niego ze świecą. Norres. A zatem to Sorren trzymał go za włosy i groził mu nożem. Wytężył wzrok, aby przeniknąć spojrzeniem blask świecy.



- Sprawdźcie kieszeń na lewej piersi.

Norres wyciągnął pierścień dłonią zwinną jak u złodziejaska. Światło padło na złoto. Ręka trzymająca Ryke'a za włosy zdrząła.

- Skąd to masz? - zapytał Norres.

Łzy napłynęły mu do oczu. Szarpał się, by nie stracić równowagi.

- Errel mnie przysłał... Księżę.

Sorren wreszcie go puścił. Ryke oparł się o ścianę płaską dłonią. Uporządkował włosy. Posłańcy popatrzyli na siebie. Norres cofnął się dwa kroki i nachylił, aby umieścić świecę w lichtarzu. Chwiejne światło wydobywało z ukrycia fragmenty łóżka, kufer z mosiężnymi kłódkami, smukły i ostry grot anhardzkiego oszczepu, zawieszzonego na ścianie w żelaznych obejmach.

- Mieliśmy cię za sługę Kola Istora - rzekł Norres.

- Służę mu, bo muszę, lecz pierwszą przysięgę składałem przed Athorem, władcą Tornoru. Me służby są ceną, jaką Kol wyznaczył za życie Errela.

Znowu na siebie popatrzyli. Ryke stwierdził, że nie są jednak tacy sami, choć upodabniały ich płowe, rzadkie włosy przypominające trawę na północy.

- Jak nas przekonasz, że nie przysłał cię Kol? - spytał Norres.

- Dlaczego miałby mnie przysłać?

- Zdarzyło się już w przeszłości - powiedział gianin - że chytry błazen namawiał posłańca do stronniczego postępowania.

- Errel nie jest błaznem, a ja nie knuję podstępów. Zostałem tu przysłany przez księcia.

- Czego chce od nas księżę?

- Pyta, czy moglibyście nam pomóc, jemu i mnie, wy dostać się z Tornoru.

Skoro to powiedział, nie mógł już się wycofać. Splótł dłonie. Sorren odetchnął głośno.

- Cholera... - Jego głos zabrzmiał dziwnie w uszach Ryke'a. Był wysoki i melodyjny, bezsprzecznie niewieści. Zmrużył oczy. Na miękkiej wełnianej sukni rysowały się nieomyłne kształty bioder i piersi. Patrzył na kobietę.

- I co się tak przypatrujesz, komendancie? - zapytał Norres.

Sorren odgarnęła z twarzy kosmyk włosów. Spłowiwały błękit sukni podkreślał piękno jej modrych oczu. Żrenice Norresa były szare jak zmierzch.

- Niech i tak będzie, Norres - powiedziała. - Możemy was ze sobą zabrać, gdy stąd wyjedziemy - zwróciła się do Ryke'a. - Jeśli wyjdziecie za mury.

Ryke był zmieszany. Nie spodziewał się, że usłyszy jeszcze jej głos. Gdy poznał w niej kobietę, myślał tylko o tym.

- Naprawdę?

- Pojedziecie z nami, ale niezbyt daleko - rzekł Norres. - Obowiązek wzywa nas do powrotu do Podchmurnej Twierdzy. Możecie nam towarzyszyć w drodze.

Sorren ponownie odgarnęła włosy. Na prawym biodrze nosiła sztylet podobny do krótkiego mieczyka. Ryke zastanawiał się, czy rany pod okiem nabawiła się w boju. Nie spotkał nigdy kobiety, która umiała walczyć.

- Kim wy jesteście? - spytał.

- Pośłańcami, komendancie.

- Errel powiedział, że was zna. Pochodzicie z północy?

Norres nachmurzył czoło.

- Tu się urodziliśmy - odpowiedziała Sorren. Miała akcent w połowie południowy, a w połowie północny, trudny do określenia. Pas opinający jej biodra był przetykany srebrem w stylu praktykowanym przez górskich rzemieślników. Ryke nie widział pochwy na sztylet.

- W Tornorze?

- Bywaliśmy tutaj - rzekł Norres tonem, który odwiódł Ryke'a od dalszych pytań. - Zgadzą się spełnić waszą prośbę. Teraz odejdź. Czekać w cieniu Wieży Czat, za murami zamku, rano w dniu naszego odjazdu, a zabierzemy was stąd.

- Jeśli możecie, zaopatrzyć się w żywność - dodała Sorren. - Ciężko cokolwiek upolować przy gościńcu. Nie zapomnijcie też o futrach, jeśli nie chcecie zamarznąć na przełęczy.

Norres zwrócił Ryke'owi pierścień. Sorren pochyliła się nad świecą i zdmuchnęła ogień, pogrążając pokój w ciemnościach. Węgłe w kominku gorzały jak czerwone oczy. Czyjaś silna dłoń odprowadziła Ryke'a do drzwi. Gdy przechodził nad śpiącym paziem, układał już plany ucieczki. Musiał pójść do stajni i wziąć stamtąd ukryty pakunek. Szedł chwiejnie w mroku. Połyszał piśnienie szczura. Tak naprawdę, nie spodziewał się, że posłańcy pójdą mu na rękę.

\*\*\*

Dopiero podczas trzeciego obchodu posterunków miał okazję pomówić z Errelem.

Została godzina do świtu. Wschodni widnokrąg rysował się smuzką światła, gwiazdy zaczynały gasnąć. Żołnierze czuwali jednak na warcie, narzekając na zimno. Ryke udał się do stajni. Wygrzebał pakunek z kryjówki za oblużowaną deską i zabrał go z sobą. Strażnicy niczego nie zauważyli. Chłopcy stajenni chrapali na poddaszu. Konie wierciły się w przegrodach. Ryke poszedł do kuchni. Z pokoju przylegającego do składu sączyło się światło. Kuchmistrz był już na nogach, sztorcował swego pomocnika. Psy i kuchciki leżeli nieprzytomnie u rozgrzanych gardzieli wielkich ceglanych pieców. Ryke cichaczem przeszedł do pomywalni.

Errel uniósł się na posłaniu.

- To ty, Ryke?

- Ja.

Na twarzy księcia złocił się zarost. Patrzył pustymi, podkrążonymi oczami, jakby tej nocy w ogóle nie spał.

- I co powiedzieli? - zapytał.

- Zgodzili się. - Ryke podał mu pierścień. - Wybacz, że tak długo to trwało. - Rzucił na ziemię pakunek.

- Nie przejmuj się - odparł Errel z wyuczoną grzecznością. Sięgnął po pierścień prawą ręką, lecz pomiarkował się i wyciągnął lewą. Przesunął wzrok gdzieś za plecy Ryke'a, jakby czegoś szukał. Ryke zastanawiał się, o co mu chodzi.

Po chwili jednak zaszępiła twarz księcia rozpogodziła się w wyrazie ulgi. Oczy mu pałały. - Przypuszczałem, że się zgodzą - powiedział, przeciągając się w ramionach. - Dziękuję ci, Ryke. Dobrze się spisałeś. - Nie doczekał się odpowiedzi. - Kiedy Kol odeśle ich do Berenta?

- Za trzy dni, może trochę wcześniej.

- To dobrze. - Popatrzył na pionową szczelinę, służącą w pomywalni za okno, jakby swą bezbrzeżną tęsknotą był w stanie przyspieszyć nadejście dnia.

- Wiedziałeś, że jeden z nich jest kobietą? - spytał Ryke.

Errel spojrział nań z ukosa. Przyklęknął i schował pierścień pod łóżkiem.

- Znałem ich jeszcze jako dzieci. - Opuścił posłanie. Było wąskie jak deska: brudna mata, przykryta niechlujnie podartymi płóciennymi workami.

- Mieszkali w twierdzy?

- Tylko Sorren.

- Jakoś ich nie pamiętam.

- Bo odeszli. To dawne dzieje. - Siedział na łóżku, obejmując zabandażowaną rękę zdrową dłonią. - Jak się z nimi spotkamy? Widzę, że zaopatrzyłeś się na podróż.

Ryke wyjaśnił mu, co i jak.

- W cieniu wieży. Rozumiem. Zanim odjadą, Kol podejmie ich ucztą na sali. Ja w tym czasie będę kręcił się koło kuchni. Kucharze już się do tego przyzwyczaili. Kiedy konie zostaną wyprowadzone ze stajni, znajdę jakiś sposób, żeby dostać się pod zachodnią furtę.

- Potem się spotkamy.

- Szkoda, że nie mam łuku. - Errel spojrział zmartwiony na swoją rękę. - Choć pewnie i tak nie mogę jeszcze nim władać.

- Spróbuję go wykraść - rzekł Ryke. - Kol trzyma łuk w wieży.

Errel uśmiechnął się ponuro.

- Gdybym potrafił naciągnąć cięciwę, mógłbym opóźnić pościg. Wtedy nawet chciałbym, żeby za nami poszli.

- Wypluj te słowa! - Ryke uczynił znak przeciwko złemu.

- Jeżeli wymkniemy się z zamku, nikt już nas nie złapie - stwierdził Errel głosem twardym jak skała. - To pewne.

Ukryta wzmianka o kartach przeszła Ryke'a dreszczem. Rozejrzał się po maleńkiej komórce, lecz Errel dobrze je schował pod koszulą albo pod łóżkiem.

Od narożnika zewnętrznych murów doleciało pianie kogutów. Zaczęły szczekać psy. Zbliżała się pora zmiany warty. W kuchni ruszali się pomywacze. Ryke nie chciał się na nich napatoczyć.

- Lepiej już pójde, księżę.

- Idź. - Errel opadł na posłanie i przykrył się cienkim kocem. Jego rzęsy zadrżały. Mimo zmęczonej twarzy wyglądał bardzo młodo.

\*\*\*

Nazajutrz Ryke przyłączył się do swoich ludzi na majdanie.

Kiedy był dowódcą straży w służbie u Athora, ćwiczył dwie godziny dziennie przez trzy dni w tygodniu, co wystarczało, aby nie dostawać zadyszki przy byle okazji i mieć płaski brzuch. Znaczny wzrost, w połączeniu z siłą i długością ramion, dawał mu przewagę nad innymi, a on ze swej strony nauczył się korzystać z tych darów. Nigdy nie wybuchnął ślepą furją, którą żołnierze w czasie bitwy nadrabiali braki w wyszkoleniu. W służbie u Kola zaprzestał regularnych ćwiczeń. Wchodząc na ogrodzony kwadratowy plac, czuł się strudzony i sflaczały.

Na placu aż dudniło od szczęku drewnianych mieczy. Ryke pogrzebał w stosie broni, skąd wyciągnął poplamione skórzane bryczesy i metalowy napierśnik. Nie zamierzał wkładać hełmu, choć od razu spostrzegł, że noszą je prawie wszyscy walczący. Silny cios drewnianego miecza mógł okazać się śmiertelny. Podeszedł do płotu, o który opierał się Vargo. Piegus rozcierał prawy łokieć. U jego stóp leżał drewniany miecz. Ryke podniósł go, podejrzewając, że jest

uszkodzony, ale się pomylił. Podobnie jak większość mieczy używanych do ćwiczeń, i ten był wyszczerbiony, a na rękojeści świecił się od potu. Wykonany został z białego dębu, podobnie jak ten, który wybrał sobie Ryke. Oparł go o ogrodzenie sztychem do ziemi.

- Co się stało? - zapytał.

Vargo zgiął łokieć. On też nie nosił hełmu.

- Nadwyrężyłem rękę - odparł mruklawie zastępcy komendanta. - Nic mi nie będzie. Na razie boli mnie ramię. - Tracił butem miecz. - Do czorta z tym dziadostwem! Chcę walczyć toporem!

- Nim podniesiesz topór, wprawny żołnierz rozplata cię mieczem.

- W takim razie nigdy nie walczyłem z wprawnymi żołnierzami - stwierdził Vargo z łobuzerskim uśmiechem. Zatoczył koło łokciem i rzucił przekleństwo.

- Może i nie.

Pewien czas ćwiczył samotnie, powtarzając ciosy: pchnięcia, cięcia proste i krzywe - takie aby zdjąć głowę z karku lub wybebeszyć trzewia mimo skórzanego pancerza. Natęzał mięśnie, aż zaczęły boleć i omdlewać. W jasnym popołudniowym słońcu pot lepił się do ubrania. Rozmiękła ziemia, a właściwie piasek wymieszany ze śniegiem, przywierała do butów.

Kiedy znudziły mu się już te ćwiczenia, wrócił do szopy z rynsztunkiem, gdzie wybrał sobie skórzaną tarczę. Skradając się skrajem majdanu, przypiął ją do ramienia i szukał wzrokiem przeciwnika. Efrem i Kinnard wymieniali ciosy w cieniu ogrodzenia. Efrem ruszał się z werwą, lecz Kinnard ciągnął ostatkiem sił. Ryke krzyknął, aby przzerwali. Kinnard dyszał jak po długim biegu.

- Odpocznij - nakazał mu Ryke. Sam uniósł miecz.

Efrem uśmiechnął się bez złośliwości. Nie miał tarczy.

- Chcesz mój hełm, Ryke? - zawołał Kinnard.

- Nie! - Ryke dreptał w kole, próbując tak się ustawić, aby słońce padało na twarz Efremowi. Ten zadał cios oburącz.

Ryke sparował uderzenie, które wstrząsnęło całym jego ramieniem. Efrem był krzepki i barczysty, podobny do Kola. Jego twarz, przysłonięta okrągłym hełmem, stała się poważna. Jeszcze raz rąbnął mieczem. Ryke przyjął uderzenie na tarczę i zaatakował niebroniony bok Efrema. Południowiec odskoczył do tyłu, unikając zranienia, po czym błyskawicznie odpowiedział oburęcznym ciosem. Ciekawe, gdzie się tego nauczył, pomyślał Ryke. Zablokował uderzenie, potem jeszcze jedno, wczuwając się w rytm niższego przeciwnika. Piekły go ręce. Celowo oddał inicjatywę. Efrem kolejny raz machnął mieczem, lecz Ryke szybko się pochylił. Usłyszał nad sobą świst drewnianego ostrza. Chwycił miecz w dwie ręce, zrobił błyskawiczny wypad i trafił sztychem w napierśnik południowca. Ten sapnął z zaskoczenia, zachwiał się, zamachał rękami i usiadł. Ryke oparł się na mieczu. Nadgarstki bolały go z wysiłku. Efrem ciężko oddychał.

- Wszystko w porządku? - zapytał Ryke.

- Nie mogę złapać oddechu. - Efrem siedział i dyszał.

Po chwili wstał, zdjął napierśnik i rozpiął rzemyki koszuli. Na jego smagłej skórze pojawiły się purpurowe pręgi w miejscu, gdzie brzegi skórzanego pancerza wpiły się w ciało.

- Włóż z powrotem koszulę, cały jesteś zlany potem. Niech cię zbada medyk. Możesz mieć złamane żebro.

- To nic wielkiego. - Efrem poruszył prawą ręką z grymasem bólu na twarzy.

- Chcę, żeby cię zbadał.

Efrem odszedł powolnym krokiem. Kinnard wyglądał na wystraszonego. Gryzł końcówkę wąsa.

- Jeszcze jedna walka? - zapytał, unosząc dzielnie miecz.

- Starczy tego. - Ryke nie chciał nadwierać ręki. Względnie zadowolony, odniósł do szopy tarczę i drewniany miecz.

Tego wieczoru kolacja na sali był skromna i niewyszukana w porównaniu z poprzednią ucztą. Kuchmistrz miał już chyba powyżej dziurek w nosie win i węgorki, do wszystkiego bowiem

dodał cebuli. Ryke niewiele jadł, ponieważ nie chciał latać w nocy między łóżkiem, posterunkami i latryną. Posłańcy przekazali wiadomość, że tym razem pragną jeść sami. Kol rozkazał służbie zanieść im jedzenie do pokoju. Nie zwywał Errela. Obyło się bez bójk.

Pod koniec wieczery Istor zwrócił się do komendantów:

- Sprawdźcie, co u ludzi, a potem stawcie się u mnie w apartamencie.

Dowódcy straży spojrzeli po sobie, zaskoczeni. Held udał się na obchód ze zmarszczonym czołem. Gam ruszył rażno do stajni. Onran poszedł poplirtować z kucharkami i zdobyć kawałek gęsi. Ryke został przy stole. Służba uprzątała stoły. Nie miał pojęcia, dlaczego posłańcy spędzili wieczór w sypialni. Czuł niepokój. Ich dziwne zachowanie mogło rozbudzić w Kolu podejrzliwość. Chłopcy gasili świece kapturkami na długich kijach. W przestronnej komnacie zrobiło się ciemno. Psy obgryzały kości. Ryke poczuł na nodze gorący oddech i dotknięcie chłodnego nosa. Pogłaskał i podrapał czarnego wilczura, wzdrygając się na myśl o rzeczy, na którą nie miał najmniejszej ochoty, mianowicie o spotkaniu z Kolem Istorem w apartamencie należącym niegdyś do Athora.

Pies zwykł sunąć za nim przez dziedziniec, lecz nie wchodził do budynku mieszkalnego. Północne schody znajdowały się o krok od sali biesiadnej. Pod drzwiami apartamentu stał paż. Ryke zawahał się. Wolałby tam nie wchodzić.

- Wszyscy się już zebrali? - zapytał, na co paż kiwnął twierdząco głową.

Masywne drzwi były uchylone. Na żelaznych zawiasach błyszcząły elementy powleczone mosiądzem. Ryke lekko potarł gładki metal. Pokolenia paziów, a między nimi i on, mierzyły swój wzrost według mosiężnych okuć i polewowały je swoim oddechem. Poluzował rzemyki koszuli i wszedł do środka.

Kol stał przy ogniu. Wyglądał na wzburzonego. Onran siedział na skrzyni pod oknem z niebieską aksamitną zasłoną.



Held opierał się o ścianę. Brakowało jeszcze Gama.

Ryke usiadł na taborecie. Pokój został przemalowany. Kol przesunął wielką szafę z rzeźbionymi drzwiami i ustawił obok niej szeroki stół z czarnego drewna - teraz zarzucony arkuszami i rolkami papieru - świadectwem pracy kronikarza. Athor powierzał tę funkcję kamerdynerowi Jaretowi, lecz ten zginął w bitwie. Kol nie miał kamerdynera. Nad paleniskiem wisiała rzecz, której Ryke nigdy jeszcze tu nie widział: tarcza o kształcie karo, zakrywająca człowieka od szyi po krocze, zdobiona złotem, srebrem i brązem. Głównym ornamentem był wąż zjadający własny ogon. Ryke widywał już ten symbol na wyrobach z Anhardu, lecz tutaj miał przed sobą arcydzieło. Pod dekoracją tarcza była żelazna. Wyobraził sobie żołnierza, który musiałby taszczyć ją pod górkę lub podczas ucieczki. Nie nosiła śladów uderzeń; zapewne przekazał ją uroczyście jakiś władca z Anhardu na znak rozejmu - dawno za wartego i równie dawno zerwanego.

Gam wszedł do komnaty. Czuć go było stajnią.

- Możemy chyba zaczynać - rzekł Kol. Zatknął kciuki za pas. - Wiedźcie, że przyjmuję ofertę Berenta. Do wiosny powstrzymam się od wrogich działań.

- To znaczy, że nie będziemy ich nękać podjazdami? - zapytał Onran.

- Owszem, nie będziemy - odparł Kol. - Oficjalnie, ma się rozumieć.

- To skąd się dowiemy, jakimi siłami rozporządza Berent? - wyraził zdziwienie najmłodszy z komendantów.

- Nie jestem wróżbitą - odrzekł Kol z uśmiechem. - A jednak coś mi się widzi, że na ziemiach wokół Podchmurnej Twierdzy wkrótce zaroi się od zbójców.

- Może lepiej traperów? - podsunął pomysł Gam.

- Zbójcy walczą zbrojnie - powiedział Kol.

Onran i Held wszczęli sprzeczkę o to, czy zbójcy powinni działać w dzień, czy w nocy. Ryke'a nie obchodziły ich słowa. W pokoju pachniało pszczelim woskiem i suszonym jaśminem. Kiedy sypiał tu Athor, przeważał zapach

psa. Drzwi do sypialni były uchylone na trzy piędzi. Do pokoju zajrzała kobieta z zapaloną świecą. Włosy opadały jej na ramiona i plecy bursztynową kaskadą. To była Becke. Spojrzeli sobie w oczy. Wycofała się niespiesznie do sypialni.

Kol zaczął okazywać znudzenie. Uderzył w stół, aby położyć kres kłótni.

- Wystarczy na dzisiaj. Dobranoc, panowie. Spotkamy się jutro, aby pożegnać ucztą naszych gości.

Ryke podniósł się z taboretu.

- Ty zostań - rozkazał mu Kol.

Znieruchomiał, zaskoczony. Held popatrzył nań od progu z podejrzliwą, zazdrosną miną. Kol odprawił go zdawkowym gestem. Paź zamknął drzwi.

- Podejdz bliżej - rzekł Kol.

Ryke stanął przy stole. Serce łomotało mu w piersi. Twarz Kola była nieprzenikniona. Posłańcy nas zdradzili, pomyślał Ryke z przestachem. Powoli, ostrożnie, opuścił prawą rękę do swego krótkiego sztyletu.

- Umiesz czytać? - zapytał Kol uprzejmym tonem.

Słowa te stały w tak dużej sprzeczności z tym, co spodziewał się usłyszeć, że musiał powtórzyć je sobie w duchu jak jakiś półidiota.

- Umiem czytać znaki runiczne - odpowiedział, dziwiąc się, że głos mu nie drży. - Athor kazał mi pobierać nauki, kiedy zostałem zastępcą komendanta. Ale nie umiem odczytać pisma ludzi z południa.

- A co powiesz na to? - Kol podsunął mu zwój papieru.

Ryke rozłożył go, przytrzymując brzegi. Po papierze widać było ciemne linijki. Niektóre litery wyblakły nie do rozpoznania. Całość przykrywała warstewka kurzu. Ryke zmrużył oczy. Pierwsza litera w niektórych wierszach była większa od innych.

- „W siódmym roku...” Chyba, „...panowania Kerwina, władcy Tornoru...” Dalej jest coś o Anhardzie... Znaki „K” i „T” zostały wypełnione złotym atramentem.

- Kim był Kerwin?

- Dziadkiem Athora. Może nawet jego pradziadkiem.

-

Kol przysunął nogą taboret i usiadł.

- Wiesz, gdzie to znalazłem? W Wieży Czat. Myszy po tym srały.

- Co to za zapiski? Nic o nich nie wiedziałem.

- Dzieje twierdzy. Kroniki spisywane są w zamożnych domach. Rodzina Medów z Kendry miała całe pomieszczenie wypełnione kronikami. I kobietę, która utrzymywała je w czystości.

- Mieszkałeś w Kendrze?

- Pięć lat służyłem rodzinie Medów. Wiodłem wojska przeciwko Asechom.

Ryke pokiwał głową. Wiedział, kim oni byli: dziwnym ludem, który budował domy ze skór na ziemiach na południe od Galbareth. - Jechałem strzemię w strzemię z Ewainem Medem i Krukiem Batto.

- To ten wyrzutek? - zapytał Ryke, przypominając sobie fragmenty usłyszanej historii.

- Czyżby wieść o tym dotarła aż na północ? Owszem, to właśnie ten. Zamordował członka rodziny Medów. Palnął głupstwo, ponieważ to najbardziej wpływowa rodzina w Kendrze. Ale to było dziesięć lat temu. - Podeszedł do okna i uchylił lufcik. - Znasz się na muzyce?

- Nie - odparł Ryke, zdumiony.

- Wielka szkoda. Na południu lubimy sobie pośpiewać. - Cicho, jakby rozmawiał z ciemnościami, zaintonował:

- „Wzgórza i gwiazdy moimi druhami, bo wszystko, co robię, robię sam”. Słyszałeś to może? - Gdy Ryke zaprzeczył ruchem głowy, Kol zsunął zasłony. - Wciąż bezchmurnie - powiedział. - Jak myślisz, pogoda się utrzyma?

- Raczej nie. Czuć wilgoć w powietrzu.

- Przypuszczam, że to zapowiedź kolejnych opadów śniegów. Czekam z niecierpliwością na wiosnę. Trudno jest zimą pokochać obcą ziemię. Bom przybył tu ze stron dalekich... - dodał. - To słowa pieśni. - Usiadł na stołku i przycisnął ręką plik papierów. - Chcę, żebyś mi to przeczytał.

Ryke omal nie palnął nieopatrznie: Ależ ja odjeżdżam. Rumieńce wystąpiły mu na policzki, za co sklął siebie w duchu.

- Chyba mógłbym spróbować - odparł rozmyślnie niechętnym głosem.

- Jeśli nie chcesz, mów śmiało. Znajdę kogoś innego.

- Przeczytam - powiedział Ryke. Kol przewiercał go na wylot swymi ciemnymi oczami. Czekał z utęsknieniem, aż jego dowódca odwróci wzrok. Na kominku poruszyły się drwa. Kol popatrzył na przyciśnięty łokciem papier.

- Zaskoczyłem cię, Ryke? Czy to dziwne, że pragnę pokochać tę ziemię?

- Dziwne.

- Jeśli tego nie zrobię, ona mnie zniszczy. - Ryke nic na to nie powiedział. - Pewnie byś się ucieszył.

Wzruszył ramionami, zażenowany. Patrzył na leżącą na stole dłoń Kola. Potężne ścięgna sterczały jak korzenie z płytkiej ziemi. Ryke usłyszał szelest tkaniny i cichy brzęk żelaza w sypialni. Nie odwrócił głowy. Blask świecy migotał na anhardzkiej tarczy. Wąż zdawał się pełznąć. Ryke daremnie próbował sobie przypomnieć, co Athor powiesił nad kominkiem. Teraz to były pokoje Kola, nie ostała się w nich żadna część poprzedniego właściciela. Ta myśl rozłościła go i obudziła w nim uczucie wyobcowania.

- Chcesz ode mnie jeszcze czegoś? - zapytał.

Kol spojrział na niego uważnie.

- To wszystko, dziękuję.

Ryke puścił gruby papier, którego brzegi zawinęły się natychmiast do środka.

- Dobranoc - powiedział i odwrócił się od Kola. Kiedy przechodził koło drzwi sypialni, zerknął do środka, lecz zobaczył tylko równy płomyk świecy i cienie kotar osłaniających łóże.

## Rozdział 5

Tej nocy Ryke nie mógł zmrużyć oka, dlatego z ochotą obchodził posterunki. Pogoda się nie zmieniała. Gdyby się pogorszyła, pomogłaby w ucieczce, ale zarazem ją utrudniła, ładna - ułatwiłaby pościg. Nie wiedział już, czy ma ją wychwalać, czy przeklinać. Pod wartownią strażnicy rozmawiali o rzekomych zwyczajach seksualnych gian. W koszarach smród cebuli wiercił w nosie, Ryke wędrował więc po umocnieniach. Z wieżyczek zewnętrznego muru rozpościerał się widok na wioskę, okoliczne farmy i pola uprawne. Wilczur odnalazł go na wale obronnym i odtąd nie odstępował. Ryke zastanawiał się, kto się nim zaopiekuje po jego odjeździe.

Podczas jednego z obchodów pod pretekstem sprawdzenia drzwi zabrał z sobą latarnię. Przechadzał się korytarzami, kołysząc z boku na bok chwiejnym żółtym światełkiem, aż dotarł do środkowych schodów. Ujrzał własne odciski palców na zakurzonej powierzchni. Szybko je starł. Po zejściu ze schodów odryglował, a potem starannie zaryglował od zewnątrz drzwi, aby nikt nie nabrał podejrzeń.

Nad ranem czuł się tak, jakby ktoś nasypał mu piasku do oczu. Po zmianie warty udał się na salę. Okienko, gdzie wydawano jedzenie, było szeroko otwarte. Oparty przy nim, Ryke wypił trzy filiżanki mocnej miętowej herbaty. Przyniósł ulgę wyschniętym ustom i odświeżył przyćmiony umysł.

Ciągle rozmyślał nad przygotowaniami do ucieczki. Errel zabierał w podróż jeden worek. Swoją pakunek Ryke schował w dziurze przy skrzyżowaniu belek w powale zachodniej bramy. Razem z nim ukrył dziecięcy łuk, znaleziony w jednym z opustoszałych apartamentów. Na próżno

szukał strzał, które by doń pasowały. W prawym bucie, jak zwykle, trzymał anhardzki nóż. Żałował, że nie weźmie ze sobą miecza.

- Może jeszcze? - zapytała usługująca dziewczyna. Wychyliła się z okienka, aby się do niego uśmiechnąć.

Zwrócił filizankę.

- Wystarczy. - Drzwi wejściowe otworzyły się do wewnątrz. Na salę weszli Kol, Held, Onran, Gam i posłańcy. Dziewczyna śmignęła do kuchni, aby powiadomić kucharzy. Gianie (łatwiej było tak o nich myśleć, niż dziwić się, że jedno z nich jest kobietą) mieli na sobie futrzane płaszcze podróżne. Ryke zbliżył się do nich, lecz oni nie zaszczycili go choćby jednym spojrzeniem. Kol usiadł za stołem. Służący ustawili przed nim półmiski.

Held był jakiś niespokojny. Dwukrotnie wstawał, nasłuchując.

- Co z tobą? - zapytał Kol.

- Coś wisi w powietrzu.

Ryke spociał się ze strachu. Held był człowiekiem obdarzonym znikomą wyobraźnią. Gdyby poszedł do kuchni, odkryłby Errela.

- Wiercisz się jak baba - rzekł Gam. Był w złym nastroju, ponieważ nie pozwolono mu jeść w stajni. Sięgnął ręką, aby nabić na widelec plaster boczku.

- Rozejrzę się - zaproponował Ryke.

Onran spojrział na niego ze zdziwieniem. To jego ludzie trzymali wartę, lecz Ryke odszedł od stołu, zanim Kol zdążył go przywołać. Wstąpił do kuchni, jednak nie znalazł tam Errela. Udał się następnie do koszar i stajni. Wierzchowce gian - wytrzymałe stepowe zwierzęta o ogonach podobnych do miotły - stały już w gotowości. Ze wschodu dał lekki wietrzyk. Ryke przemierzył wewnętrzny dziedziniec, aż znalazł się pod główną bramą. Strażnicy przy wartowni sprawiali wrażenie zdruzzonego.

Wrócił na salę. Służąca podawała rybią ikrę.

- Wszędzie spokój - zameldował. Usiadł na swoim miejscu, gdy dziewczyna napełniała mu talerz. Kol spochmurniał, widąc tknięty złym przecuciem. Ryke z trudem

przełknął pierwszy kęs. Jedzenie mu nie smakowało. Zastanawiał się, czy Kol zobaczył warstwę potu, która zapewne błyszczała na jego czole.

Held szepnął coś do Onrana. Młody komendant zawrzał gniewem. Rąbnął dłonią w stół.

- Moje straże nad wszystkim czuwają, do cholery! Pilnuj swego języka!

- Tylko nie tym tonem, młokosie! - odparł Held.

Onran wstał, prychając.

-Ty...!

- Milczeć! - warknął Kol, ciskając z oczu błyskawice. Held zacisnął usta, a Onran przygarbił się i odprężył. Posłańcy jedli w spokoju. - Onran, siadaj! - Komendant przerzucił nogę nad ławką, popatrując wrogo na Helda.

- Ryke! Czy wczoraj w nocy działo się coś dziwnego?

Ryke wzdrygnął się przy tym nagłym pytaniu.

- Nic, jeśli nie liczyć nadmiaru cebuli.

Wargi Kola zadrżały.

- Będę musiał rozmówić się z kuchmistrem. - Wsparł łokcie na stole. Posłańcy odsunęli puste talerze. Ryke unikał ich wzroku. - Pewnie chcielibyście już zakończyć swą misję.

- Mamy przed sobą trzy dni jazdy do Podchmurnej Twierdzy - rzekł Norres.

- Niech Berent nie myśli, że nie rozważyłem należycie jego propozycji. Przekażcie mu odpowiedź, że zgadzam się odłożyć broń do wiosny, a jego syna będę traktował jak własnego. Po drugiej odwilży odeślę chłopca w odpowiedniej eskorcie. Z ową chwilą umowa wygaśnie. - Mówił tak, jakby przez całe życie trudnił się zawieraniem i łamaniem porozumień pokojowych.

- Zaświadczymy o wszystkim, cośmy tu widzieli - powiedział Norres.

I tyle. Ryke oglądał wiszące naprzeciwko gobeliny. Przedstawieni na nich murarze zajmowali się nieporuszenie swą wieczną robotą.

- Dziękujemy za gościnę - dodał jeszcze Norres.

Kol uśmiechnął się szelmowsko, łypiąc na puste naczynia.

- Nie chciałbym wyjść na gorszego gospodarza niż Berent. - Skinął ręką na parobka. - Idź zobacz, czy konie pośląnców są gotowe do drogi.

Nareszcie, pomyślał Ryke. Kolana mu drżały. Kol podniósł się od stołu, a za nim komendanci i goście. Norres i Sorren włożyli rękawice.

- Niech wypuszczą ich główną bramą - zwrócił się Kol do Onrana, a następnie, gdy młody żołnierz odszedł, do Helda: - Nie wyzywaj się na nim.

Odeszli od stołu. Chłopcy z kuchni rzucili się pozbierać talerze, aby ubiec łapczywe psiska.

- Przepraszam, ale mam obowiązki - powiedział Ryke w progu wysokiego wejścia na salę. Ruszył przez dziedzińiec, gdy Kol zezwolił mu skinieniem głowy. Ostatnim wysiłkiem woli powstrzymał się od biegu. Proporce trzaskały na wzmagającym się wietrze. Przeszedł pod murem wewnętrznym do stróżówki przy zewnętrznym murze. Strażnicy zabijali czas snuciem opowieści. Sięgnął nad belkę, gdzie schował worek podróżny. - Otwórzcie! - nakazał.

- Na co to? - zapytał jeden z żołnierzy, dźwigając sztabę. Po chwili furta otworzyła się do środka. Żołnierz się cofnął.

- To dla pośląnców. Z rozkazu Kola. - Jego wilgotne palce ślizgały się po skórzanych rzemykach. - Zamknijcie za mną! - zawołał do strażnika, po czym stanął w blasku słońca. Wartownik posłusznie domknął furkę. Ryke usłyszał szczęk sztaby. Cień Wieży Czat padał ostro na trakt niczym palec wskazujący drogę do wolności. Gdy wszedł w półmrok, z miejsca wpadł na Errela. Książę siedział skulony tuż przy murze. Miał na sobie płaszcz futrzany i pakunek. Na policzku widać było świeże zadrapania. Głowę owijał brudny bandaż.

Ryke wydobyl futro ze swego zawiniątka. Serce waliło mu jak młotem.

- Jak się dostałeś za mury? - szepnął.

- Wspinałem się. - Errel wstał. - Przyniosłeś łuk?

Ryke przebiegł zdziwionym spojrzeniem po szorstkich kamieniach.



- Nie wiedziałem, że jesteś taki zwinny. - Zewnętrzny mur czterokrotnie przewyższał człowieka. Ryke zarzucił płaszcz na ramiona.

- Wystarczy kilka ćwiczeń - odparł z przekąsem Errel. - Miałem ich bez liku.

Ryke wyciągnął łuk.

- Znalazłem tylko taki.

Errel obracał go w rękawicach.

- Może to i ten, na którym się uczyłem - powiedział. - Masz do niego strzały?

- Nigdzie nie mogłem ich znaleźć. - Postyszał tętent kopyt na śniegu. Niezdarnie, bo z pośpiechem, przymocował do ramion obwisły pakunek. Obawiał się, że za chwilę strażnicy otworzą bramę, by sprawdzić, dokąd poszedł. Spojrzał na Errela. Książę stał odwrócony do niego plecami, ściskając łuk w lewej ręce. Narastał odgłos kopyt. Zza rogu wyjechali postąńcy, sunąc niespiesznie zakolem drogi.

Ryke zmrzyżył powieki. Śnieg był biały, jakby go nabłyszczone. Przysłonił oczy dłonią. Dostrzegł ich pierwszy z postąńców. Ryke nie rozpoznał twarzy, lecz doszedł do wniosku, że to Sorren. Podniosła rękę.

- Hej, tam! - zawołała. A więc rzeczywiście ona.

Errel puścił się ku niej środkiem cienia, jakby to była ulica. Ryke zadrżał, bojąc się, że lada chwila usłyszy krzyki z murów.

Nikt się wszakże nie odezwał. Nikt ich nie obserwował. Sorren skierowała konia w stronę księcia. Errel przebiegł obok niej trzy kroki i wskoczył na siodło. Zwierzę wybiegło do słońca. Teraz w cień zanurzył się Norres. Ryke dostrzegł wyciągniętą rękę. Chwycił ją i dał się wciągnąć na grzbiet konia.

- Prędejj! - poprosił.

- Trzymaj się pasa - mruknął Norres.

Ryke wsunął palce za twardą skórę. Norres pochylił się do przodu. Przelecieli ze stukotem po moście. Rurian toczył pod nimi niespokojne wody. Mimo dwukrotnego obciążenia koń poruszał się lekko. Ryke spojrzął z trwogą za siebie i ujrzał sylwetkę cichej twierdzy. Nikt ich nie ścigał, droga była

pusta. Miał ochotę krzyknąć z radości, gdy wtem zmiarkował się, że może już nigdy nie ujrzeć tego zamku.

Potrącili gałąź, która zrzuciła mu śnieg na plecy. Trakt biegł teraz przez zagajnik zielonych choinek. Ryke wyszarpnął rękę zza pasa i nasunął na głowę kaptur.

- Kiedy dojedziemy do Podchmurnej Twierdzy? - zapytał.

- Bez was bylibyśmy tam za trzy dni - odrzekł Norres. - Z wami będziemy za cztery.

Sorren zwolniła biegu.

- Nie zatrzymuj się! - powiedział Norres.

- Nikt nas nie goni - odparła.

Gdy Errel odwrócił się, Ryke uśmiechnął się doń znad ramienia Norresa.

- To nic. Zwolnimy dopiero we mgle.

Sorren przytaknęła skinieniem głowy i popędziła konia. Ryke natężył słuch. W wojsku Kola służyli ludzie, którzy lepiej niż on znali te strony, nie słyszał jednak pościgu. W końcu zrzedł las karłowatych drzewek. Droga pięła się stromymi zakrętami, osnuta tumanami sinej mgły. Zsiedli z koni.

- Uważajcie pod nogi! - przestrzegł Norres.

Posuwali się wolno pod górę. Z tyłu za nimi kłębiły się już chmury.

\*\*\*

Errel wysunął się na czoło. Norres zamykał pochód, nasłuchując, czy ktoś za nimi nie jedzie. Nad nimi przesuwały się gęste obłoki. Mgła skraplała się na kamieniach. Errel prowadził ich pewnym krokiem. Ryke przypomniał sobie, że przed wojną książę często polował w tych okolicach. Jeźdźcy Kola też świetnie zdawali sobie z tego sprawę. Gdzieś tam droga wiodła taką stromizną, że marsz przypominał wspinaczkę. Sorren szła między Errelem i Ryke'em. Doznawali wrażenia, jakby nie odpoczywali już od wielu godzin.

- Zjedźmy coś - powiedział Errel.

Poczekali, aż dołączy do nich Norres. Ryke'a bolały nogi. Odwykł od trudów, ot co. Pochylał nisko sztywne, zmordowane plecy.

Posilili się w zagłębieniu terenu na poboczu drogi. Kol zaopatrzył posłańców w żywność i obrok dla koni. Ryke zapakował do worków ser i pasy solonego mięsa. Mimo wszystko i tak zabrakłoby im jedzenia, dlatego Errel oświadczył:

- Trzeba zapolować. - Na jego kolanach leżał nieduży łuk. Odłożył go na bok i odwinął bandaż z ręki. Opuchlizna powoli schodziła. Gdy jednak spróbował poruszyć środkowym palcem, skrzywił się i z powrotem owinął rękę. Pierścień władcy Tornoru nosił na palcu lewej dłoni.

Sorren wstała.

- Dość tego marudzenia - powiedziała, zastaniając głowę kapturem.

Ryke zacisnął zęby i poszedł za jej przykładem. Nogi ciążyły mu, jakby miał ołowiane uda. Errel znów ruszył przodem. Sorren szła tuż za nim. Kropelki rosy błyszcząły na szarym futrze jej kaptura jak drogocenne kamienie.

Uparcie brnęli przed siebie. Było coraz zimniej. Wiatr smagał ich jak biczem. Ręce Ryke'a obsuwały się na kamieniach. Nie wiedział, czy tę ścieżkę wytyczył człowiek, czy może przyroda przy użyciu wichrów i wody. Poczuł ból w piersi. Dyszał coraz ciężiej. Zatrzymali się na odpoczynek, osłonięci przed wiatrem wątlymi świerkami. Errel przykucnął. Ryke pochylił się, żeby zobaczyć, co robi książę. A ten odcinał nożem twarde, nisko rosnące gałązki.

- Będą z tego strzały - wyjaśnił.

- Tylko jak je opierzysz? - zapytał Ryke.

- Coś się znajdzie. - Nieporęcznie strugał patyk, zmagając się z nim zdrową dłonią.

Ruszyli ponownie w drogę. Ryke zastanawiał się, gdzie się podziało słońce. Zupełnie stracił orientację w terenie; mógł jedynie określić, gdzie idzie się niżej, a gdzie wyżej. Ramiona zatrząsły mu się konwulsyjnie.

Sorren podała mu flaszkę. Upił długi łyk. Trunek piekł w gardle i rozgrzewał żołądek. Wypił jeszcze trochę i po chwili dreszcze ustały. Zakorkował flaszkę z szacunkiem i oddał ją Sorren. Wróciła mu życie. Zatupał z werwą, aby polepszyć krążenie krwi. Sorren niestrudzenie parła do przodu. W końcu przystanąła. Ryke oparł się o skałę, wsłuchany w odgłos spadającej wody. Marzył o lecie, rozpalonym słońcu, błękitnym niebie, ciepłym deszczu.

Zatrzymali się na dobre, kiedy szara mgła utonęła w ciemnościach zmierzchu.

- Może powinniśmy zostawić kogoś na straży? - zapytał Ryke.

- A po co? - zdziwił się Norres, zbliżając się do nich z dołu.

- Mogą nas gonić. Gianin parsknął śmiechem.

- Nie będą uganiać się za nami po ciemku. Posłuszni wskazówkom posłańców, Ryke i Errel zdjęli buty, przemyli stopy śniegiem i szybko je wytarli do sucha.

- Czemu to robimy? - zapytał Ryke.

- Żeby nam nogi nie odmarzły - odpowiedział książe.

- Dobrze byłoby rozpalic jakiś ogień - dorzucił ze smutkiem.

- Wątpię, czy podczas wędrówek udało wam się poznać sekret palenia śniegu lub kamieni.

Sorren podniosła wzrok, zajęta dzieleniem suszonego mięsa.

- Niestety nie.

Ułożyli się do snu w maleńkiej jaskini, a właściwie płytkim wgłębieniu w skale. Ledwo starczyło dla nich miejsca. Posłańcy spali owinięci jednym płaszczem i mocno do siebie przytuleni. Na zewnątrz ich kryjówek wicher jęczał potępieńczo.

Ryke ocknął się w środku nocy. Księciem szarpały dreszcze. Ryke czuł je, gdyż leżał tuż obok niego. Przekręcił się na drugą stronę, otoczył księcia ramieniem i przycisnął pierś do jego pleców, dzięki czemu obojgu mogło być ciepłej. Dreszcze ustały. Errel znów miał równy oddech. Ryke długo nie zasypiał, słuchając wycia wiatru.

W końcu jednak chłód przytępił jego zmysły i zapadł w niespokojną drzemkę.

Rano musiał długo trząść lewą ręką, aby wróciło mu uczucie.

\*\*\*

Drugi dzień przypominał poprzedni, z tym że częściej schodzili z góry, niż się wspinali.

Ryke nie czuł już takiego bólu w płucach. Część dnia spędzili w siodle. Wyszli z mgły na kamienistą równinę, usianą skarłatymi drzewami i pokrytą warstwą zlodowaciałego śniegu. Chmury wisiały w górze niczym łapa olbrzyma. Kudłate konie przemierzały bez lęku tę połąć. Nocą rozbili obóz w wąwozie pełnym kikutów drzew. Norres rozpałił ognisko. Drewno dymiło się z sykiem. Zwierzęta spokojnie przeżuwały strawę. One i ludzie pospołu garnęli się do źródła nikłego ciepła. Chmury przysłoniły gwiazdy. Norres puścił w obieg flaszkę. Ryke pociągnął łyk mocnego trunku i owinął się szybko płaszczem, póki jeszcze czuł żar w brzuchu.

Errel siedział, trzymając na kolanach łuk i dwie zrobione przez siebie strzały. Opierzył je kosmykami włosów Ryke'a, usztywnionymi sokiem z roślin. Sok służył jako klej.

Ryke przetoczył się na drugi bok, słysząc brzęk zwalnianej cięciwy.

- Trafiłeś coś? - spytał zaspanym głosem.

- Chybiłem. - W ostatnich płomykach gasnącego ogniska twarz Errela wydawała się kamienną maską.

Ryke pogrążył się we śnie.

Rankiem na ogniu skwierczały sztuki mięsa.

- Cóż to takiego?

- Roczny lisek - odparł Errel.

- Dziwne, że zbliżył się na odległość strzału - rzekł Norres.

- Miał się na baczności przed pułapkami i traperami, lecz nic nie wiedział o myśliwych - powiedziała Sorren. Włosy zaszyły jej na oczy, więc je odgarnęła.

Ryke ujrzał - w kształcie jej twarzy, zarysie kości policzkowych, czystej i pozbawionej zarostu skórze - zwyczajną kobietę. Ta chwila jednak szybko minęła. Znów była ni to kobieta, ni mężczyzną; osobnikiem nieznanym, gianinem.

Trzeciego dnia przemierzali stepy. Na prawo przesuwaly się szczyty gór. Pod wieczór wzmógł się wiatr i rozerwał powłokę chmur. Słońce malowało niebo czerwienią i fioletem. Errel i Sorren rozmawiali półszepem. Ryke nie słyszał, co mówią. Po zapadnięciu zmroku dochodziły z południa głosy polujących wilków. Konie stały się nerwowe i lgnęły do siebie, gdy wichur huczał i gwizdał. Nad ranem spadł deszcz. Cała czwórka skryła się w duchocie pod futrami. Nikt nie spał. Deszcz bębnił po płaszczach, a woda moczyła ich od spodu, płynąc strugami po ziemi. O świcie się wypogodziło. Wstali zziębnięci, przeklinając swój los. Niebo miało siwą barwę czaplich skrzydeł. Chmury pędziły ku ciemnym wierchom na zachodzie.

Norres wyciągnął rękę.

- Tam jest Podchmurna Twierdza.

Był to mały zameczek, wciśnięty między dwa okrągłe wzgórza. Po drodze Ryke wyobrażał sobie te stepy latem: wielkie, wspaniałe łany sięgającej pasa trawy, ciepłej i pachnącej jak mleko. Teraz pusta okolica przygnębiała swym widokiem. Dymy z kominów wskazywały położenie wioski. Ryke na próżno wypatrywał ptaków. Konie człapały smętnie. Oprócz nich, aż do samej bramy zamku nie było innych cieni.

Przystanęli niedaleko murów, aby dać wytchnienie zwierzętom. Ryke wyciągnął nóż z buta i sprawdził, czy nie pordzewiał. Ostrze było jednak czyste jak woda. Owinął ostrze i włożył je z powrotem do pochwy.

Errel przesunął palec po cięciwie łuku. Aby nie namośla, odczepił ją od łączyska i przewiązał się nią w talii.

- Coś mi nie daje spokoju - powiedział.

- Co takiego? - spytał Ryke.

- Nie wiadomo, czy Berent powita nas z otwartymi ramionami. Jeśli zechce, odmówi nam gościny.

- To gdzie wtedy pójdziemy? - Ryke zatoczył ręką po stopie. - Musi nas przyjąć.

- Zobaczymy, co zrobi. - Errel nie powiedział tego z niepokojem czy gniewem, ale w zamyśleniu i z pewną dozą ciekawości.

W przeciwieństwie do Tornoru, Podchmurna Twierdza nie miała wieży. Jej mury zbudowano z gładkich, szarych, nie splekanych kamieni. U wrót stali strażnicy z włóczniami. Mieli na sobie godło Berenta Jednookiego: złocistą sylwetkę głowy górskiego kota na czerwonym polu. Jeźdźcy zbliżyli się i skrzyżowali włócznie.

- Jesteśmy posłańcami, wracamy z twierdzy Tornor - powiedział Norres. - Znamy się, więc ustąpcie nam z drogi.

Żołnierze patrzyli podejrzliwie na Errela i Ryke'a.

- Was znamy, ale co to za jedni?

Errel, który siedział za Sorren, pochylił się i wyciągnął rękę z pierścieniem.

- Popatrz uważnie - powiedział. - Znasz ten symbol?

Po krótkiej naradzie strażnicy dali znak swoim kamratom za bramą. Ci natychmiast ją otworzyli. Podróżni wjechali do Podchmurnej Twierdzy. Zsiedli z koni, ucieszeni, że wreszcie nie dokucza im wiatr. Wszystkie psy ujadły. Popatrzyli na wewnętrzną wartownię. Co prawda padały na nich promienie słońca, lecz nie czuli ciepła.

W wewnętrznej bramie ukazały się cztery osoby. Pierwszy miał czerwoną wełnianą opończę, a na lewym oku muślinową łatkę. Pozostali ubrani byli w grube płótno, skóry i zbroje. Wzbijali kurz butami. Ryke poczuł się nieswojo. Berent był szczupły i siwy. Pokryty zmarszczkami, osłabły staruszek. Skierował na Errela swoje zdrowe oko.

- Witaj, władco Tornoru - powiedział.

## Rozdział 6

- Wzrok, panie, wciąż cię nie zawodzi - rzekł Errel z nutką wesołości.

- Przypominasz Athora - stwierdził Berent.

- Naprawdę? - Uścisnęli się lekko. Buty księcia skrzy-  
piały. Berent miał opończę poplamioną tłuszczem. Na zam-  
ku rozlegało się jedynie dzwonienie końskich uprzęży. Ciska  
kłuła w uszy. Errel odstał od Berenta i odwrócił się. - To  
Ryke. Aby zachować mnie przy życiu, został dowódcą stra-  
ży Kola Istora, lecz był mi wierny w ciągu tych czterech  
tygodni, kiedy cierpiałem w niewoli.

Berent spojrział na Ryke'a, przekrzywiając głowę ptasim  
sposobem. Ryke skłonił głowę.

- A to moi komendanci - rzekł starzec, wskazując na  
swoich trzech towarzyszy. Reagowali ukłonem, gdy Berent  
wymieniał ich imiona.

Dwaj byli doń uderzająco podobni: zapewne synowie.  
Ryke przypuszczał, że jest nim również ów trzeci. A prze-  
cież musiał być jeszcze czwarty syn, którego wybrano na  
zakładnika dla Istora. Aż dziw brał, że ten chuderlawy sta-  
rzec spłodził tyle dzieci, podczas gdy Athor, człowiek  
krzepki i zdrowy, miał tylko jedynaka.

Berent Jednooki musiał być kiedyś osiłkiem. Te czasy  
jednak minęły, skonstatował Ryke. Wszedł za Errelem na  
wewnętrzny dziedziniec. Na zamku panował jakby niepo-  
rządek, czuło się tu pewne zaniedbanie.

- Słyszeliśmy, panie, że zginąłeś - odezwał się jeden  
z komendantów.

Słyszac to, Ryke poczuł mrowie na plecach.

- Jak widzicie, żyję - odparł Errel.

Minęli koszary i majdan. Na placu nikt nie ćwiczył. Ze  
stajni, trochę poniewczasie, wybiegł pacholek, aby za-



opiekować się końmi. Berent osobiście zaprowadził gości na salę, czego, w mniemaniu Ryke'a, nie powinien czynić pan zamku. Wokół siebie widział niewielu ludzi, głównie służących, do tego jeszcze starych. Weszli na salę - mniejszą niż w Tornorze i bardziej zadymioną. Dym snuł się pod sufitem i uchodził przez świetlik. W wielkim kwadratowym palenisku płonął ogień. W komnacie dało się wyczuć zapach torfu. Podobnie jak w Tornorze, tak i tutaj na ścianach wisiały tkaniny, czasem pokryte obrazami, lecz znacznie częściej jednobarwne. Na skrawku gołej ściany żelazne haki podtrzymywały potężną maczugę, najeżoną złowrogimi kolcami. Kojarzyła się z anhardzkim orężem. Ryke próbował odmalować w wyobraźni człowieka, który się nią posługiwał. Wyglądała zbyt ciężko, żeby mógł ją unieść jeden człowiek.

Spociał się pod futrem. Na salę wolno weszła młoda służąca z winem. Ryke wychylił kielich. W żołądku mu się zakotłowało. Pragnął chleba i mięsa.

Norres przekazał Berentowi wiadomość od Kola Istora.

- A więc rozejm na czas zimy - rzekł starzec. - Nie najgorzej, choć liczyliśmy na więcej.

- A czegoż to spodziewać się po południowcu i bandycie - rzekł najstarszy z komendantów.

Ryke uśmiechnął się mimowolnie, wspominając, że sam nazwał tak Kola i to prosto w twarz. Berent szarpał rękawy opończy.

- W złą porę spada na nas to nieszczęście - rzekł z irytacją. - Że też musiał polec Athor z Tornoru!

- Wszyscy się tym smucimy - powiedział Errel. - Obracał w rękach lekki mosiężny pucharek. - Dziękuję za miłe powitanie, panie, lecz muszę zapytać bez ogródek: czy mogę liczyć na twoją gościnę? Kol Istor nie jest już twoim wrogiem.

- Ściślej mówiąc, wiąże nas zawieszenie broni, którego nie chciałbym zerwać - odpowiedział Berent.

- Jeśli o mnie zapyta, co raczej nastąpi, będziesz zmuszony mnie wydać albo rozejm wygaśnie.

- Ścigano was? - spytał jeden z komendantów.

- Nie - odparł Ryke.

- W każdej chwili może ruszyć pogoń - stwierdził książę. - Proszę o szczerość, panie. Udzielisz mi schronienia czy nie?

Komendanci przyglądali się swoim dłoniom.

- Zapalenie płuc trapi moich ludzi - rzekł Berent. - Jesteśmy osłabieni, a i ci, co zostali, słaniają się na nogach. Athor był moim sprzymierzeńcem i druhem, ale skoro pytasz, to ci odpowiem: nie mogę was tu gościć dłużej niż trzy dni. Wybacz, to nie z nieprzyjaźni, tylko z ostrożności. Wybierzcie sobie broń, dostaniecie żywność i konie, lecz nie mogę narażać twierdzy przez wzgląd na jednego człowieka.

- Musiałem zapytać, panie - powiedział Errel.

Ryke położył ręce na stole. Zimą twierdza użyczala trzydniowej gościny każdemu, nawet i banicie. Errel uprzedził go, że tak się może zdarzyć. Książę wiedział o tym - przewidział to lub odczytał z układu kart. Trzeba będzie ruszyć w dalszą drogę, pomyślał Ryke. Najlepiej do twierdzy Pel. Choć ciało wzdragało się na przed kolejnymi dniami w siodle.

Gdybyż Berent był Athorem... Cóż, Athor nie żył. Zawrzał gniewem - bynajmniej nie ze względu na siebie, był wszak tylko żołnierzem, a więc nikim. Chodziło mu o Errela. Odchrząknął i już, już miał coś powiedzieć, lecz uprzedził go Berent:

- Pacholek wskaże wam pokoje, panie.

Gdy rozmowa dobiegła końca, wszyscy wyszli na dziedziniec i ruszyli po schodach na górę. Ryke ziewnął tak szeroko, że wzrok mu się zamglił. Złość minęła. Było mu już wszystko jedno, co Berent z nimi zrobi, byle nie kazano mu już nigdzie iść i pozwolono się wyspać.

\*\*\*

Pełny żołądek przywrócił mu ochotę do życia. Przydzielono im pokoiłk mniejszy niż podobne w Tornorze. Był tu kominek i wiadro pełne torfu. Czekwały na nich także balie z gorącą wodą i wysoki stos lnianych ręczników.

Rozkoszując się poczuciem bezpieczeństwa, zdjęli buty, koszule, kaftany, dosłownie całą odzież, a następnie pławili się goluścieńcy w kąpeli. Na drewnianej podłodze rozścielono świeżą warstwę trzciny, a olbrzymie łoża nakryto puchową pierzyną. Errel wsunął się pod pościel i przeczesał włosy znalezionym w komodzie drewnianym grzebieniem.

Ryke wyszorował się szczotką. Na wodzie pojawiła się zawiesina tłuszczu. Usiadł przed kaflowym piecem i dorzucił do ognia kilka kostek torfu, aż płomień strzelił z trzaskiem. Errel coś sobie nucił. Słowa Berenta za bardzo go nie poruszyły. Nadaremnie Ryke doszukiwał się w nim podobieństwa do Athora, o którym wspomnieli Berent. W drzwiach stanął służący, dźwigając tacę z jedzeniem. Errel spokojnie zjadł swoją porcję. Ryke opychał się świeżo upieczonym chlebem. Jego wonny aromat wywoływał senność. Legł na łóżku, zastanawiając się, gdzie się podzielił ganie: Norres i Sorren. Sięgnął ręką do ściany, aby otrząsnąć się z otępienia. Pod malowaną draperią wyczuł chłodny kamień.

- Dziś nie trzymasz warty - rzekł Errel.

- A ty nie wywijasz koziołków.

Errel przeciągnął się w ramionach.

- Bom przybył tu ze stron dalekich - zaśpiewał czystym, melodyjnym głosem.

- Nie śpiewaj tego - poprosił Ryke, oburzony. Tę właśnie pieśń lubił Kol Istor. Podźwignął się z miękkiego, wyściełanego poduszkami łoża i zaczął przechadzać się po izbie. Jedyne gobelin, ten wiszący nad łożem, przedstawiał scenę z polowania: osaczenie wilka. W pomieszczeniu panował półmrok. Dwa zwrócone na północ okna były w gruncie rzeczy wąskimi szparami w murze, zaopatrzonymi w okiennice.

- Czymś się martwisz? - zapytał cicho Errel.

- Tym! - Ryke zatoczył koło ręką. - Czemu tu przyjechaliśmy?

- Ponieważ tutaj musieli wrócić posłańcy. - Uśmiechnął się. - Mogło nam się trafić lepiej, ale nie mam zamiaru wracać do Tornoru.

- Chyba że na czele wojska - odparł Ryke. Wiedział, co nie daje mu spokoju. - Myślałem, że Berent znajdzie dla nas jakieś zajęcie. Dla mnie - poprawił się. - Chcę walczyć z Kolem. - Podszedł do paleniska. Na żelaznych prętach wyszło już ubranie. Ściągnął je i poukładał.

- Dlaczego? - zapytał Errel.

Ryke podał mu odzież, lecz księżę nie wyciągał ręki. Patrzył twardo niebieskimi oczami. Ryke poruszył się nerwowo. Uważał, że to zbędne pytanie.

- Dlaczego? - powtórzył Errel.

- Bo zabił Athora.

Errel pochylił głowę.

- Słuszny powód - rzekł po chwili. Obracał na palcu pierścień z rubinem, w kółko i w kółko.

Miał wiele blizn w okolicach żeber. Ryke zastanawiał się, czy aby któreś nie były sprawką Kola Istora. Zabiłbym go, pomyślał, choćby ze względu na to, co ci zrobił, księżę. Nie wyraził tego jednak na głos. Przypomniawszy sobie słowa Kola „Pragnę pokochać tę ziemię”. Ona i tak cię zmiażdży, bandyto. Nigdy cię nie pokocha. Zapłonął taką żądzą walki, że aż zacisnął prawicę, jakby trzymał w niej miecz. Ujrzał siebie w zbroi, jadącego z orężem w szpicie wojsk Sironena.

Położył na łóżku ubranie Errela, a następnie włożył lekki kaftan.

- Myślisz, że Sironen nas przyjmie? - spytał.

- Dlaczego miałby tego nie zrobić? - Księżę sięgnął po koszulę.

- Nie chciałbym dowodzić strażą pod rozkazami Berenta.

- Uważasz go za tchórza?

- On stroni od walki. Po cóż nam twierdza, która stoi na uboczu wojny?

Errel przełożył głowę przez koszulę.

- Słyszałeś przecież, co powiedział. Jego ludzie umierają na zapalenie płuc. Zapewne nie tylko w zamku, ale i w chatkach we wsi. Pan twierdzy zajmuje się nie tylko wojną i jej planowaniem.

Zabolał Ryke'a ostry ton tej wypowiedzi.

- Każda twierdza służy wojnie - rzekł,

Errel nie od razu odpowiedział. Cisza stała się krępująca. Ryke pragnął, żeby coś ją przerwało. Włożył bryczesy, a zaraz po nich buty. Skóra po wyschnięciu trochę trzeszczała, więc zajrzał do skrzyni w poszukiwaniu czegoś, żeby ją natłuścić.

- Przepraszam, książę - odezwał się wreszcie. - Nie przystoi mi tak mówić.

Errel uśmiechnął się z przymusem.

- Nic się przecież nie stało. Ale powiedz mi, Ryke, czy wiesz, dlaczego zbudowano twierdzę Tornor?

Ryke zamknął wieko skrzyni. Nie znalazł tłuszczu.

- Odpowie ci na to każdy młokos na wsi, książę. Twierdze strzegą kraju przed najeźdźcami z Anhardu.

- Oczywiście - rzekł Errel. Zagłębił się w puchową miękkość poduszek. - Ale warownie zostały wzniesione przez ludzi. One nie rosną z ziemi jak góry. Architekci, murarze i cieśle, którzy zbudowali twierdzę, pochodzili z południa, podobnie jak całe złoto, zboże i sukna, jakimi im zapłacono. Pierwszy władca Tornoru był południowcem, któremu dano wybór: śmierć albo zesłanie w góry. Wolał zesłanie i zimno. Wolał wychować synów w miłości do tych gór, aby nazywali je domem, gardząc łagodnymi, zielonymi pagórkami południa. Ojciec ojca twojego ojca był dwieście lat temu murarzem w Kendrze. Mój zaś... - Uśmiechnął się. - Był młodszym synem pana zamku i buntownikiem z natury.

- Można o tym przeczytać w zwojach?

- W jakich zwojach?

- Tych w wieży. Kol mi je pokazywał.

- To w wieży są jakieś stare kroniki? - Errel zamilkł na chwilę. - Szkoda, że o tym nie wiedziałem - rzekł ze smutkiem. - Uczony Jaret z radością by w nich pogrzebał. Lubował się w historii. Był uczonym.

Ryke przełknął ślinę. Jego wyschnięte usta mogłyby rywalizować ze skórą butów. Wstał i rozejrzał się za czymś do picia.

- Powiadasz, że murarzem?

Errel machnął ręką.

- Tak tylko zgadywałem. Skąd miałbym wiedzieć? Mógł być cieślą, żołnierzem. Kimkolwiek.

- Synem kowala - powiedział Ryke. Siegnął po dzban i przyjrzał się jego uchom, ozdobionym delikatnym ornamentem złotych włosów. Południowcy mieli ciemne włosy. Nie był więc południowcem. A jednak nie wszyscy byli ciemnowłosi, podobnie jak nie wszyscy mieszkańcy północy byli blondynami. Rudzielec Vargo miał równie jasną skórę jak on. - Mogę być nawet spokrewniony z Kolem Istorem.

- To prawda.

Ryke potrząsnął głową. W Tornorze czuł się jak w domu. Żałował, że Errel wyjawiał mu, jakie były początki fortecy. Wmawiał sobie, że to stara historia, niezobowiązująca do głębszych przemyśleń. Przytknął dzban do ust.

- A więc zabiję cię, kuzynie - wymamrotał nad gładkim brzegiem naczynia. Ta zapowiedź ulżyła mu na duchu. Słodka woda przyjemnie chłodziła gardło. Zerknął na Errela, lecz książę nie usłyszał jego cichych słów. Siedział z łokciami wspartymi na kolanach i wzrokiem wbitym w strzelające płomienie.

\*\*\*

Aż do popołudnia nikt im nie przeszkadzał. Ryke po-drzemywał, leżąc w ubraniu na wełnianym kocu szerokiego łoża. Jakże cudowne uczucie: na przemian budzić się i zasypiać, budzić i zasypiać - z dala od zimnego wiatru. W końcu przyszedł po nich pacholek. Miał jasne poczochrane włosy, niebieskie oczy, blade niby ogniki na bagniskach oraz szczupłą, rezolutną twarz.

- Jak ci na imię? - zapytał Ryke.

- Ler, komendancie.

Podał im płaszcze i przytrzymał drzwi, naciskając je całym ciałem, aby się nie przytknęły. Zaprowadził ich potem do apartamentów Berenta, który czekał w towarzystwie trzech dowódców straży. W komnacie było cieplej niż na

dużej sali. Ryke zdjął płaszcz, a chłopiec powiesił go na żelaznym haczyku. Musiał stanąć na palcach, aby go dosięgnąć.

- Przynieś wina - rozkazał Berent.

Pachołek wybiegł z komnaty, by powrócić z winem i kielichami. Obsłużył Berenta, potem Errela, a na końcu komendantów. Berent obserwował chłopaka, jak przesuwają się od krzesła do krzesła, szybko i zręcznie. Oblicze starca jaśniało dumą i miłością. Na koniec Ler stanął przy jego kolanach. Ryke wytarł twarz. Komnata była obwieszona gobelinami, w dusznym powietrzu ciężko się oddychało. Krzesła i stołki zostały wykonane z ciemnego drewna. Powiadają, że stare kości potrzebują ciepła, pomyślał Ryke. Napił się wina. Też było ciepłe.

Berent dotknął ramienia chłopaka.

- Wystarczy - powiedział. - Idź już sobie. Zawołam cię, jeśli będziesz potrzebny.

Gdy chłopiec wyszedł, Errel mruknął:

- Dobrą masz służbę, panie.

- Ler jest moim synem - oznajmił Berent, czym wprowadził Ryke'a w zdumienie. Wyrostek wyglądał na dziesięć lat, a przecież żona Berenta umarła w młodym wieku. Prawdopodobnie matką dziecka była jedna z kobiet mieszkających na zamku. - Moi szanowni goście, dobrze wiem, że rozejm między Podchmurną Twierdzą a Kolem Istorem potrwa tylko tak długo, jak on sobie zażyczy. Czy możecie nam powiedzieć coś użytecznego, abyśmy mogli lepiej przygotować się do obrony?

Errel skinął na Ryke'a.

- Jego drużyna w Tornorze liczy trzystu żołnierzy - rzekł Ryke. - Dalszych stu pięćdziesięciu stoi załogą w twierdzy Zilia. Ci ludzie to doskonali zwiadowcy. Prędko się przemieszczają. Nie cierpią zimna, ale walczą dzielnie nawet i na mrozie. Przerzucenie zaopatrzenia przez przełęcz, zwłaszcza w porze odwilży, kiedy woda wzbiera w strumieniach, to kłopotliwe zadanie.

Ktoś z werwą otworzył drzwi. Do komnaty wkroczył, bąknąwszy coś tytułem przeprosin, trzeci komendant straży. Za nim wbiegł Ler, aby mu służyć.

- Jak przypuszczasz, kiedy nadejdzie? - zapytał Berent.

- Za dwa lub trzy miesiące - odparł Ryke.

Ler wodził wzrokiem od twarzy do twarzy. Chłopiec nie uronił ani słowa z rozmowy. Widząc to, Berent rzekł ostro:

- Wyjdź stąd!

Syn wyszedł bez sprzeciwu.

- To on ma być tą rękojmnią? - spytał cicho Errel.

- Owszem. - Berent splótł ręce na kolanach. Dziesięć lat temu toczyła się wojna z Anhardem, pomyślał Ryke. Berent miał wtedy zdrowe oczy.

- Jaki on jest? - zapytał Tav, najstarszy potomek Berenta.

Ryke zmarszczył czoło. Wolał już odpowiadać na pytania dotyczące zaopatrzenia.

- Ostrożny i bezwzględny - wyręczył go Errel. - Największą jego słabością jest to, że popełnia dziecinne błędy. - Uśmiechnął się półgębkiem. - Przykładowo, nie powinien darować życia ani mnie, ani Ryke'owi.

- Cieszymy się, że darował - powiedział Tav.

Errel podziękował mu lekkim ukłonem.

- A jakie ma konie? - zapytał drugi syn.

- Silne i dobrze utrzymane - odrzekł Ryke. - Na szczęście to rasa nizinna, w górach słabo się spisują. Rychło się męczą.

- Macie tu łuczników? - zapytał Errel.

- Kilku - odpowiedział Tav. - Niewielu.

- Jeśli ukryją się w skalnych szczelinach, mogą na chwilę wstrzymać pochód wroga.

- Niby tak - rzekł młodszy syn z powątpiewaniem. Berent zastukał w poręcz krzesła. U spodu była ozdobiona rzeźbionym łbem rozgniewanego górskiego lwa.

- Za dwa miesiące z południa nadjadą wozy. Będziemy mieć dość zboża i mięsa, by przetrzymać oblężenie.

- Kol nie lubi walczyć tym sposobem - powiedział Ryke. - On po prostu szturmuje.

Berent wyrzucił w przód swą okaleczoną twarz, jak zdenerwowane ptaszysko.



- Nikt jeszcze nie zdobył murów Podchmurnej Twierdzy.

- Nikt też nie zdobył Tornoru, zanim on nie nadciągnął - przypomniał mu Errel.

Ryke wiercił się dyskretnie na twardym drewnianym siedzisku. Czuł się obolały po czterech dniach konnej jazdy i męczącej wspinaczki. Marzył o miękkim fotelu.

- Ler! - zawołał Berent. - Przynieś poduszkę dla komendanta.

Ryke spłonął rumieńcem.

- Przynieś również dla mnie! - dodał Errel. Przyjął ją i spokojnie umieścił za plecami.

- Poprosiłbym o pomoc Sironena - rzekł Tav.

- Sam umiem wygrać bitwę - odparł Berent.

- Sironenowi nie brakuje ludzi.

- Może nie, a może tak. Nie mam żywności do wykarmienia dodatkowych żołnierzy.

- Na wiosnę...

- Któż wie, co się wtedy stanie? A może Kol Istor najpierw, kiedy jest najsilniejszy, przypuści szturm na twierdzę Pel, aby pokonać Sironena?

Ler podał poduszkę Ryke'owi, który przyjął ją z uśmiechem. Chłopiec kogoś mu przypominał, ale kogo?

- Z pewnością jeśli Tornor... Proszę mi wybaczyć... - Tav zawahał się. - Jeśli Kol Istor zamierza najpierw zdobyć twierdzę Pel, z pewnością zwierzyłyby się komendantom ze swoich planów. - Popatrzył na Ryke'a.

- Kol ma w zwyczaju utajniać swoje zamiary, nawet przed komendantami - rzekł ostrożnie Ryke. - Ler siedział przy krześle ze skrzyżowanymi nogami, z oczywistą nadzieją, że ojciec zapomni o jego obecności. Ryke uświadomił sobie, kogo mu on przypomina: samego siebie w wieku trzynastu lat. Chłopak miał gruby skórzany pas, jakich używali starsi od niego. Była tam okrągła metalowa sprzączka, była też pochwa, lecz pusta, bez noża. Jeśli chłopiec wywiązywał się ze służby wobec samego pana twierdzy, powinien nosić broń, pomyślał Ryke.

Później, kiedy już leżał wygodnie pod gorącą pierzyną, zapatrzyony w harce płomieni, rzucił w mrok pytanie:

- Czy szczerze mówiłeś, książę, co myślisz o Berencie?  
 - Co takiego powiedziałem? - ozwał się obok niego Errel zaspanym głosem.

- To, że nadawałby się na psiarczyka.

- Nie. Czemu miałbym mówić Istorowi prawdę o możliwościach człowieka, z którym przyjdzie mu walczyć?

Ryke podciągnął pierzynę pod brodę.

- Chyba źle go oceniałem. Sądziłem, że jest słaby i tchórzliwy.

- Nie uważasz go już za tchórze? Cóż, z pewnością by się ucieszył z twojej zmiany poglądów. - Słowa te zabrzmiały nieprzyjemnie w chłodnej komnacie. - Przepraszam za zgryźliwość, Ryke - dodał Errel po chwili - ale mężczyźnie już to gadanie o wojnie.

Czasem łatwiej jest walczyć, niż rozprawić o walce, pomyślał Ryke Odwrócił się na bok i przycisnął policzek do poduszki, aby choć trochę ogrzać twarz.

- Berent przegra - zawyrokował.

- Niestety.

- Czemu oddaje Istorowi syna w niewolę?

- Bo wie, że czeka go klęska. I raczej się nie podda, duma mu nie pozwoli. Gdy dojdzie do walnej rozprawy, gdzie będzie chłopcu najbezpieczniej? W Tornorze.

- Mówiłeś, że Kol ma duszę wilka. Jeśli twierdza się nie podda, zagrozi śmiercią dziecka. Nie chciałbym być wtedy w skórze Berenta.

- Nazwałem Kola wilkiem, aby polectać jego próżność - rzekł Errel. - Jako człowiek, nie różni się aż tak bardzo ode mnie czy od ciebie. - Przekreślił się w łóżku. Jego głos się oddalił: - Kol nie skrzywdzi zakładnika, chyba że Berent złamie rozejm.

- Jest bezwzględny, sam to powiedziałeś...

- Nawet wilk oszczędza szczenięta swych rywali.

\*\*\*

Nazajutrz Ryke udał się do stajni, aby wybrać konie. Stały tam wysokie, z kudłatymi grzywami i zimową sierścią.

Parskały na jego widok. Przyglądając się zwierzętom, karmił je sianem z ręki. Z kupy siana zeskoczył naburmuszony kocur. Przez stajnię przewijali się parobkowie; udawali zapracowanych, żeby przypadkiem nie dał im jakiegoś zajęcia. I tak nie miałyby do nich żadnej prośby. Dla siebie wybrał mocnego siwego wałacha, a dla księcia kasztanowego ogiera. Errel wyszedł na majdan ze swoim małym łukiem z zamiarem postrzelania. Przyłączyło się doń kilku żołnierzy Berenta. Ryke słyszał, jak księżę czystym głosem wykrzykuje wskazówki. Do stajni zajrzał Tav.

- Szukałem cię - powiedział. Ryke się wyprostował.

- Oho, wybrałeś tego wielkiego? - Poglaskał kształtny łeb siwka. Koń trącił go nosem w pierś.

- Tak.

- Będiesz z niego zadowolony. Sam go ujeździłem.

- Przykro mi...

- Niepotrzebnie. Tobie bardziej się przyda. Cieszę się, że będzie mógł sobie pohasać. - Miał miły głos. Położył Ryke'owi rękę na ramiona. Pod wełnianym płaszczem przeżyły się grube mięśnie. - Wieczorem wspomniałeś, że Kol Istor zamierza przebierać żołnierzy za bandytów. Opowiedz mi o tym coś więcej.

Ryke wrócił pamięcią do rozmowy w Wieży Czat. Brał w niej niewielki udział.

Przy obiedzie gawędzili nie o nowych wojnach, ale o tych z przeszłości, przeciwko Anhardczykom. W opowieściach raz za razem padały imiona dawno zmarłych ludzi. Tav i Ashe, młodszy syn Berenta, uczestniczyli w bitwie, w której Athor położył trupem króla Anhardu. Ryke pamiętał, jak czekał na sygnał rozpoczęcia bitwy: uniesiony sztandar wojenny. Akurat panowały upały. Czekaając na ten sygnał, przyglądał się pszczole, która zbierała nektar na płatkach niebieskiej stokrotki. Nóżki miała obciążone zdobczą. Zastanawiał się, czy zdołała wrócić do ula.

- A ty pamiętasz? - zwrócił się Ashe do Errela.

- Słabo - odparł spokojnie książę, - Miałem wtedy czternaście lat. Stałem na murach razem z łucznikami. Pamiętam, że strasznie mi dokuczalo pragnienie.

Berent kiwał głową w milczeniu. Ler stał u jego boku i słuchał opowieści z roziskrzonymi oczyma.

Errel jadł lewą ręką, prawą zaś chował nad kolanem.

- Znowu nadwreżyłeś dłoń? - zapytał go Ryke z przeciwnej strony stołu.

- Nie, ale boli.

- Nic dziwnego, złamała się sześć dni temu.

- Dobrze wiem, kiedy się złamała! - Errel zmagął się z nóżką pieczonego kapłona. - Zesztywnieje, jeśli nie będę jej używał.

- To prawda - przyznał mu rację Ashe.

- Mógłbyś poczekać, aż się lepiej zagoi - powiedział Ryke.

Errel wyciągnął ją i zgiął palce. Środkowy nawet nie drgnął.

- To moja ręka - oświadczył książę z niezwykłym u niego zdenerwowaniem. - Ledwo napinam dziecięcy łuk, do cholery!

- Może dość już tego grania na nerwach? - zapytał Tav.

Ryke tylko mruknął w odpowiedzi. Norres i Sorren nie zjawili się na sali. Być może wyjechali, spekulował. Wypełnili swą misję.

- Czy posłańcy opuścili już zamek? - zapytał.

- Przeprosili nas i zażyczyli sobie, byśmy zanieśli im jedzenie na pokoje.

Mądrale, pomyślał Ryke z przekąsem. Nie muszą tu siedzieć i piec się jak kurczaki. Przypomniał sobie jednak, że sprawa przedstawiała się podobnie na sali w Tor norze.

Zastępca jednego z komendantów rozpoczął opowieść o człowieku, którego przybito gwoździami do futryny własnego domu. Ryke powątpiewał w prawdziwość tej historii, choć kiedyś święcie w nią wierzył. Prawdopodobnie gianie najzwyczajniej go zabili.

Błyszczący sierp księżyca płynął nad szczytami gór na zachodzie. Errel i Ryke przemierzali wewnętrzny dziedzi-  
niec, udając się na spoczynek. Gwiazdy migotały wśród  
czerni zimowej nocy. Mrowie przebiegło Ryke'owi po ple-  
cach. Nie znał murów tego zamku, nie znał kształtu budyn-  
ków. Nawet stukot obcasów wydawał się nieco inny niż na  
kamieniach Tornoru. Nic mu tu nie groziło, czuwały strażę,  
wokół byli przyjaciele... a jednak czuł się samotny.

- Co z tobą? - zapytał Errel. Nie wiedział, co powie-  
dzieć.

- Nic, książę.

Zaledwie zapalili świece w lichtarzach, gdy wtem ktoś  
zapukał do drzwi. Otworzywszy je, Ryke ujrzał w progu  
Norresa i Sorren.

- Chcemy z wami porozmawiać - rzekł na wstępie  
Norres.

Ryke cofnął się, aby ich przepuścić. Wysłał pachółka  
po wino. Kiedy ten wrócił, Ryke odprawił go i sam napełnił  
kielichy.

Errel uniósł kielich w stronę gian.

- Nie mieliśmy dotąd okazji, żeby wam należycie po-  
dziękować.

- Od dawna jesteśmy twoimi dłużnikami - odparł Nor-  
res.

- Już nimi nie jesteście.

- Przyszedłszy zapytać, co zamýślacie robić, skoro nie  
macie dachu nad głową. - Sorren oparła się wygodnie na  
krześle. Jedną rękę ułożyła na kolanach, gdy druga, wsparta  
na niej, podtrzymywała podbródek.

Ryke pochylił się, aby lepiej ją widzieć. Głębią swych  
ciemnoniebieskich oczu mogłaby rywalizować z morską  
tonią. Tym razem nie miała na sobie męskiego kaftana i  
bryczesów. Patrzył na jej szerokie usta, rozmyślając, jak by  
mogły smakować... Przechwycił spojrzenie Norresa, ostre  
niczym krawędź miecza. Ciekawe, co robią, kiedy się kocha-  
ją? Spiekł raka. Tego rodzaju rzeczy chodziły mu po głowie,  
ponieważ dawno już nie spał z kobietą. Namacał drewniany  
kielich, przyłożył go do ust i pociągnął głęboki łyk wina.

Ciepły, mocny trunek trącił cynamonem. Wciąż dźwięczały mu w uszach słowa Sorren, które wypowiedziała tak spokojnie: „bez dachu nad głową”.

Odstawił kielich.

- Jedziemy do twierdzy Pel - rzekł, nie przejmując się tym, że zabiera głos przed swoim panem. Otarł ręką usta.

Sorren spojrzała na Errela.

- A wy dokąd się udajecie? - zapytał.

- Na południe.

- Czym się kierujecie w podróżach?

- Słuchamy pogłosek po wioskach i gościńcach - wyjaśniła Sorren. - Ciągniemy zawsze tam, gdzie wojna. Jak kruki.

- Spokojne zajęcie - stwierdził Ryke.

- Co masz na myśli? - spytała posłanniczka.

- Zawsze gdzieś będzie wojna.

- To wcale nie jest takie pewne.

Ryke znów napił się wina. Uzmysłowił sobie, że od pięciu miesięcy nie był nawet raz wstawiony.

- Zawsze - powiedział, rozluźniając koszulę. - Zawsze...

- A więc na jaką wojnę się wybieracie? - zapytał książę.

- Akurat na żadną - odpowiedział Norres. - Jesteśmy zmęczeni i wracamy do domu.

- A gdzie on jest?

- W Wanimie. - Sylaby zabrzmiały jak bębnienie deszczu o szyby.

Ryke parsknął śmiechem. Wszyscy na niego popatrzyli.

- Tej doliny nie ma - powiedział. Po winie język mu już trochę skołowaciał. - Chyba że w bajkach dla dzieci. - Słowo „Wanima” znaczyło tyle co „Dolina Wana”. Ponoć leżała daleko w górach: miejsce mityczne i zupełnie niedostępne, gdzie panuje wieczne lato. W dzieciństwie uwielbiał słuchać o niej opowieści. - Jest zwyczajnie zmyślona.

- Nieprawda - rzekł Norres. - Byliśmy tam.

- Jak to? - zdziwił się Errel. - To ona rzeczywiście istnieje? Ten Wan jest człowiekiem z krwi i kości?

- Jak i wy tutaj.

- Możecie tam wrócić? - zapytał księżę.

Z pewnością nie, gdyby wierzyć bajkom, pomyślał Ryke. Norres wszakże kiwnął głową potakująco. Ryke ponownie sięgnął po wino, ciekaw, co się teraz dzieje poza murami zamku, co porabia Kol Istor. Plecy go już bolały od siedzenia na drewnianym krześle. Wstał chwiejnie z mętlikiem w głowie, po czym ruszył do łóżka.

- Długo trzeba tam jechać? - ciągnął Errel.

- Konno osiem dni - odpowiedział Norres.

- Ach, tak... - rzekł Errel.

Ryke otworzył szeroko oczy. Serce waliło mu jak młotem bez wyraźnej przyczyny.

- Jedźcie z nami - zaproponowała Sorren. Errel objął kurczowo kolano.

- Mnie tu czeka wojna.

- Nie wybuchnie prędzej niż w ciągu trzech miesięcy. Co będziecie robić do tego czasu? Bić głową o mur twierdzy Pel? Jedźcie z nami.

Mówiła śpiwnym głosem. Szczuty wilk spoglądał wrogo na myśliwych. Ryke położył się na łóżku.

- Osiem dni jazdy konnej? - upewniał się Errel.

- Tak.

- Czy obcy mogą liczyć na gościnę w dolinie?

- Owszem, jeśli przybywają w towarzystwie przyjaciół.

Errel pochylił się nad łóżkiem.

- Hej, Ryke!

- Hę?

- Odwiedzimy Wanimę?

Ryke wyszczerzył zęby. Jakże przyjemnie i zabawnie byłoby zagłębić się w krainę baśni.

- Pojadę dokądkolwiek - rzekł bez namysłu. - Na zachód, południe, wszędzie. - Huczało mu w głowie, więc wsunął ją pod chłodną poduszkę. Czuł się jak w innym świecie. Za nim,

96

nad nim i wokoło odzywały się przytłumione głosy: Lato.  
Wieczne lato. Wanima.



## Rozdział 7

Rankiem następnego dnia opuścili Podchmurną Twierdzę.

Berent i jego komendanci pożegnali gości pod główną bramą. Berent podziękował gianom za pomoc w negocjacjach z Kolem Istorem. Ryke'owi zaś podziękował za nowiny o zamiarach najeźdźcy. Ryke skłonił głowę. Tav uściśnął mu rękę i pogłaskał siwka.

- Pomyślnej podróży.

- Dzięki - odparł Ryke. - Strzeżcie się rozbójników.

- Będziemy o tym pamiętać - obiecał Tav.

Kasztanowy ogier obrócił się niespokojnie w miejscu, lecz Errel szybko ściągnął wodze.

Berent uspokoił konia łagodnym słowem. Pan zamku dał im na drogę żywność, odzież i broń. Ryke sięgnął do pasa i dotknął rękojeści sztyletu. Na pochwie wytłoczone było godło Berenta: dziki kot. Errel posiadał nóż, mały łuk i kołczan pełen strzał z lotkami z gęsiego pierza. Norres i Sorren przypuszczalnie wyjeżdżali stąd tak samo uzbrojeni jak wówczas, gdy się tu zjawili. Siedzieli milcząco w siodłach, tajemniczy i nieprzystępni, odziani już niejednakowo.

Otworzono bramę. Errel zajął miejsce w szeregu. Gdy oddalali się od zamku, wartownicy na murach unieśli porce w geście pozdrowienia.

Przed nimi rozciągała się posępna połać stepu. Na południe od nich były w niebo dymy z wiejskich kominów. Tam też się skierowali. Ryke zrównał się z Errelem. Ogier troszkę boczył się na siwka.

- Berent nie pytał, dokąd jedziemy.

- Tak będzie dla niego wygodniej - rzekł Errel. - Jeśli się zdarzy, że Istor zapyta, czy nas widział, odpowie mu zgodnie z prawdą, że trzy dni udzielał nam schronienia, jak to jest w zwyczaju, a potem wyruszyliśmy w dalszą podróż i nie wie, co jest naszym celem.

- To niech ma nadzieję, że Istor mu uwierzy - powiedział Ryke.

Minęli wioskę. Na drózkach widzieli tylko paru ludzi, a okna we wszystkich domach zasłonięte były okiennicami. Trzy kobiety rozmawiały z sobą, oparte o cembrowinę studni. Odprowadziły podróżnych beznamytnym wzrokiem. Z bocznej ścieżki wybiegła świnia, ścigana przez gromadkę chłystków. Zwierzę zakwiczało gniewnie, widząc konie. Rozzłoszczony ogier Errela wierzgnął zadnimi nogami, na co książę, klnąc głośno, poskromił go jedną ręką.

- Czemu wybrałeś mi takie narowiste zwierzę? - zapytał.

- Przykro mi, książę. - Już chciał mu zaproponować, aby się wymienili końmi, ale się rozmyślił.

- Jak mówi Sorren, będę musiał pogodzić się z tym, że ludzie zwracają się do mnie po imieniu. W dolinie nie ma książąt. Jak myślisz, mógłbyś się przełamać?

- Nie - odparł Ryke.

Errel uśmiechnął się szeroko.

- Nie wierzysz, że dotrzemy do Wanimy?

- Nie, książę.

Na drogę wyskoczyły kurczęta. Koń Errela prychnął ze złością. Zastrzygł uszami, gdy Errel obrzucił go łagodnymi wyzwiskami.

- Potomku puszczańskiej oślicy! Zwierzę rzuciło łbem.

- Mój ojciec polubiłby tego konia - stwierdził Errel. - Lubił wszystko, co mógł ujarzmić.

- Był dobrym człowiekiem.

- Był dobrym panem twierdzy - sprostował książę. - Jako człowiek, był zupełnie zwyczajny.

Ryke ściągnął brwi. W podobnych słowach Errel wyraził się o Kolu. Drażniła go myśl, że można postawić w jednym rzędzie Kola Istora i Athora z Tornoru.

- Co tak na mnie ponuro patrzysz? - zapytał ksiązę. - Kochałem go i podziwiałem, lecz nie był łaskawym człowiekiem.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Nieważne.

Ominęli bagna. Chałupy otaczały je szerokim łukiem. Kobiety, w płaszczach i ciężkich butach rozkopywały szpadlami ciemną glebę. Ziemia wyglądała z pozoru na zimną i twardą jak kamień. Wreszcie wyjechali z wioski. Przed nimi rozciągał się step, upstrzony trzódkami szarych owiec i rzadkimi kępami zielonych sosen. Psy szczekały, okrążając stada. Za młodu, gdy jeszcze nie mógł się wybrać do Tornoru, Ryke często przyglądał się psom pasterskim. Był wtedy nieszczęśliwy, chciał czym prędzej dorosnąć. Nie zachował przyjemnych wspomnień z tamtych czasów. Obrócił oczy na zachód. Na widnokręgu majaczyły kontury płowych wzgórz, nakrapianych białymi plamkami. Niknęły hen, w oddali. Gościniec biegnący w tamtą stronę wiódł bezpośrednio do twierdzy Pel, lecz oni obrali inny kierunek.

- Będziemy przejeżdżać blisko Galbareth? - zapytał, wspominając, jak ojciec zabrał go w podróż na południe.

- Nie wiem.

- Może zobaczymy choć kawałek?

- Wątpię - odpowiedział spokojnie Errel. - Chyba nic nie zobaczymy.

Przejechali przez środek następnej wioski. Trawa była tak wyjeżdżona, że nie musieli nawet trzymać się ściśle drogi. Tylne ściany chat wyglądały jak plecy przygarbionych ludzi, którzy siedzą w rzędzie.

Gdy obejrzał się przez ramię, Ryke z trudem mógł odróżnić maleńką sylwetkę Podchmurnej Twierdzy, wtopioną w szarość górskich zboczy. Niebo stało się zadziwiająco niebieskie. Nad głowami krążyły ptaki. Kasztan Errela brykał jak źrebak. Mocarny siwek Ryke'a stapał ciężko. Errel dźgnął konia piętami, puścił się naprzód galopem i zawrócił.

- Może być!

Pierwsze dwie noce przesпали pod drzewami na sosnowym igliwiu. Leżeli cicho, nienapastowani przez wilki, choć Ryke co chwila budził się i zasypiał, gdyż z gałęzi spadały krople wody. Przeszkadzał mu ten hałas, znacznie głośniejszy od ledwie słyszalnego szmeru wody spływającej we mgle po kamieniach.

Następnego dnia ziemię okrywała już gdzieś tam świeża zielona ruń. Na drzewach pojawiały się czerwone odrosty. Na stokach pagórków rosły chmary przebiśniegów, upamiętniających niedawną zimę. Ryke kręcił się w siodle, łowiąc wzrokiem nowe krajobrazy. Jechali teraz na zachód, lecz linia gór (pomarańczowych rankiem, a sinych wieczorem) wcale się nie przybliżyła.

- Stójcie! - odezwała się Sorren.

Droga, którą się obecnie poruszali, była właściwie ścieżką uczęszczaną przez chłopskie wozy. Tego dnia, gdy po raz pierwszy ujrzeni przebiśniegi, minęli dwie osady. Przez otwarte drzwi chałup wydobywał się na zewnątrz upojny aromat pieczonego chleba. Żołądek Ryke'a skręcał się z głodu, gdy jego nozdrza chłonęły cudowny zapach. Na okolicznych łąkach mężczyźni i kobiety sadzili warzywa. Garbili się nad zaoraną ziemią z sadzonkami w rękach i śpiewem na ustach. Machali rękami podróżnym.

Tej nocy schronili się w szopie drwała. Sorren poszła zaczerpnąć wody w rzeczce. Przyniosła dwa pełne bukłaki i ponownie zniknęła. Ryke wybrał się na przechadzkę w dół strumienia, aż napotkał ją, gdy szorowała coś w zimnej, krystalicznej wodzie. Słońce kryło się już za horyzontem. Nie widział, co właściwie pierze. Było tego jednak sporo i każda sztuka miała ten sam kształt. Spojrzała na niego przelotnie.

- Szmaki na krwawienie - powiedziała, widząc, na czym skupił wzrok. - Masz do mnie jakąś sprawę?

- Nie. - Przeszedł się kawałek dalej wzdłuż rzeczki i wysikał pod krzakiem. Wracił tą samą drogą, lecz Sorren uporała się już z praniem i oddaliła od brzegu.

Norres rozpałił ognisko w kręgu osmalonych kamieni niedaleko szopy. Errel zagłębił się między drzewa rosnące

na wzgórzu. Ryke przysiadł na leżącym kłocu. Blask ognia pląsał na pniach drzew. Dał się słyszeć świst wypuszczanej strzały. Errel powrócił z zającem, którego Ryke obdarł ze skóry i nabił na patyk. Tłuszcz ściekający z mięsa syczał i skwierczał w ogniu. W ciągu trzech dni podróży równina ustąpiła wzgórzom, a te pokryły się łąkami i lasami - wszystko niezauważenie.

- Nie wiem już, gdzie jesteśmy - rzekł, zafrasowany.

- Na południowy zachód od Tornoru - wytłumaczyła mu Sorren. Siedziała obok Norresa, trzymając bezceremonialnie rękę na jego udzie.

- Wjeżdżamy do doliny oddzielającej Wielkie Góry od Galbareth - dorzucił Norres.

- Zobaczmy je teraz?

- Galbareth? Nie. Jesteśmy za daleko. - Sorren wychyliła się z ramion Norresa. Wyglądziła miejsce na ziemi i poszukała patyka. - Tutaj leży Tornor. - Narysowała krzyżyk. - Tu z gór na południe płynie Rurian. A tu leży Kendra w delcie rzeki. - Wyrysowała linię, a na jej końcu następny krzyżyk. - To zaś jest Galbareth. Tutaj miasto Tezera. Tu jezioro Aruna, a tu łańcuch Wielkich Gór. My jesteśmy tutaj. - Na samym dole namalowała jeszcze jedną linię. - To ocean.

Errel mruknął.

- Byliście tam?

- Tak - rzekł Norres.

Ryke próbował wyobrazić sobie, że widzi tę ziemię z lotu ptaka - małą, lecz tętniącą życiem; pełną stworzeń, które polują i na które się poluje.

- Po opuszczeniu Tornoru wędrowaliśmy wzdłuż brzegu Ruriana - powiedziała Sorren, dotykając mapy. - Zapuściliśmy się na Galbareth. Chłopi byli wobec nas przyjaźnie nastawieni. Pracowaliśmy w polu. Po żniwach wróciliśmy na Rzeczný Gościniec. Podróżowaliśmy aż do Mahity.

- Ciężka podróż? - spytał Errel.

- Czasami. - Sorren uśmiechnęła się do Norresa. - Ale warto było.

- A gdzie jest kraj Asechów? - spytał Ryke.

Sorren naniosiła znaczek między Galbareth a Kendrą. - Nigdy tam nie byliśmy. Plemiona Asechów traktują wrogo przybyszów.

- Dlaczego pytasz? - zdziwił się Errel.

- Kol uczył się walczyć w kraju Asechów. Gnębił tamtejsze plemiona.

- Skąd wiesz?

- Tak mówił.

- Aha.

Norres pochylił się nad ramieniem Sorren i zdecydowanym ruchem starł mapę.

- Czas spać. - Sorren uśmiechnęła się i podniosła. Stanęli bok w bok, ramię przy ramieniu, podobni do bliźniaków; zupełnie jak za pierwszym razem, kiedy Ryke zobaczył ich w Wieży Czat. Kształtem ciała nie różnili się ani na jotę.

Norres zdjął kaftan obszyty futrem.

- Ależ ty jesteś... - Ryke urwał w pół zdania.

Obie kobiety, trzymając się pod rękę, ruszyły w stronę lasu. Ryke okrył się płaszczem. Czuł się wystrychnięty na dudka, choć wiedział, że to niedorzeczność. Dawno już mógł zauważyć, kim naprawdę jest Norres. Zastanawiał się, czy coś mu nie zaćmiewało wzroku. Po pewnym czasie kobiety powróciły. Usłyszał odgłos ciał układających się do snu. Zadarł głowę, chcąc wypatrzeć niebo. Wierzchołki drzew łączyły się u góry, zamykając sierp księżyca w czarnym koronkowym deseni.

- Dobranoc - powiedział Errel.

- Dobranoc - odparł Ryke.

- Dobranoc - odezwał się czyjś głos z drugiej strony ogniska.

Potem zrobiło się cicho.

\*\*\*

O świcie Errel wróżył z kart.

Po niebie szybowwały kruki, gdy rozłożył talię na rozpostartym płaszczu. Jaskrawe kolory przyciągały wzrok. Kruki

podleciały na bliższą odległość w nadziei uchwycenia smakowitych kąsków.

- Te karty opowiadają o przeszłości - rzekł Errel, dotykając ich po kolei lewą ręką. Złamany palec odstawał pod nienormalnym kątem. - Demon oznacza przemoc i dominację. - Demon uśmiechał się, ubrany na biało, z głową okoloną zielonymi płomieniami. - Słońce odwrócone. Król odwrócony. Posłaniec. - Spojrzał na Sorren. - To wy.

Pokiwała głową.

- Te karty opowiadają o dniu dzisiejszym. Kolo fortuny. Śmierć. Ta karta oznacza przemianę, nowy sposób myślenia. Wilk. Astrolog odwrócony. Te zaś oznaczają przyszłość. Uczony odwrócony. Radykalne poglądy. Feniks. Ktoś z nas zostanie poddany próbie. Tkacz. Człowiek przy władzy. Lustro odwrócone. Ktoś z nas czarno patrzy w przyszłość. Na pewno Ryke.

- Nie jestem czarnowidzem.

- Ale nie wierzysz kartom. - Używając wyłącznie lewej ręki, Errel zebrał talię.

- Przemiana, radykalne poglądy, próba - wyrecytowała Sorren. - Czy to nam dobrze wróży?

Errel wzruszył ramionami.

- Mogę się tego nauczyć - powiedział Ryke. - Nawet z chęcią. - Popatrzył na Norres. Rozgniałała piętą popiół i nie zwracała na niego żadnej uwagi.

W kiepskim nastroju dosiadł siwka. Wmawiał sobie, że niepotrzebnie się złości, lecz ucisk w piersi nie zelżał. Errel mógł mu powiedzieć, kim są gianie. Ciekawe, czemu to przemilczał? Sorren wskoczyła na siodło, trzymając w garści cugle gniadosza Norres.

- Kiedy dojedziemy do tej waszej zaczarowanej doliny? - spytał.

- Za pięć dni.

- Naprawdę panuje tam lato?

- Przekonasz się.

- Po zimie w Tornorze już tutaj wydaje się, że mamy lato - Errel z przyjemnością przeciągnął się w ramionach. - Na południu wiosna przychodzi wcześniej.

- Południowcy mawiają, że to na północy przychodzi później - zauważyła Sorren.

Norres odebrała od niej cugle.

- Jutro zatrzymamy się w wiosce, gdzie mieszka nasza przyjaciółka. - Pochyliła się nisko nad końskim karkiem, aby nie zawadzić o zwisające gałęzie.

Kluczyli między drzewami. Powietrze przepętniała woń pierwszych kwiatów. Nad głową Ryke'a przeleciał motyl o żółtych skrzydłach z czarnymi plamkami. Zjechali ze stoku, potem wspięli się na następny, aż znaleźli się na porośniętym łąką zbocz. Widzieli przed sobą własne cienie, skierowane prosto na ośnieżone szczyty gór.

Przez cały ranek zdążali na zachód, mijając kolejne pagórki. Na stokach pasły się owce, pilnowane przez malców i kudłate psiska. W dolinach młode sadzonki siedziały już w żyznej ziemi, spijając ciepłe promienie słońca. Nad polami krążyły kosi z lśniącymi skrzydłami. Tu i tam, niczym choągwie, łopotwały na żerdziach kolorowe szmaty.

- Na co to? - zapytał Errel.

- Aby odstraszyć ptaki - wyjaśniła Sorren.

- Dobry pomysł.

Zatrzymali się nad potokiem na południowy popas. Norres odcięła wierzbową witkę i za pomocą nici wysuwanej z koszuli, przywiązała na końcu kolec. Pogrzebała chwilę w wilgotnej ziemi, aż znalazła robaka. Zanurzyła w wodzie kolec z przynętą. Niemal natychmiast w strumieniu zakotłowało się i witka się wygięła. Norres przyciągnęła ją do siebie i włożyła rękę do wody. Po chwili trzymała już rybę za ogon. Tę czynność powtórzyła jeszcze cztery razy, podczas gdy Sorren rozpalala ogień. Ryby były niewiele dłuższe od dłoni Ryke'a; miały żółte łuski, mieniące się w słońcu jak skrzydła kosów.

Wkrótce po rybach zostały tylko płetwy i ości.

- Jak się nazywają? - spytał Errel.

- Żółcienie - odparła Norres.

- Podoba mi się w tych stronach - stwierdził książę.



Ryke skierował wzrok na zachód. Ze zdumieniem przyglądał się górom, które ostatnio tak wyolbrzymiały. Następnie spojrzał na południe. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się tam zielone wzgórza, nakrapiane cieniami obłoków. Gdy odwrócił się ku północy, aby sprawdzić, czy nie widać choć rąbka gór wokół Tornoru, ujrzał tylko pagórki, po których wędrowali. Dawno już ściągnął kozuch.

- Daleko jeszcze do tej wioski?

- Ma w ogóle nazwę? - dorzucił Errel.

- Gerdeński Lasek - odpowiedziała Norres. - Dzień drogi stąd.

\*\*\*

Gerdeński Lasek był zlepkiem chałup pobudowanych w dolince. Na otaczających wieś wzgórzach rosta gęsta puszcza. Na dnie doliny drzewa zostały wykarczowane, a ziemia zaorana. Chłopi zajmowali się sadzeniem. Na łące pasło się stadko długowłosych kóz, strzeżone, jakżeby inaczej, przez umorusanego dzieciaka z różgą. Gdy zbliżyli się do domostw, dziewczynka w podskokach zbiegła z łąki, a za nią wszystkie kozy. Kasztan Errela okazywał nerwowość, więc księżę ściągnął cugle. Dziewczynka miała dwa długie warokcze. Zadała im jakieś pytanie, lecz mówiła tak szybko i z tak ciężkim akcentem, że Ryke niczego nie zrozumiał.

- Jedziemy w odwiedzinę do Chayi. To nasza przyjaciółka - odpowiedziała Sorren.

Dziewczynka uśmiechnęła się, pokazując białe ząbki na opalonej na brąz twarzy, po czym śmignęła z powrotem na łąkę, otoczona kozami. Nie mogła być starsza od najmłodszej siostry Ryke'a. Ubrana w portki i poszarpaną koszulinę wspinała się równie zwinnie co jej kosmata trzódka. Ryke zastanawiał się, jak teraz powodzi się jego rodzinie.

Wioska była naprawdę mała: w jedną stronę od głównej drogi odchodziły trzy ścieżki, w drugą - cztery. Na jarmarczonym placu obok studni spał staruszek z głową nakrytą

słomianym kapelusikiem. Drewniane chaty nie miały nawet kamiennej podmurówki. Ściany pokrywała jakaś czerwona farba, mająca chronić drewno przed zawilgoceniem. Budynki były tu niższe od wysokich, przykrytych ostrymi dachami chałup na północy.

Zatrzymali się przy chacie stojącej nieco na uboczu. W powietrzu unosił się ciężki zapach barwników. Ryke zakaszał, gdyż gardło drażniły gryzące opary. Drzwi chatki otworzyły się i na zewnątrz wyszedł chłopczyk. Miał jasną skórę i przyjemny wygląd, aczkolwiek kulął na prawą nogę. Wsparty na kiju, wyciągnął rękę po cugle konia. Ryke wahał się, czy powierzyć mu siwka.

- Mogę go przypilnować - zaproponował chłopiec.

Kasztanowy ogier poszedł za nim, nie okazując ochoty do wygłupów. Ryke oddał mu wodze.

- Witajcie! - dał się słyszeć niewieści głos.

Ryke odwrócił się, gdy za rogiem chaty ukazała się kobieta.

- Widziałam, jak zjeżdżacie z pagórka. - Wypowiadała szybko słowa. - Ahoj, Sorren i Norres! - Otworzyła ramiona. Trzy kobiety uściśniły się serdecznie. Nieznajoma nosiła kapelusz słomkowy i ubranie poplamione w wielu miejscach czerwienią, błękitem, fioletem i szafranem. Była bardzo wysoka, tylko trochę niższa od Ryke'a.

- Oto Chayatha - przedstawiła ją Sorren. - Dla przyjaciół Chaya. - Zapoznała ją następnie z Errelem i Ryke'em.

Kobieta ukloniła się leciutko. Była smagła jak Kol Istor. Na chwilę zdjęła kapelusz. Miała na głowie zawinięty w kółko warkocz.

- Co was sprowadza w te strony? - zwróciła się do Sorren.

- Jedziemy do doliny - odpowiedziała z uśmiechem zapytana.

- Coś ty? A oni? - Chayatha ruchem brody wskazała mężczyzn.

- Jada z nami. Zostali skazani na poniewierkę. Wan ich przygarnie.

Ryke zastanawiał się, jakie prawo miała ta kobieta pytać się, kim oni są i dokąd jadą.

- Być może. Wejdźcie do środka. - Delikatnie popchnęła Sorren. - Emmlith przygotowuje wam jedzenie. Mam w kapturkach tkaniny, nie mogę ich na długo zostawiać. - Zamaszczym krokiem odeszła za dom.

Ryke spochmurniał. Powitanie nie wydało mu się zbyt uprzejme.

Izba była niska i pełna dymu. Pachniało tu owczą skórą, wełną i barwnikami. Na zewnątrz człowiek miał złudzenie, że w środku panuje ciasnota, było jednak inaczej. Izbę ogrzewał ceglany kominek z rożnem. Za otwartym oknem Ryke dostrzegł stromy dach kurnika i stojącą na wysokich nogach kadełko wielkości balii do kąpielii. Pod nią palił się ogień. Musiała być z gliny lub kafla, pomyślał Ryke. W każdym razie z jakiegoś odpornego na żar materiału.

Emmlith podał im piwo i kozi ser. Poruszał się sprawnie po izbie, posługując się laską niby dodatkową kończyną, która zastępowała mu tę bezwładną.

- Co ci się stało z nogą? - zapytał Errel.

- Taki się urodziłem - wyjaśnił chłopiec beznamiętnym głosem. - Skąd pochodzicie?

- Z północy. Z gór.

Do środka weszła Chayatha.

- Emmlith, postój przy ogniu.

Chłopiec pokuśtykał na dwór. Kobieta nalała sobie kubek piwa - czerwony, z namalowanym na czarno wizerunkiem tancerza.

- Dawno się nie widziałyśmy - powiedziała. - Bardzo dawno. Chyba już ze trzy lata. Ostatnim razem wybierałyście się na południe. Podobno dołączyłyście do zielonego klanu.

Sorren pogłaskała zielony warkocz, przykrywający przód koszuli.

- Ludzie mówią prawdę, jak widzisz. Od dwóch lat jesteśmy posłańcami.

- Jak to się stało, że zielony klan przyjął was do siebie?

Sorren uśmiechnęła się filuternie

- Myśla, że jesteście gianami. To szczęśliwy pomysł Wana.

- I spełniły się wasze oczekiwania? - zapytała barwiarka. Patrzyła przenikliwym wzrokiem to na Sorren, to na Norres. - Oj, chyba nie. Tak, moje wy biedne przyjaciółki, z których każda kocha to, co drugiej niemiłe. Znojna droga was godzi. Czemu to wracacie zimą na południe, do tego z dwoma mieszkańcami północy?

- Byliśmy na południu, lecz zielony klan kieruje się tam, gdzie wojna - rzekła Norres. - A wojna jest na północy.

Chayatha skrzywiła się.

- A kiedyż tam się nie tłuką?

Ryke nie mógł się opanować:

- Tę wojnę wszczęli południowcy.

- Jesteśmy tu gośćmi, Ryke - napomniał go Errel.

Barwiarka buchnęła śmiechem.

- Oto słowa wygnańca, który szuka winnych swojego nieszczęścia. Wiem coś o tym, bo i mnie wygnano. Napij się jeszcze piwa. - Napełniła pusty kubek Ryke'a. - Trafiliście na porę, kiedy mam roboty po same łokcie. Dziesięć dni temu, po strzyży owiec, przygotowano dla mnie stopy rozplataney i oczyszczonej wełny. Od tamtej pory ani na chwilę nie gaszę ognia. - Przeciągnęła się i ziewnęła z głębokim westchnieniem.

- W takim razie nie zabawimy tu długo - powiedziała Sorren.

Ryke ucieszył się w duchu. Nie podobała mu się ta chata. Chayatha budziła jego podejrzliwość. Wypowiadała się zbyt szybko, jak na zwykle wolno myślące prowincjuszki. Mogła pochodzić z Mahity, gdzie poznała Sorren i Norres. Ale skoro tak, to co tutaj porabiała, dalej niż on od rodzinnego domu?

- Jakie wieści przychodzą z południa? - spytała Norres.

- A żadne. - Przysunawszy sobie gomółkę sera, Chayatha odkroiła kawałek, pchając nóż kciukiem jak mężczyźni.  
- Jeszcze za wcześnie na kupców. Pierwsi zjawią się za

miesiąc. Ciągną przez Galbareth, tratując obładowanymi wozami łąny zboża, jakby to był Wielki Południowy Gości-niec. - Położyła nóż na stole.

- Ciekawe, że im wolno. Mieszkańcy Galbareth nie lubią obcych.

- Co od nich bierzecie? - zapytał Errel.

- Jedwabie, korzenie, olej, mosiądz i miedź - wyliczyła Chayatha. Dotknęła miedzianej rękojeści noża. - W zamian kupują wełnę, tkaniny, nici. Ostatnio upodobali sobie niebieski materiał.

Sorren zachichotała.

- Łatwo to wyjaśnić. Kupcy przywiązują do wozów niebieskie szmatki i nazywają się niebieskim klanem. Mówię prawdę! - dodała, widząc niedowierzanie malujące się na twarzy Chayathy. - Zbierają się w wielkim gmachu w Tezerze, każą nazywać siebie gildią i ustanawiają prawa oraz przywileje dla swych członków. Jeśli ktoś złamie prawo, płaci grzywnę. Noszą niebieskie opończe.

- Istna błazenada! - stwierdziła barwiarka. - Znam zielony klan, znam czarny, ale coś takiego? - zirytowała się.

Ryke przypomniał sobie Jareta, który uczył go czytania znaków runicznych i czasami nosił czarny kaptur. Jaret był uczonym.

- Czasy się zmieniają - rzekł Errel.

- Nie zawsze na lepsze - burknęła posępnie barwiarka. Gdy jednak popatrzyła na Errela i Ryke'a, twarz jej się rozjaśniła. - Oho, a tu zagadka. Dwaj jasnowłosi podróżni, ubrani w odzież z północy, jeden z rubinowym pierścieniem na palcu, trzymają komitywę z posłańcami. Kim jesteście, nieznajomi?

Errel opuścił rękę na kolano. Wymienił swoje imię.

- Słuchaj, Chaya... - zaczęła Sorren.

- Ależ pozwól mu mówić. Przecież ma język w gębie. Errel, ha? Zaczne północne imię. Czemuś taki wstydlivy? Jesteś żołnierzem, a ja tylko kobietą. Boisz się, że zrobię ci krzywdę? Wyjawię ci pewną tajemnicę. Pochodzę z Kendry nad morzem. Mieszkałam dawniej w Waninie, jestem siostrą Wana. Dobrze, teraz pokaż mi pierścień.

- Książę,, - wtrącił Ryke i zamilkł, wściekły i zażenowany tym, że zdradził pozycję swego pana. Wpatrywał się nieufnie w kobietę, póki nagle, ku jego zdumieniu, Errel nie położył na stole dłoni z pierścieniem.

Chayatha dotknęła symbolu Tornoru. Obie ręce miała poplamione.

- O! - Jej głos długo brzmiał w uszach. Ciemne, szeroko otwarte oczy zdawały się przyćmione.

Ryke poczuł mrowienie. Norres wpiła mu palce w ramię. Kiedy na nią popatrzył, położyła palec na wargach.

- Widzę jakieś miejsce - ciągnęła Chayatha bez emocji. - Widzę zamek na wzgórzu. - Zadrżał jej policzek. - Wszędzie wokół zamku leżą śniegi. Mury są wzniesione z czarnego kamienia. Widzę człowieka w wieży. Przechadza się przed kominkiem. Nie widać twarzy. Młody mężczyzna pełni straż pod schodami. Podchodzi do niego kobieta w czerwonej sukience. Ma jasne włosy, gdy wszyscy inni, których widzę, włosy mają czarne. Wieża się rozplywa. Widzę ją z progu chaty. W drzwiach stoi stara kobieta, wsparta na ramieniu dziewczynki. W chacie pełno ziół, korzeni, wywarów. Pracownia zielarza. Chata niknie. Widzę znowu zamek. Wysoki, stary człowiek z bliznami na twarzy rozmawia z młodzieńcem, który jest do niego podobny. I to... to wszystko. - Dożyła z piersi przeciągłe westchnienie.

- Sironen ma twarz pokrytą bliznami - powiedział Errel.

A mężczyzna w wieży to Kol, dokończył w myślach Ryke. Kobieta w czerwonej sukience to Becke. Wyobraził sobie, jak biegnie po schodach do łóżka Kola Istora.

- Chata zielarki - odezwała się Norres. - Od lat o niej nie myślałam. Ciekawe, czy stara Otha jeszcze żyje. - Nalała piwa barwiarce i położyła rękę na jej ramieniu. - Napij się.

Chaya sięgnęła na ślepo po kubek. Patrzyła dziwnym wzrokiem. Ryke zastanawiał się, czy kobieta wie, co robi i planuje Kol. Nie rozumiał tego, co przed chwilą się stało.

- Co znaczy twoje widzenie? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Widzę i tyle. Zobaczyłam to, co sami chcielibyście zobaczyć.

- A więc to tylko przywidzenie? Rodzaj snu?

- To rzeczywistość. I nie zadawaj tylu pytań, bo nie znam na nie odpowiedzi.

Ryke chętnie by nią potrząsnął. Być może Kol napadł na Sironena. Dlaczego Chayatha nie zobaczyła Podchmurnej Twierdzy ani Berenta? Bał się o to zapytać. Smród w chacie przyprawiał go już o mdłości. Podniósł się od stołu.

- Wychodzę.

Groźny wał gór zamykał zachodni horyzont. Ryke wciąż czuł się osaczony. Ruszył wolno wiejską dróżką. Pośłyszał żalosne rzenie konia. Okrążył dom, wszedł do stajni i zaczął głaskać zwierzęta. Pojawiły się wspomnienia Tornoru. Tornoru zamarzniętego zimą, nagiego pod wygwieżdżonym niebem, szarego wśród wiosennej zieleni, dającego ochłodę w czasie letniej spiekoty i schronienie przed jesienią ulewą. Nie w smak mu była łagodna natura południowych krain. Pamiętał, jak dawno temu odwiedził ludzi mieszkających wśród łąk z zbożem. Budząc się, słyszał, jak wiatr szeleści kłosami. Ten dźwięk przerażał go nocą, sprawiał wrażenie, jakby sto upiorów maszerowało zgodnym krokiem. Przysuwał się wówczas do śpiącego ojca i wtulał w jego objęcia. Przyłgął teraz policzkiem do ciepłego boku siwego wałacha, rugając się w duchu za dziecięcy głos, który odzywał się w jego głowie: „Chcę wrócić do domu”.

Wyszedł z szopy. Errel siedział na przyzbie chaty, pod pochyłym podstrzeczem. Ryke usiadł obok niego. Książę obracał pierścień na środkowym palcu.

- Co ta kobieta zrobiła? - zapytał Ryke.

- Zobaczyła... Tornor. - Errel westchnął.

Wyglądamy jak dwaj zakurzeni żebracy, pomyślał Ryke.

- Słyszałem o takich ludziach - dodał książę.

- To trochę jak z kartami, co?

- Nie. Karty są tylko narzędziem, jak układy gwiazd lub kamienie i patyki, których ludzie używają, aby ukazała im się harmonia i równowaga świata. Same wiadomości znajdują się w ich głowie. Odczytujemy je niczym znaki nadciągającej burzy. Nawet głupiec umie poznać, że nadchodzi deszcz lub mrozy. Każdy może posługiwać się kartami.

- Ale nie ja.

- Mógłbyś się nauczyć. Wystarczy dobra wola i znajomość kształtu narzędzi. Nie inaczej uczysz się obracać mieczem. Chaya ma jednak wrodzony dar, taki jak bystry wzrok, długi zasięg ramion czy zdrowe nogi.

- Dar spotykany na południu.

- Nie zapominaj, że nasi przodkowie pochodzili z południa.

Nigdy nie byłem południowcem, pomyślał Ryke. Pochodzę z północy i chcę tam wrócić.

- Czemu zobaczyła Sironena?

- Nie wiem.

Spomiędzy chat przydreptał pies, obwąchał siedzących przybyszów i zaczął szczekać. Lewą ręką Errel namacał kamień i rzucił w natrętne zwierzę, które zaskowyczało trafione i czmychnęło drózką. Z domu wyszły Sorren i Norres. Sorren niosła paczkę, Norres - skórzany bukłak.

- Chaya zmęczyła się jasnowidzeniem - oświadczyła Sorren. - Chce się nas pozbyć. Dała nam na drogę ser i piwo. Uczeń już poszedł po konie.

- Obawiam się, że nasza obecność nie jest jej na rękę - powiedział Errel.

- Nie wasza wina - stwierdziła Norres. - Chaya widzi to, co ludzie przynoszą jej w swoich sercach i głowach. - Spojrzała znacząco na Sorren. - Czy o tym wiesz, czy też nie.

Sorren uniosła czoło.

- To nieprawda - powiedziała. - Wiem, co jest w moim sercu. I zawsze wiedziałam.

Ryke popatrzył na Errela w nadziei, że ten go oświeci, lecz księżę tylko wzruszył ramionami. Emmlith przyprowadził



wierzchowce. Kasztan wyglądał na zadowolonego, nie przejawiał już zadziorności.

Ruszyli w dalszą drogę. Zaraz za wioską Ryke obejrzał się za siebie.

Wysoko na pagórku pastuszka kóz odprowadzała ich wzrokiem w milczeniu.

## Rozdział 8

Aż do wieczora Sorren i Norres traktowały się ozięble. Ryke z przykrością patrzył na ich animozje. Wszelako następnego ranka, kiedy otworzył oczy, ujrzał je przykryte jak zawsze jednym kocem i mocno do siebie przytulone. Dziś to jemu przypadał obowiązek opatrzenia koni. Nie spieszył się, zostawiając na koniec kasztana księcia. Ogier tańczył w kółko i uciekał przed uzdą. Z pomocą przysłała mu Norres.

- No już, spokojnie - powiedziała do konia. Użyła chyba czarów, bo przy niej spotulniał; pozwolił się osiodłać i nałożyć sobie uzdę.

Ryke wyprowadził konie na polanę. Errel wracał z nad rzeki, dźwigając na ramionach bukłaki z wodą. Ryke odwrócił się, aby podziękować Norres, ta jednak odeszła już do swoich zajęć, znowu nieprzystępna.

- Jeszcze cztery dni jazdy - przypomniał Errel.

- Skręcimy teraz na południe - oznajmiła Sorren i zadeptała ognisko.

Znów zmieniła się rzeźba terenu. Wzgórza wznosiły się coraz bardziej stromo, ubożała roślinność. Mijali granitowe wypiętrzenia i szczeliny ukazujące różnobarwne, pofałdowane warstwy skał. Łańcuch ośnieżonych gór ciągnął się na prawo od nich.

- Przy wierzchołkach śnieg nigdy nie topnieje - wyjaśniła Sorren, podjeżdżając na brązowej klaczy bliżej Ryke'a.

Miała na sobie koszulę obszytą złotą lamówką, która ożywiała bladą kolor włosów i pasowała do śniadej karnacji. Podała Ryke'owi bukłak. Napił się kwaśnego piwa. Powietrze było przejrzyste, suche i gorące. Ryke żałował, że nie

ma w głowie mapy. Chciał wiedzieć, gdzie są, gdzie jest Tornor, a gdzie ich dolina. Oddał bukłak.

- Jak wrażenia z podróży? - zapytała Sorren.

Ryke wzruszył ramionami.

- Wolałbym się w nią nie wybierać. - Nawet w jego uszach zabrzmiało to trochę gburowato. - Ale nie jest tak źle.

- Pamiętam, jak się czułam, gdy wyjeżdżałam z Tornoru - powiedziała z nutą współczucia.

- Przecież chciałaś wyjechać.

- Ale chciałam też zostać. Wyjeżdżałam z radością i wyjeżdżałam z rozpaczą. No i bałam się. Miałam dopiero piętnaście lat i dotąd najdalej zapuszczałam się do wsi.

Siedziała w siodle tak, jakby się w nim urodziła. Ryke zastanawiał się, czy ona lubi żyć jak koczownik, jak jakiś żebrak bez stałego miejsca zamieszkania, wciąż szukając wojny. Nawet mężczyzna czułby się znużony samotniczym trywotem. Jak sobie radziła z tym kobieta?

- Kiedy wyruszyłaś?

- Osiem lat temu.

- Jak to się stało, że cię nie pamiętam?

- Czemuż miałbyś zapamiętać jedną dziewczynę spośród tak wielu innych? Ja ciebie pamiętam. Służyłeś pod komendą Stane'a. Przez wszystkie dni lata stałeś na warcie pod stajnią. Tam spotykałam się z Norres. Miałaś wtedy jaśniejsze włosy.

Stane... Tak, pamiętał tego osiłka o blond włosach i rumianej twarzy. Cztery lata służył w jego straży. Latem, trzymając wartę przy stajni, czuł się, jakby pilnował gnojwiska.

- Dlaczego wyjechałaś?

- Nie miałam innego wyjścia - odparła Sorren. - W Tornorze każdy chciał mi narzucić swoją wolę. Miałam do końca życia mieszkać w twierdzy i wychowywać dzieci, tak samo jak moja matka. A ja pragnęłam być blisko Norres, jeździć konno i walczyć. Zostałabym na zamku, gdyby mi pozwolono. Kocham góry. Z dala od nich czegoś mi brakuje.

- Oboje zwrócili wzrok na za chód, na wzgórze.

- Kobiety nie walczą.

- W kółko to słyszałam, dlatego uciekłam. Złapali mnie i przyprowadzili z powrotem na zamek. Strasznie wtedy płakałam, a matka krzyczała i krzyczała. Wyzywała mnie od wariatka i mówiła, że jeśli będę grzeczna, to może nawet wyjdę dobrze za mąż, ponieważ moim ojcem jest pan Tornoru.

- Jesteś córką Athora? - Ryke szarpnął cugłami, gdyż walał się potknął. Kiedy Sorren kiwnęła głową, zapytał: - Czy Errel wie o tym?

- Wiedział jeszcze przede mną. On pierwszy mnie powiadomił. Często urządzaliśmy wspólne zabawy. Pokazywał mi sztuczki, których uczył się na majdanie. I zawsze się złościł, gdy umiałam wszystko powtórzyć. - Zachichotała. - Ale to czasy, kiedy byłam naprawdę mała. Kiedy stałam się kobietą, był jedyną osobą na zamku, z którą rozmawiałam. Powiedziałam mu o Norres.

Ryke przygryzł wargę, bojąc się nieostrożnym słowem przerwać jej opowieść. Jakiś ptak pisał w zaroślach.

- Ona też urodziła się w twierdzy, lecz jej ojcem był żołnierz, dlatego dorastała w wiosce. Uczyła się u zielarki. Nienawidziła uzdrawiania, bo trzeba siedzieć w chacie i mieszać w garach. Uciekła do twierdzy i ukryła się w stajni. Lubiła przebywać ze zwierzętami. Zawsze ją kochałam. Opracowałam dla nas wiele planów ucieczki, lecz wszystkie miały usterki. - Westchnęła. - Pewnie dlatego, że nie chciałam jeszcze wyjeżdżać. Norres była taka cierpliwa. Nigdy nie płakała, nawet kiedy Otha biła ją i pytała, gdzie jest jej kryjówka. Dawno mogła uciec, ale czekała, aż obie będziemy gotowe. Errel wpadł na świetny pomysł. - Odgarnęła włosy z twarzy. - Przebrał nas w chłopięcą odzież i zabrał nas polowanie. Wymknęliśmy się na koniach z Tornoru pod samym nosem strażników. - Wspomnienie przywołało uśmiech na jej usta. Promienie słońca podkreślały zarys policzków.

Zastanawiał się, kto powiedział młodemu księciu, że Athor ma córkę i dlaczego on, Ryke, nigdy o tym nie słyszał.

Sorren pewną ręką trzymała cugle. Athor mógł ją wydać za kogoś z synów Berenta.

- Tak boisz się zamążpójścia i wychowywania dzieci?  
- Pewien obraz stanął mu jak żywy przed oczyma. Zrazu sądził, że to karciana królowa, lecz w rzeczywistości była to jego siostra Becke, wspinająca się po schodach wieży w czerwonej sukience.

Sorren zwlekąła z odpowiedzią. Puściwszy cugle, odchyliła się do tyłu i oburącz szesnęła włosy z czoła.

- Twoja matka żyje? - zapytała wreszcie przyciszonym głosem.

- Tak - odparł.

- Moja nie. Urodziła mnie w wieku szesnastu lat. Gdy miałam jedenaście, umarła przy porodzie.

Nawet na północy kobiety piły osobliwe wywary, które powstrzymywały w łonie dorastanie dziecka. Przypuszczalnie w tym przypadku było już na to za późno. Jako mężczyzna, słabo orientował się w tej materii.

- Wszystkie kobiety rodzą dzieci - powiedział.

- A co to ma ze mną wspólnego? - zapytała porywczo Sorren. Spiąwszy piętami brązowego wierzchowca, odjechała do przodu, pozostawiając Ryke'a samego. Pewnie była zła i dziwiła się, co ją skłoniło do zwierzeń.

Wałach znowu się potknął. Ryke przystanął, zsiadł i wydułbał nożem kamyk, który wbił się koniu do kopyta. Gdy ponownie wskoczył na siodło, kobiety oddaliły się już spory kawał drogi. Errel zwolnił i czekał na niego. Ryke ponaglił konia do klusa. Nie zamierzał jej urazić. Mówił tylko to, co uważał za słuszne.

Podczas następnego popasu wyciągnął dla niej trochę sera z juków.

- Dziękuję - powiedziała. - Napij się piwa. - Wręczyła mu bukłak.

Ugasił pragnienie i podał pojemnik Errelowi. Słońce prażyło. Twarda zielona trawa na wzgórzach uzyskiwała gdzieniegdzie bury kolor. W górze płynął na wietrze polujący

sokół. Krajobraz zaczynał przypominać zwykłe podgórskie rejony. Z tego miejsca wielki łańcuch gór zdawał się zakrecać na wschód; gdyby stale jechali na południe, zbliżyliby się do samych szczytów. Jadąc jeszcze dalej na południe, zawitaliby do piaszczystych krain Asechów.

- Hej, Ryke!

- Hej? - Usiadł. Nie przypominał sobie, kiedy się położył. Ujrzał nad sobą uśmiechniętą twarz Errela, który trzymał cugle siwka.

- Chyba nie chcesz tu spać.

- Wcale nie spałem.

- To co robiłeś?

- Śniłem. - Ryke przetarł oczy i wziął cugle. Nie widział w swej odpowiedzi nic osobliwego. Dopiero po pewnym czasie zrozumiał, czemu tak rozbawiła Errela.

\*\*\*

O zmroku ósmego dnia podróży przybyli do Wanimy.

Po raz ostatni skęcili na zachód. Kierowali się prosto ku górcom. Wielkie brunatne zbocza rozstępowały się przed nimi niczym kawałki drewnianej układanki, którą Ryke bawił się w dzieciństwie. Promienie słońca skrzyły się na brązowych skałach. Ryke jechał ostatni w szeregu, zaraz za Errelem. Norres i Sorren zniknęli za jakimś zakolem lub garbem drogi. Errel odwrócił się w siodle i pomachał mu ręką. Ryke wyteżył wzrok. Ogier pochylił łeb i wierzgnął zadnimi nogami. Ryke bodnął piętami swego siwka. Dojechał nad skraj drogi i spojrzął w dół. Ścieżka rozszerzała się tutaj, schodząc do długiej zielonej kotliny. Ryke ujrzał ciemne bure pola i kanciaste budynki. Popuścił cugli, aby wierzchowiec miał więcej swobody przy zjeżdżaniu ze zbocza.

Chociaż drżące rozgrzane powietrze myliło wzrok, zauważył, że ośnieżone szczyty zostały na swoim miejscu. Wanima leżała w głębokim zapadlisku. Wyniosłe turnie pięły się w ciemniejące niebo ani o krok bliżej, ani o krok dalej.

Na próżno wypatrywał strażników. Góry były najlepszymi strażnikami tego zakątka, pomyślał Ryke. Jak w baśniach. Szukając ludzi z bronią w ręku, Ryke zobaczył tylko robotników z motykami. Nigdy nie mieszkał w miejscu, gdzie nie ma żołnierzy.

Errel, Norres i Sorren przystanęli, aby mógł ich dogonić, ponaglił więc konia i wnet się z nimi zrównał. Rozebrani do pasa mężczyźni, którzy pracowali w polu, machali do nich przyjaźnie. Podróźni dotarli do stajni. Zwierzęta cisnęły się zapalczywie do koryta z wodą. Ze środka wyszła dziewczyna; chwyciła za cugle spragnione konie i napominała je zdecydowanym tonem. Miała na sobie męską odzież, koszulę i bawełniane bryczesy.

- Możemy tu zostawić pakunki - oznajmiła Sorren, a następnie zwróciła się do dziewczyny: - Gdzie Wan?

- Na majdanie.

Oddalili się od stajni. Errel odetchnął pełną piersią.

- Nawet kolory gór są tu inne.

- Nikt tutaj nie przyjeżdża? - zapytał Ryke.

- Trzeba dobrze znać drogę, by tu trafić - odparła Norres.

Ryke naliczył przeszło dwadzieścia domostw; zbudowane z lekko czerwonego drewna, otaczały środek osady, gdzie znajdowała się studnia. Majdan był przesadnie duży, jak na tak małą wioseczkę – nieogrodzony solidnym parkanem, a jedynie niskim drewnianym płotkiem, który przeskończyłoby dziecko. Plac był niemiłosiernie zakurzony. Mimo późnej pory wciąż dokuczał upał. I nigdzie skrawka cienia. Kobiety i mężczyźni stali w półkolu, patrząc, jak jeden z walczących rzuca drugiego o ziemię. Padający w ostatniej chwili zrobił kółko w powietrzu, przetoczył się po ziemi i stanął na równych nogach. Najbliższa kobieta wyciągnęła rękę i pomogła mu zachować równowagę. Ten, który cisnął swego przeciwnika na ziemię, oznajmił coś zgromadzonym, po czym zamaszystym krokiem zbliżył się do przybyszów.

- No proszę, jednak wróciłyście - powiedział do Sorren i Norres.

Wzrostem przypominał Ryke'a, a krzepą Kola Istora - prawdziwy południowiec. Gdy poruszał się z kocią zwinnością, pod jego skórą prężyły się, wyginały i falowały mięśnie. Miał czarne, szeroko osadzone oczy i nagą, opaloną pierś. Podobnie jak dziewczyna ze stajni, nosił bawełniane bryczesy. Na rękach i ramionach osiadł mu kurz. Nie miał brody, za to włosy aż w trzech kolorach: czerwonym, żółtym i czarnym. Obwiązał je czerwoną chustką. Wsparłszy ręce na biodrach, zlustrował Errela i Ryke'a.

- Kogoście mi tu przywiodły?

Sorren przedstawiła gości.

- Na czym się znacie? - zwrócił się Wan do Errela.

- Dobrze strzelam z łuku. Umieć śpiewać i znam się trochę na akrobatyce. Umieć przepowiadać przyszłość z kart i lubię się wspinać.

Wan pokiwał głową

- A ty? - zapytał Ryke'a.

- Ja przegrywam wojny. Dobrze walczę na rękę. Umieć niezłe kłamać. - Nie przejął się pochmurną miną Norres.

- Witajcie w naszej dolinie - powiedział Wan. - Dacie sobie radę w polu?

- Wprawimy się - odparł Errel.

- A więc dobrze. Zaprowadźcie ich do Maranth - poprosił Sorren. - Znajdzie im miejsce do spania i jakąś robotę dla was wszystkich. Widzę, że przybywacie z zimnych stron. Mamy tu akurat środek upałów. Będziecie musieli wystarać się o inną odzież. Przyjdźcie na majdan, gdy zechcecie powalczyć. - Odwrócił się do ludzi czekających w kółku.

- Często obrażasz gospodarzy? - spytała Norres Ryke'a.

Ten tylko wzruszył ramionami, czekając, aż Errel coś powie. Książę nawet na niego nie patrzył. Obserwował Wana. Zastanawiał dziwny wyraz jego twarzy.

- Nie muszę ci się zwierzać - powiedział. - Mówiłem prawdę.

Norres zachnęła się.



- Cokolwiek robisz, rzutuj też na nas.

Wan obalił następnego mężczyznę. On też obrócił się zwinnie i stanął na równych nogach. Ryke nie dostrzegał w tym nic, co mogłoby być przydatne w walce. Odwrócił się plecami od widowiska.

- Przypomina mi Kola Istora - stwierdził.

Pola uprawne przy wiosce zajmowały obszar o kształcie wachlarza. Kukły na drągach machały na wietrze szmacianymi ramionami, aby odstraszyć łakome ptactwo. Najbliższe pole - jeszcze ciemne, świeżo naruszone lemieszem pługa - czekało na siewców. Na odłogu pasły się konie, wśród nich jedna żrebna klacz.

- Co to? - zapytał książę, wskazując na pole, które w jego mniemaniu dziczało.

Ryke przesłonił oczy ręką. Żdźbła nie wyglądały na chwasty. Rosły w rządkach i sięgały człowiekowi do pasa.

- Ozimina - wyjaśniła Sorren.

- Wygląda na pszenicę - rzekł Errel.

- Bo to ona. Gleba jest tu dość miękka, a zima łagodna. Pszenicę sianą na jesień zbiera się latem. Owies sieje się wiosną i zbiera przed jesiennymi deszczami, tak jak w Tor-norze.

- Dwa siewy, dwa żniwa - mruknął Errel.

- Tak to wygląda w Galbareth - powiedziała Norres.

Doszli jedyną tu drogą na środek wioski, gdzie znajdowała się studnia. Wieś wyglądała na opustoszałą. Dzieci nie harcowały wokół zabudowań, a kobiety nie wygrzewały się na słońcu, zajęte kądzielą i snuciem opowieści, jak to często zdarzało się na północy. W zagrodzie piszczały kurczęta. Ryke dostrzegł palisadę i wyczuł zapach świń. Kot leżący na dachu liżał łapy, sporadycznie kierując na dół swe szerokie oczy. Weszli do chałupy, w której przy stole siedziała kobieta. Za plecami miała otwarte okno. Czuło się zapach kurzu, świec i atramentu.

Na stole leżały tabliczki kredy i zwoje pergaminu. Kobieta podniosła wzrok i zerwała się z krzesła. Miała niebiesko-czerwoną suknię, obszytą złocistymi frędzlami, oraz

czarne jak smar włosy, rozrzucone na wszystkie strony niczym gałązki krzaka. Porwała w ramiona najpierw Norres, potem Sorren.

- Wróciłyście! - powiedziała chrypliwym głosem, przypominającym Ryke'owi Chayathę. Na jej nadgarstkach błyskały srebrne bransolety, wysadzone niebieskimi klejnotami.

- Oczywiście - rzekła Sorren ze śmiechem.

- A kim są twoi przyjaciele?

- To Ryke i Errel. Poznajcie Maranth - zwróciła się do swych towarzyszy.

Kobieta obdarzyła ich uśmiechem. Errel odpowiedział jej w podobny sposób.

Ryke zauważył, że na palcu księcia nie ma już pierścienia. Spróbował przymusić usta do uśmiechu. Poczul się nagle zmęczony. Marzył o posiłku, łóżku, ciszy, ucieczce od nieznanym, towarzystwie jednego druha - jednego i nie więcej. Na okno wkradł się kot o błyszczącym, smolście czarnym futerku. Gdy Maranth pogłaskała zwierzaka, pieszczochoch z rozpalonymi oczami potarł się o jej rękę.

- Gdzieżeście bywały?

- Czasem na południu, czasem na północy.

- Raz na zachodzie, raz na wschodzie. Wiem. Kto teraz rządzi w mieście?

- Rodzina Medów - odparła Norres.

Maranth niedostrzegalnie pokiwała głową, jakby zarówno pytanie, jak i odpowiedź nie miały dla niej większego znaczenia. Nieprędko jednak znowu przemówiła. Ryke zastanawiał się, dlaczego losy nadmorskiej Kendry tak bardzo ciekawią mieszkańców Wanimy. - Zdziwicie się, jak zobaczycie Amaranth. Wyrosła dziewczucha. Jest już wyższa ode mnie. Całkiem możliwe, że kiedyś prześcignie Chayathę. - Jej słowa padały szybko, jak krople deszczu na twardą ziemię.

- Ma się dobrze? A jak ty się czujesz? - zapytała Sorren.

- Jesteśmy zdrowe, nic nam nie dolega. Przybywacie w samą porę. Cztery dni temu padał deszcz. Jeszcze cztery i będzie

pełnia księżycy. - Obeszła stół i wzięła do ręki tabliczkę.

Ryke dopiero teraz spostrzegł, że to, co brał za spódnicę, było w gruncie rzeczy spodniami, na które nachodziła długa bluza.

- Pozwólcie, że wskażę wam pustą chatę. Hm..., domek z niebieskimi okiennicami jest chwilowo wolny. Zechcecie się tam wprowadzić?

- Oczywiście - powiedziała Sorren.

Maranth zapisała coś na tabliczce ściśniętym i pokręconym pismem. W oczach Ryke'a wszystkie litery wyglądały jednakowo.

- Mamy dużo roboty przed sadzeniem. Te pola rodzą więcej kamieni niż jęczmienia. Będziecie je zwozić? Chciałabym też, żeby jedna osoba pomogła nam przy budowie grobli.

Popatrzyła na Ryke'a, który kiwnął głową na znak zgody, nie bardzo wiedząc, czy to prośba, czy rozkaz.

- Ja mogłabym popracować przy kozach - zaofiarowała się Norres.

- Właśnie miałam ci to zaproponować - rzekła Maranth.

- Kiedy kozy połapią się, że jesteś w dolinie, będą od wszystkich uciekać, bylebyś ty z nimi była. Sorren, pójdziesz za pługiem?

Dziewczyna zgodziła się. Kot przeszedł po tabliczce. Po drodze obwąchał Norres. Maranth ucapiła go za grzbiet i wyrzuciła przez okno.

- Precz, darmozjadzie! - fuknęła, a następnie popatrzyła na Errela. - Skąd ta rana?

Uśmiechnął się.

- Walczyłem na rękę.

- Człowiek z jedną ręką nie może ani polować, ani gotować, ani orać ... - Przeczesała palcami włosy.

Nie wydawała się młodsza od Ryke'a, lecz poruszała się ze zwinnością młodej dziewczyny. Co chwila dzwoniła bransoletkami. Za stołem stało przykryte pierzyną łóżko. Na ściennym haku wisiała męska opończa. Ciekawe czyja. Ryke irytował się, zmuszony słuchać rozkazów kobiety.

Errel przyjmował je z obojętnością.

- Mogę wyrywać chwasty - zaproponował.

Maranth uśmiechnęła się promiennie.

- Świetny pomysł. Zawsze nam brakuje ludzi do plewienia. Mam nadzieję, że odróżnisz chwast od źdźbła pszenicy. - Wiatr szarpnął stosem pergaminów, które przytrzymała dwiema rękami. - A teraz zapłata, jeśli was stać - powiedziała.

Sorren wyciągnęła sakiewkę z kieszeni. Rozwiąawszy rzemyk, przeliczyła monety. Na niektórych widniał używany w Tezerze znak ryby, na tych z Szananu worek zboża, inne zaś przedstawiały symbole, których Ryke nigdy jeszcze nie widział. Monety były przeważnie srebrne; wśród nich błąkało się tylko kilka miedziaków. Sorren wręczyła pieniądze Maranth, a ta schowała je od razu do drewnianej, okutej żelazem szkatuły, która stała na taborecie obok stołu. Potem wyciągnęła czysty arkusz pergaminu. Wodą z mosiężnego dzbanka skropiła wprawnym ruchem leżącą na miseczce poduszkę z tuszem, następnie przytknęła do niej pióro i napełniła jego końcówkę, by nanieść na pergaminie czarne słowa. U góry na ścianie wisiał pergamin w drewnianej ramce, pokryty linijkami pisma. Ryke zastanawiał się, co tam jest napisane i przez kogo.

- W porządku. Opowiecie mi później przy kolacji, gdzieście podróżowały.

- A ty nam powtórzysz, o czym się ostatnio plotkuje w dolinie - powiedziała Sorren.

- Ja nie roznoszę plotek - rzekła Maranth z szyderczo dostojną miną. - Dobrze, idźcie już. Czeka mnie dużo pracy.

Wyszli na drogę. Niebo pociemniało, słońce chowało się za widnokregiem. Ściana skał uzyskała ciemnobrązowe zabarwienie.

- W dolinie zmierzch zapada wcześniej - stwierdził Errel.

Z zagródki za domem dobiegało chrząkanie świi.

- Zostaniemy farmerami, książę? - spytał Ryke.

- Nazywam się Errel. Owszem, zostaniemy farmerami. Będziemy tu paśli kozy i robili wszystko, co trzeba.

Ryke spuścił głowę, pogodzony z losem, choć był żołnierzem i nie podobało mu się takie życie. Czuł się zamknięty i ograniczony w tej obcej wiosce, czterokrotnie mniejszej od jego rodzinnej wsi pod Tornorem.

- Kim jest Maranth? - zapytał Errel.

Sorren mięta w palcach podniesione z ziemi źdźbło słomy.

- Żoną Wana. Ale niech nie słyszy, że ją tak nazywasz, bo rzuci na ciebie przekleństwo. Sama o sobie mówi: Należę do siebie i nikogo innego. Jest skrybą i rachmistrzem, prowadzi księgi w Waninie. Kiedy do Gerdeńskiego Lasku przybywają kupcy, ona robi spis potrzebnych towarów i jedzie się z nimi targować. Wan nazywa ją Biczem. Powiada, że gdyby nie ona, musielibyśmy głodować.

- I na to pójdą pieniądze? - spytał Errel. - Na zakup towarów?

Sorren kiwnęła głową potakująco.

- Zapłaciłaś za nas czworo - dodał ksiączę. - Przy najbliższej okazji oddam ci pieniądze.

Przytłaczała ich wszechobecna czerwień: czerwone były góry, ziemia, las i domy. Nawet dachy kładziono tu z czerwonej dachówki. W końcu znaleźli chatę z niebieskimi okiennicami. Przypominała Ryke'owi domek jego matki. W środku, izby dzieliło na dwoje drewniane przepierzenie na zawiasach, a na poddasze prowadziły schodki. Sorren i Norres wspięły się na górę. Nic nie wisiało na ścianach. Słoje drewna układały się na deskach w kształty rwących rzek. Cały dom pachniał cedrem. Łóżko w sypialni było miękkie, tylko pierze gryzło. Errel rzucił się na nie z westchnieniem rozkoszy, kiedy już zrzucił buty.

Na gzymsie kominka Ryke znalazł łojowe świece, a przy łóżku - nocnik i zatykany korkiem dzban na wodę. W głównej izbie stał kufer. Ryke wyszperał w nim wełniane koce, rolkę sukna, igłę i nici, puste pudełko na krzemień i krzesiwo, pas ze sprzączką w kształcie dłoni, rękojeść sztyletu.

Wtem rozległo się pukanie. Ryke otworzył drzwi dziewczynie, która przyniosła ze stajni ich pakunki. Wniósł je do środka. Sorren zbiegła z poddasza. Zdażyła się przebrać

w jasnoniebieski kaftanik i brązowe bawełniane bryczesy.

- Nareszcie - powiedziała na widok pakunków.

- Skąd wzięć takie ubranie? - zapytał Errel.

Wskazała na kufer. Ryke wrócił do skrzyni i wygrzebał kilka par spodni i trzy koszule zawinięte w koce. Zrzucił z siebie odzież ze skór i wełny, a włożył bawełnianą. Tkanina zdawała się nic nie ważyć, pieściła ciało niczym ręka kobiety.

Musiał odłożyć pasek: bawełniane portki wiązało się sznurkiem. Na koszuli było wyszyte słońce. Przez chwilę wodził palcem wzdłuż jego promieni. Zauważył, że Sorren i Norres, która też zesłała na dół, mają buty z miękkiej skóry z cholewką do kostek. Raz jeszcze zajrzał do kufra. Znalazł trzy pary miękkich butów i jednego ze skóry twardej, bez pary. Trafił na swój rozmiar, lecz na Errela wszystkie były za krótkie. Książę został więc przy swoich wysokich butach jeździeckich.

- Coś ci jeszcze znajdziemy - powiedziała Sorren.

W głównej izbie stało jedno krzesło. Ryke usiadł na nim ciężko. Oto koniec podróży... Zmęczone mięśnie dygotały. Nigdy nie wypuszczał się tak daleko od rodzinnego domu. Czuł się jak na wygnaniu. Errel położył mu rękę na ramieniu.

- Chodź.

Ryke dźwignął się na równe nogi.

- Dokąd idziemy?

- Do refektarza - powiedziała Sorren. - Nie jesteś głodny?

Żołądek Ryke'a aż podskoczył na wzmiankę o jedzeniu. Wyszli z chaty. W miękkich butach doznawał wrażenia, jakby unosił się w powietrzu.

Od wielu dni ich główną strawą był ser i suszone mięso. Wiatr dmuchający między opłotkami niósł zapachy gotowanego mięsiva i pieczonego chleba. Minęli studnię. W oknach pobliskiej chałupy pełgało mdłe światło, zupełnie niepodobne do odbitego blasku pochodni. Tuż przed oczami Ryke'a zamrugnęła iskierka. Machnął ręką. Znowu błysnęła.

Kie lichu!?! - mruknął. Spróbował przebić wzrokiem wieczorne ciemności. Kiedy skierka zapaliła się przed nim na nowo, zdołał ją złapać. W jego garści zamieniła się w popielatą istotkę i szybko śmignęła w powietrze.

- Świetlik - wyjaśniła Sorren ze śmiechem.

- Co to?

- Taki latający owad, który rozpala ogieniek w ogonie i nosi go jak latarkę.

- Lepiej nie próbuj go chwycić - dorzucił Errel, roz-weselony.

- Chcę mu się bliżej przyjrzeć.

- Zaczekajcie - odezwała się Norres, przystając.

Wszyscy znieruchomieli. Mrugający świetlik krążył nad ich głowami. Norres wyciągnęła rękę. Ryke wstrzymał oddech, gdy świetlik, co prawda z wahaniem, wylądował na dłoni. Jego światełko na przemian to pojawiało się, to nikło.

- Ten ogień nie parzy- oznajmiła Norres. Strząsnęła z palców owada, który rozpostarł skrzydełka i poleciał w mrok.

- Ty oswoisz każde stworzenie - rzekła cicho Sorren.

Dach refektarza opadał stromo na obie strony kalenicy. Pod nim belki kryły się w głębokim cieniu. Przeważało tu to samo czerwone drewno, którego używano do budowy chat. Ścian nie dekorowała broń czy gobeliny. W ceglany palenisku płonął ogień, podsycany torfem. Rozstawione na blacie miseczki z oliwą roztaczały wokół siebie ciepły blask. Drewniana podłoga wysłana była trzcina. Wzdłuż długich stołów ustawiono, podobnie jak w Tornorze, ławy bez oparcia. Na drugim końcu izby wydawano jedzenie przez okienko. Tutejsi ludzie nosili bawełniane ubrania i miękkie buty. Niektórzy narzucili na ramiona wełniane płaszcze.

- Gdzie mamy usiąść? - zapytał Errel.

- Gdzie chcecie. - Sorren wskazała ławę. - Możecie usiąść tutaj, zmieścimy się w czwórce. Pójdę z Norres po talerze.

Ryke szukał wzrokiem stołu dla ważnych osobistości. Żaden się nie wyróżniał. Stół, który wskazała im Sorren, był

w połowie zajęty. Gdy usiedli, mężczyzna obok spojrzął na nich z uśmiechem. Sorren i Norres wróciły z półmiskami pełnymi mięsa (wieprzowina i dziczyzna) oraz sera tudzież wazami z zupą ziołową koloru serwatki. Ryke skosztował: była nad podziw smaczna. Na stole stały już kubki i dzbany pełne wina. Nalał sobie kubek i wypił. Nie było to jednak wino, tylko woda. I tak ją wypił.

Errel zadał Sorren jakieś pytanie. Ryke nadstawił ucha, aby usłyszeć odpowiedź.

- Wszyscy tu przychodzą. Jeśli czegoś, co u nas wyrośnie, sami nie zjemy, przeznaczamy to na karmę dla koni, świń i kur. Każdy co jakiś czas pracuje w kuchni: gotuje, zmywa, piecze lub dzieli mięso. Chodzimy na polowania, łowimy ryby. W Wanimie nie ma panów i służących. Wszyscy pracują i uczą się po równo.

- Czego się uczyacie? - spytał Errel.

- Sztuki walki.

Za mężczyzną, który przedtem się do niego uśmiechał, Ryke dostrzegł kobietę z dwoma długimi warkoczami; karmiła dziecko piersią. Gdy się obejrzał, ujrzał dziewczynę, którą spotkali pod stajnią. Zdało mu się, że rozpoznaje też jedną z osób ćwiczących przedtem na majdanie. Trochę się krępował. Ludzie jedli lub prowadzili przyciszone rozmowy. Nie było widać żadnych komendantów, żadnych dygnitarzy. Zza okienka wyszedł młodzieniec i usiadł za stołem, aby spożyć posiłek. Nikt nie nosił broni. Dookoła wszystko było dziwaczne, a jednak, poniekąd, zaczynał czuć się tu swojsko, jakby ubrał nowy but uszyty dokładnie na miarę poprzedniego. Niezadługo poczuje się tu jak u siebie w twierdzy.

Pił wodę i tęsknie wspominał wino. Errel dyskutował o czymś z Sorren. Do izby weszły z podwórza dwie kobiety i mężczyzna. Tą niższą była Maranth; poznał ją po włosach. Ruszyła w stronę osoby, która pomachała jej ręką. Pozostałych dwoje podeszło do okienka po półmiski, skąd wrócili do zajętej w połowie ławy. Mężczyzną okazał się Wan; przysiadł się bezceremonialnie do stołu. Towarzyszyła mu młoda dziewczyna z bujną grzywą włosów - czym przypominała



Maranth - szepionych na karku skórzaną spinką. Miała pociągłą, żywą twarz, jaśniejącą w blasku lampek oliwnych. Jej włosy, jak u Wana, były trójkolorowe.

Wan przechwycił spojrzenie Ryke'a. Przedstawił dziewczynie imiona gości.

- A to moja córka Amaranth - powiedział.

Wan odłamał sobie kładkę chleba i zamaczał ją w sosie. Jego ruchy były zwinne i szybkie, starannie odmierzone.

- Gdzie śpicie? - zapytał.

- W domku z niebieskimi okiennicami - odpowiedziała Sorren.

- Aha. - Napił się wody.

Inni milczeli, czekając na to, co zrobi albo co powie. Onieśmiał ich swoim autorytetem. Księżę przyglądał mu się bez słowa ze splecionymi rękami.

Ryke miał napięte nerwy.

W końcu nie wytrzymał i rąbnął łokciami o stół, aby przerwać ciszę. Skupił na sobie powszechną uwagę.

- Co to właściwie za miejsce? - zwrócił się do Wana.

Zapytany przestał maczać chleb. Miał doskonale czarne oczy, podobne do węgla lub tego rodzaju marmuru bez żyłek, który czasem sprowadzano z górskich kamieniołomów. Były jak mroczna czeluść między gwiazdami.

Ryke odwrócił wzrok. Zimne mrowie przeszło mu po skórze.

- Wanima - odparł Wan. - Kraina wiecznego lata.

- Skąd jesteście? - zapytała dziewczyna z drugiej strony stołu. I ona miała czarne oczy, które jednak nie przewiercały człowieka na wskroś tak twardym spojrzeniem.

Ryke popatrzył na Errela. Księżę uśmiechnął się do dziewczyny.

- Z północy.

- Co tam się stało? - naciskała.

- Wojna.

- Przegraliście? - Errel przytaknął.

- A kto wygrał? - chciała wiedzieć.

- Bandyta z południa - rzekł Ryke. Wolał, aby księżę nie zdradzał więcej szczegółów, rozwodząc się o Kolu Istozrze.

- Nie wszystko jest złe, co wiąże się z południem - stwierdził Wan. Odchylił się nieco do tyłu, kryjąc twarz w cieniu. Teraz łatwiej było na niego patrzeć. - Znacie południowe słowo czija?

- Nie - odparł Ryke.

- Ja znam - powiedział Errel. - Oznacza... równowagę.

- Równowaga. Czija. To prawda. Stąd też pochodzi słowo cziris. Znasz je?

Errel uśmiechnął się.

- Jego sens został przeinaczony - ciągnął Wan. - Teraz oznacza błazna, kuglarza. Kiedyś oznaczało kogoś potężnego.

- Tancerza - rzekł Errel. Wan uniósł brwi.

- Skąd wiesz, skoro mieszkałeś na północy?

- Wróżę z kart. Pierwszą, nienumerowaną, jest właśnie tancerz, czasami nazywany błaznem. Wszystko się dzieje wokół niego.

- Pierwsze słyszę. Mówiono mi wprawdzie o kartach do wróżenia, lecz nigdy ich nie widziałem. Uczni na południu twierdzą, że taniec jest rzeczą świętą, ponieważ tancerz reprezentuje cziję, równowagę świata. - Zetknął z sobą końce palców. - Symbolem tej równowagi jest sfera, całość. - Mówił wyłącznie do Errela, pochyłony lekko w jego stronę. Siedząca przy nim dziewczyna wyraźnie się nudziła. - Każda rzecz utrzymuje się w równowadze: noc i dzień, lato i zima, gwiezdne konstelacje. Wszystkie poruszają się po okręgu, podobnie jak my wędrujemy od urodzin poprzez młodość i starość do śmierci... Czy tego chcemy, czy nie. Zupełnie tak samo jak słowo cziris zostało wypaczone, by oznaczać dziś zwykłego sztukmistrza, tak i ludzie wypaczają cziję. Przerwiają koła i burzą równowagę.

- Jak? - spytał Errel.

- Zabijaniem. Wszczynianiem wojen. Pytaliście, co to za miejsce. To miejsce przywraca równowagę. - Wyszczerył zęby. - Przynajmniej mam taką nadzieję. Uczę szczególnego sposobu walki, w której przeciwnik nie ginie.

Errel kiwał głową, jakby ta przemowa trafiała mu do przekonania.

- Po co walczyć, skoro się nie wygrywa? - zdziwił się Ryke.

- Kto twierdzi, że się nie wygrywa? Sztuka w tym, aby wygrać, lecz nie zabić. - Oczy mu błyszczały. - Pozbawić życia to nic trudnego.

W przestronnej, półmrocznej izbie zapadła całkowita cisza. Kobiety i mężczyźni kiwali zgodnie głowami. Ryke dusił w sobie złość. Nie dało się tak prowadzić wojny, żeby nie zabijać! Tyle gadania o równowadze, a wszystko to puste słowa. Wyobrażał sobie minę Kola Istora, gdyby podszedł do niego i powiedział: Wracaj do domu, naruszyłeś cziję! Zaskakiwał jednak wyraz twarzy Errela. Książę był zafascynowany.

- Też krótki czas byłem czirisem - rzekł cicho. - Chętnie bym zobaczył, co robią wasi trefnisie.

- Pokażemy ci - powiedział Wan, wstając z ławy. Ruszył ku drzwiom, zabierając z sobą dziewczynę.

Nim dotarł do wyjścia, kilka razy się zatrzymał, aby zamienić parę zdań z przyjaciółmi. Ryke walczył z uczuciem wrogości wobec tego człowieka. Sorren i Norres wstały od stołu, żeby odnieść do okienka puste naczynia. Ryke przysunął się do Errela.

- Naprawdę zamierzasz zostać?

- Chwilę tu pobędziemy - odparł książę. - Ale ty nie chcesz, co?

- Chyba już jestem za stary, żeby się uczyć nowych sztuczek. Zawsze mi wpajano: Kiedy walczysz, zabijasz.

- Nie chcę, żebyś postępował wbrew sobie. Wyjedź, jeśli ci się tu nie podoba.

To wypowiedziane lekkim tonem przyzwolenie ukuło go do żywego.

- Przysięgałem ci służyć powiedział.

- Po prostu jestem ciekawy - rzekł Errel. Wsparł brodę na splecionych rękach. Zabandażowany palec odstawał od pozostałych. - A ty nie?

Kątem oka Ryke dostrzegł błysniecie. Nie wiedział, czy to była spadająca gwiazda, czy też świetlik przelatujący za oknem. Chwycił kant stołu.

- Nie!

## Rozdział 9

Kolacja dobiegła końca. Norres i Sorren wróciły od okienka. Errel wstał od stołu i wszyscy wyszli na dwór. Zimny wiatr harcował po wiosce, przenikając lekkie bawełniane ubranie Ryke'a. Rozcierał dłonie, stęskniony za wełnianym płaszczem. Koło nich przebiegła nagle z wigorem źrebięcia jakaś gibka postać: płomiennooka Amaranth. Niebawem znaleźli się w chacie o niebieskich okiennicach. Errel zapalił świece. Ryke znalazł drewno i rozpałił ogień w palenisku. W izbie rozszedł się zaraz zapach sosny. Kobiety weszły na poddasze.

- Dobranoc! - rzuciła z góry Sorren.

Ryke i Errel położyli się spać. Książę natychmiast zasnął, lecz Ryke długo nie mógł zmrużyć oka. Czuł nerwowe napięcie. Za kratką paleniska drwa przybierały kształty budynków. Powstała wieża z patyków. Rozmyślał, czy coś mu świadomie nie przypomina o Tornorze. Ukojony ciepłem i równym oddechem Errela patrzył, jak wieża rozspjuje się w nicłość.

W końcu i on zasnął. Raz obudził się w nocy. Ogień wygasł i w izbie zrobiło się chłodniej. Potem Ryke znowu zaczął śnić. Zwidziało mu się, że jest w jakimś pokoju. Znał go, jak to często bywa w snach, choć nie miał pojęcia, gdzie on się znajduje. Może gdzieś na zamku? W Tornorze? Wewnątrz panował zaduch, więc podszedł do okna, żeby rozchylić okiennice. Te się jednak zacięły. Napał na zamek. Ostatecznie otworzyło się jedno skrzydło. Za oknem wilczyśko mierzyło go wrogim spojrzeniem ciemnych oczu. Szczęrzyło zęby i wlaźło na parapet. Niezwykle ociężałym krokiem Ryke cofnął się w głąb pokoju, rozglądając się za jakimś nożem, toporem lub mieczem. Niczego nie znalazł, a

tyczasem wilk rósł. We śnie Ryke krzyknął: Pomocy! Obudził się, zdyszany, z głową przykrytą kocem. Nie dziwo- ta, że miał koszmar. Odgarnął wełnianą tkaninę z ust i nosa. Już wstał rano, na czerwone ściany padały pasy światła. Leżał w bezruchu, czekając, aż pot wyschnie na piersi. Obok niego spał Errel. W ciepłej czerwonej izbie czuł się, jakby odwiedziło go lato.

Posłyszał trzeszczenie desek. Norres i Sorren już się obudziły, chodziły po poddaszu. Ktoś zbiegł po schodkach i wyszedł na zewnątrz, skąd wnet doleciał plusk wody. Ryke'owi zaschło w ustach. Zsunął się z łóżka, uważając, aby nie obudzić księcia. Podniósł z podłogi koszulę i spodnie. Gdy już był ubrany, nalał do miednicy wody z dzbana i umył twarz. Wzór na stole przypominał ten wyszyty na jego koszuli: promieniste słońce. Opłukał usta i wypluł wodę.

Errel przekręcił się na drugi bok i stęknął.

- Dzień dobry - przywitał go Ryke.

Księżę usiadł na łóżku. Włosy strzelały mu na wszystkie strony. Ryke wyniósł miednicę z brudną wodą. Gdy otworzył drzwi, do środka wpadł lekki wiaterek. Wylał zawartość na dróżkę. Woda błyszczała w powietrzu jak oczy jego wyśnionego wilka. Wrócił z miednicą do chaty i napełnił ją przy łóżku czystą wodą. Zastanawiał się, czy dzisiejszy sen miał jakieś znaczenie.

- Ryke, nie musisz robić za mnie takich rzeczy - rzekł Errel. - Tutaj nie jestem księciem, pamiętasz? A ty nie jesteś bynajmniej moim sługą.

- Mnie to nie przeszkadza.

Jeśli jego sen coś znaczył, to Errel powinien o tym wiedzieć. Ale jeśli rzeczywiście to się działo w Tornorze, w takim razie wilkiem był Kol Istor. Dlatego Ryke postanowił nie zaprzętać tym głowy Errela.

- Wyspałeś się? - Księżę zanurzył twarz w miednicy.

- Tak. - Przypomniawszy sobie, że nie ma tu służby, Ryke wytrząpał przed chatą koce i powiesił je w słońcu na okiennicach. Sorren pomachała ręką zza domu; opróżniła nocnik na pagórku.

Niebo miało nieskazitelną, twardą czystość szlacheckiego kamienia. Errel ubrał się. W świetle dnia jego wysokie

buty wyglądały dość topornie. Norres zeszła z góry, uśmiechnięta. Nie zapięła koszuli pod szyją. Miękką tkaninę przyłgnęła do ciała. Sprawiała wrażenie szczęśliwej, jakby cofnęła się o kilka lat i strząsnęła troski z serca. Ryke w pewnej mierze zazdrościł jej tej radości. Pozdrowiła go uniesioną dłonią i wyszła na powietrze.

- Jesteś gotów? - zapytał Errel. - To idziemy.

W porannych promieniach słońca czerwone dachówki pięknie lśniły. Ludzie już wyszli na pola. Na wzgórku, w cieniu cedrów i jodeł, Ryke wypatrzył rozrzucone stadko kudłatych, łaciatych kóz. Przepychały się między drzewami, obskubując nisko rosnące gałęzie.

- Tam dziś moje miejsce - odezwała się Norres, podążając za jego spojrzeniem. Pocałowała lekko w usta Sorren. - Na razie, kochanie.

Sorren poprowadziła mężczyznę na pola. Jakaś kobieta krzyknęła na konia. Pola, gdzie rosły młode rośliny, w ochronie przed owadami obrosnięte były po brzegach rzędami nagietków.

- Jak dawno mieszkają tu ludzie? - zapytał Errel.

Sorren na chwilę zmarszczyła czoło.

- Od dziesięciu lat. Pamiętam, jak Maranth kiedyś powiedziała, że przybyła tu z Wanem, gdy ich córka miała cztery lata.

- Dziewczynka musiała czuć się tu samotnie - powiedział Errel.

- Nie bardziej niż w twierdzy. Wkrótce dotarli tu inni i teraz w dolinie jest więcej dzieci.

Ryke dziwił się niepomiernie, że górskich ścieżek na pobliskich zboczach nie pilnują strażnicy. Każdy mógł się tu zakraść. Pamiętał wszakże, co mówiła Norres. Trzeba by wiedzieć, jak tu dojechać. Na zachodnim widnokręgu nad skrajem urwiska wyleciał orzeł i zaczął szybować w głąb kotliny. Znowu Ryke miał wrażenie, że same góry strzegą tego ustronia.

Jakiś dźwięk zburzył jego myśli, taki dziwny łopot. Rozejrzał się w poszukiwaniu źródła hałasu.

- Słyszycie? - Uderzył się płaską dłonią w biodro, naśladując nieznanego mu odgłos.

-Tak.., - Errel spojrział na Sorren, która uśmiechała się od ucha do ucha.

Wskazała ręką wzgórze. Ryke zmrużył oczy, bo oślepiło go światło. Zrazu nie widział, co dokładnie mu pokazuje, aż wreszcie zobaczył budynek podobny do baszty, z kołem na wieżyczce. Koło obracało się. Zamiast szprych, miało swoiste skrzydła. To właśnie one łopotały.

- Wiatrak - wyjaśniła Sorren. - W Wanimie nie ma bystrych potoków, więc mąkę miele się w wiatrakach. Gdybyś jechał przez Galbareth, zobaczyłbyś całe ich rzędy na widnokręgu, gdzie machają do siebie niby kolumny olbrzymów.

- Wicher ich nie połamie? - zapytał Errel.

- Mógłby, ale ramiona da się jakoś zatrzymać.

- Nie zacinają się, gdy pada deszcz?

- Nie.

- No, no. - Przysłaniając oczy dłonią, Errel obserwował obracające się skrzydła. - Kiedyś przyjrę się im z bliska.

Szli polami. Ziemia parowała. Księżę zdjął bandaż z ręki. Złamany palec był teraz wykrzywiony.

- A to moje chwaściska - powiedział wesoło i wszedł w łan pszenicy. Roztrącał butami bladezielone źdźbła. Na pierwszy rzut oka przypominał zwykłego wieśniaka.

Sorren wskazała stok pagórka.

- Oho, widzę Simmele z widłami.

Ryke spojrział pod światło. Dwoje ludzi przekopywało ziemię. Jakieś pięć bruzd za nimi szedł chłop za parą koni ciągnących pług z kółkiem podporowym. Nazywał się Dorian. Przywitał się z Sorren, jakby byli serdecznymi przyjaciółmi. Ryke podszedł z nim do Simmeli i mężczyzny imieniem Lamath, który pracował z ostrym szpadlem.

Gdy słońce wspinało się na niebo, szli przed pługiem, wybierając z ziemi kamienie. Układali je w kupkach po lewej stronie - maleńkie, zgrabne kurhany między skibami. Lamath wyjaśnił, że kamienie specjalnie zostawiano na polach, aby zatrzymywały wodę podczas ulewy. Po nogach przebiegały im rozmaite owady. Blask słońca narastał, aż w



końcu Ryke'owi zdawało się, że brodzi w gęstym, namacalnym skwarze. Lamath i Simmela wprawnie wyrzucali na wierzch kamienie, które Dorian łapał i odkładał na bok, gdzie Ryke rzucał je na stosy. Nieco dalej Sorren przemasowała do koni. Plecy piekły Ryke'a, kiedy pochyłał się, wykręcał i prostował. Na rękach wyskoczyły mu pęcherze. Zaczął odstawać od reszty, ale wytrzymał siły, żeby ich dogonić.

Wreszcie Lamath nakazał odpoczynek. Simmela podeszła do pługa, skąd wróciła z bukłakiem pełnym wody. Podała go Ryke'owi.

- Pewnie umieras z pragnienia.

Woda tchnęła skórą, ale była wspaniała. Gdy pozostali pili, rozglądał się za miejscem, gdzie zaczęli pracę. Zdumiał się, jaki kawał przeszli. Zrobili już niemal ćwierć pola.

- Masz czerwony nos - powiedział Lamath, na co Ryke potarł się po twarzy. Skórę miał gorącą i wysuszoną.

- Daj na nią trochę ziemi - poradził południowiec.

Podczas następnej przerwy ciągnęli słomki, aby wylosować osobę, która pójdzie do refektarza i przyniesie posiłek. Kiedy wypadło na Dorianą, ten pobiegł rażno do wioski.

- Można powiedzieć, że wygrał - stwierdziła Simmela. - Umyje się i wypije dzban wody.

Dorian wrócił z koszykiem, z którego wyciągnął pełen bukłak, kromki chleba z miodem, ser, mięso, suszone owoce i torebkę małych słodkich borówek. Usiedli na gorącej ziemi, w kółku, ze skrzyżowanymi nogami, postawiwszy na środku koszyk. Simmela połała głowę wodą; wyglądała jak wydra, gdy włosy przylepiły jej się do twarzy.

- Cudownie... - Zmarszczki wokół jej oczu ułożyły się w wyrazie błogości. Granatowe źrenice miały ten sam odcień co borówki.

Około południa, kiedy spiekota odebrała im siły, skończyli pracę. Sorren zdjęła postronki z orczyka i zaprowadziła konie do cienia. Ich sierść błyszczała od potu. Lamath zarzucił sobie szpadel na ramię. Zeszli z zaoranych pól. Konie

pasące się na odłogu wyglądałyby jak posągi, gdyby raz po raz nie machały ogonami. Po rozpalonym niebie przeleciał jastrząb. Ramiona wiatraków obracały się ospale. Ryke'a piekły dłonie, bolały zeszywniałe plecy, a twarz i ramiona płonęły żywym ogniem. Bał się dotykać głowy, żeby się nie oparzyć.

Sorren zrównała się z nim krokiem. I ona miała spieczoną twarz.

- Jazda w siodle nie przygotowuje należycie do orki - powiedziała ponuro. - Wtedy pracują zupełnie inne mięśnie.

- Po południu znowu wrócimy do roboty? - Ryke próbował ukryć w głosie zmęczenie, co jednak nie całkiem mu się udało.

Jego pytanie dosłyszła Simmela.

- Nie. - Zachichotała. - Gdybyśmy dłużej pracowali, nie starczyłoby nam sił na majdan. Dziś szło nam dobrze. Jeszcze trzy takie dni i będzie można siać. W samą porę.

- W samą porę?

Odwrociła się do niego.

- Podczas pełni księżyca - wytłumaczyła formalnym tonem. - Obsiewamy pola w jego blasku.

Ryke przypomniał sobie zasłyszane niegdyś historie o zmarłych, którzy wstają z ziemi. Kiedyś nawet o tym mówił Jaret. Bajki - tak wyraził się stary kamerdyner. Są po to, żeby straszyć dzieci. Może i racja.

- Poświata księżyca wzmacnia ziarno i przyspiesza kiełkowanie - dodała Simmela. - To zwyczaj znany w całym Galbareth. Na północy tak się nie robi?

- Nie - odparł Ryke.

- Bardzo dziwne.

- Wcale nie znasz północy. To surowe ziemie, trudne do uprawy.

Zatrzymali się przy studni, gdzie ugasili pragnienie i zanurzyli twarze w wiadrze. Chłodna woda była ukojeniem dla ciała. Ryke pił tak długo, aż mu brzuch nabrzmiął. Zastanawiał się, czy Errel nadal odchwaszcza pole pszenicy.

- W Galbareth kobiety wyplatają słomiane kapelusze, którymi robotnicy chronią głowy w polu – odezwał się Dorian. - Słońce tu mniej dokucza, ale jest z nami kobieta pamiętająca jeszcze swe dawne rzemiosło. Może zgodzi się wypleść wam dwa kapelusze. Jeden dzień w słońcu nic dla mnie nie znaczy. - Wyciągnął smagłą, muskularną rękę. - Jasna skóra przypieka się łatwiej niż brązowa. - Patrzył na Sorren i Ryke'a.

- Jakoś wytrzymam - rzekł Ryke.

Sorren westchnęła.

- Dobra myśl. Nosiałam taki kapelusz siedem lat temu, gdy po raz pierwszy pomagałam przy żniwach w Galbareth. - Dotknęła ostrożnie czubka głowy. - Do jesiennych zbiorów moje biedne włosy całkiem wypłowiejają.

Ryke powiesił czerpak na kołku.

- Czy w tej dolinie pije się tylko wodę? - spytał.

Lamath uśmiechnął się wesoło.

- Ciężko się przyzwyczaić, co? Wan twierdzi, że sfermentowane napoje zaćmiewają zmysły. Po ośmiu latach już za nimi nie tęsknię.

- Nie wiedziałam, że mieszkasz tu tak długo - Sorren popatrzyła na Ryke'a. - Tyle samo czasu spędziłam z Norres na południu.

Lamath pokiwał z dumą głową.

- Wydaje się, że to kupa czasu, ale wcale tak nie jest. Chociaż na początku bywały dni, kiedy mógłbym zabić, żeby tylko poczuć smak wina.

Udali się do chaty o niebieskich okiennicach.

Lamath i Simmela szli przed nimi, trzymając się pod rękę, głowa przy głowie. Powietrze w izbie było duszne, nieruchome. Errel siedział na krześle. Nalał wody do glinianej miednicy i moczył stopy. Miał sparzoną twarz i żdzbla pszenicy wplątane w długie włosy. Zauważył spojrzenie Ryke'a i zaśmiał się lekko.

- Słońce na południu nie jest takie, do jakiego się przyzwyczailiśmy, prawda? Mogłaś nas ostrzec, Sorren.

- Mnie też nikt nie ostrzegał - odpowiedziała. - Trzy lata nie pracowałam w polu. Właściwie, to zapomniałam, jak to wygląda.

- W Galbareth stale panują upały - powiedział Errel Krzywiąc się, poruszył stopami w miednicy. - A wydaje nam się, że chłopi są słabi.

Sorren położyła się na podłodze.

- Chyba zostanę tu do obiadu - oznajmiła. - Na poddaszu będzie gorąco jak w piecu.

Ryke podał jej zdjętą z łóżka poduszkę.

- Dzięki. - Podłożyła ją sobie pod głowę.

Z tak bliskiej odległości widział każdy szczegół na jej gładkiej skórze, delikatnej mimo zaczerwienienia... nawet maleńkie zmarszczki w kącikach oczu, teraz podkreślone brudem.

- To nie Tornor, ale i tu nie jest aż tak źle, co? - zapytała z uśmiechem.

Wzruszył ramionami. Od razu ból przeszył górną partię pleców.

Gdy zjawiła się Norres, stanęła w progu z rękami na biodrach. Ryke odpoczywał na łóżku, Errel siedział na krześle, a Sorren leżała na wznak na podłodze.

- Co się z wami dzieje? - zapytała. Nosiła czarny pilśniowy kapelusz z szerokim rondem.

Sorren uniosła głowę.

- Czuć od ciebie kozami.

- I co w tym dziwnego? Wygląda tu jak po bitwie. Pochorowaliście się?

- Boli nas to i owo - odpowiedział Errel.

Norres przyglądała im się z drżącymi wargami.

- Jesteście cali czerwoni. Poczekajcie chwilę. - Wyszła z chaty.

- Ja się stąd nigdzie nie ruszam - zadeklarowała Sorren.

Norres wróciła z glinianym garnkiem. Przyklękła obok Sorren, włożyła palce do naczynia i po chwili wcierała jej w twarz i ręce białą maść.

- Cóż to takiego? - zapytała Sorren, podnosząc się do pozycji siedzącej. Wysmarowana maścią, wyglądała jak w masce.

- Napar z łopianu z pszczelim woskiem. - Po chwili Norres podeszła z garnkiem do Ryke'a. Jej ręce i ubranie przesiąknięte były wonią kóz.

Wygrzebał palcem odrobinę maści. Była chłodna i przyjemnie pachniała.

- Dobra na pęcherze i oparzenia - powiedziała Norres.

Errel naniósł na twarz białe pasy.

- Skąd ją masz?

- Wan trzyma w kredensie pełno takich specyfików. Po prostu ją wzięłam. - Popatrzyła posepnie na gołe stopy Errela. - Jutro, zanim wyjdiesz w pole, wsyp do butów trochę proszku z cykuty.

- Wolałbym już iść boso w pole.

- W takim razie idź boso. Na wieczór obłóż sobie stopy cykutą. Poproś o nią Wana. - Zabrała garnek. - Idę się wykapać - oświadczyła i wyszła.

Maść powoli ochładzała skórę na policzkach Ryke'a.

Słońce opadało ku góróm, a w izbie wydłużały się cienie.

- A więc Wan zna się na leczeniu równie dobrze, co na walce - rzekł Errel. - Zna stare języki, ich historię... Jak się nazywał, zanim przybrał imię Wana?

Sorren przyglądała się dłoniom.

- Nie wiem.

Nie wierzył jej. Na pewno wiedziała.

- Opuszcza czasem dolinę?

Sorren potrząsnęła głową na pytanie Errela.

- Chayatha powiedziała, że pochodzi z nadmorskiej Kendry i jest jego siostrą. Mógłby być uczniem z tego miasta - dodał.

- A jakie to ma znaczenie? - spytała.

- Żadne - odparł Errel. - Pytam z ciekawości.

Przy obiedzie Maranth wzięła na bok Sorren i Norres, mówiąc:

- A teraz opowiedcie mi wszystko, coście widziały w podróży.

Simmela i Lamath przystanęli, aby powitać Ryke'a. Kiedy nadeszli ludzie z kuchni i sprzątnęli ze stołu, obok Errela pojawiła się Amaranth. Miała czerwoną pelerynkę z wycięciami na ręce.

- Chodźcie na majdan - powiedziała.

- Po co? - zdziwił się Ryke.

Obróciła na niego swoje ciemne oczy.

- Mój ojciec chce, żebyście obejrzeni cziri.

- Co to...? Co ona powiedziała?

- Nie jestem pewien - odrzekł Errel. - Wiem tylko, że to ma coś wspólnego z czirisami. Chodźmy. - Wstał z ławy.

Ryke sięgnął jeszcze do koszyka po garść borówek i wyszedł z nimi na drogę. Podobnie jak wczoraj, dmuchał chłodny wiatr, lecz tym razem Ryke nie zapomniał zabrać płaszcza podróżnego. Na niebie błyszczał niepełny księżyc, jasny niczym srebrny talerz. Jakże wątła była ta wiosieczka, gdy spojrzano się na czarne kształty gór. Ryke zastanawiał się, ilu liczy mieszkańców. Zapytał o to Errela, choć nie oczekiwał odpowiedzi.

- Około setki - rzekł książę. - Jedni przyjeżdżają, drudzy wyjeżdżają.

Pewnie dowiedział się tego od Sorren.

Przyszli na majdan oświetlony blaskiem kagańców, zawieszonych na wysokich drągach. Wiatr rozsypywał iskry z płomyków. Ludzie ustawili się w półokręgu na uklepanej ziemi. W chybotliwym świetle trudno było odróżnić twarze.

Pomachała do nich kobieta w czerwonym jedwabnym ubraniu: Maranth. Podeszli bliżej. Jej jedwabna sukienka poruszała się z szelestem. Podobnie szumiały kłosa zboża.

- Pokażę wam, gdzie usiądziecie. - Zaprowadziła ich na sam środek półkola. Blask kagańców tworzył kolistą arenę. Na środku stało pięć osób, a wśród nich Wan. On też był ubrany na czerwono.

Jesteśmy tu w roli widowni, pomyślał Ryke. Co zobaczymy? Usiadł. Maranth dołączyła do piątki na arenie.

Wan tupnął nogą. Zaległa cisza. Tupnął znowu.

I jeszcze raz, do taktu. Widownia zaczęła cicho kłaskać, wczuwając się w rytm. Sześcioro aktorów spektaklu ustawiło się w kółku, twarzą do środka, z połączonymi rękami. Poruszali się zgodnym krokiem. Ryke dostrzegł uśmiech

Maranth i skupienie na obliczu Wana. Były jeszcze dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Tancerze puścili ręce partnerów i, przechyleni do tyłu, zawirowali, coraz szybciej i szybciej. Oddalali się od siebie. Utworzyli dwa łańcuchy i lawirowali między sobą, łącząc się i odrywając. Podzielili się w pary i obchodzili dookoła z rytmicznym przytupywaniem. Zataczali koła, odwracali się, podskakiwali, potrząsali włosami. Na czołach perlił się pot. Buty poruszały się chyżo, dłonie wyginały zwinnie, gdy tancerze wśród oklasków to zacieśniali koło, to znów odskakiwali tak prędko, że oko dostrzegało na nich jasne iskierki. Ponownie połączyli się w pary i zaczęli wirować, by naraz zatrzymać się gwałtownie z dwukrotnym przytupem. Ryke zdumiał się, że można tak raptownie zniechęcić w tańcu. Jedna z kobiet pochyliła głowę. Ręce jej drżały. Ryke zdał sobie sprawę, że sam spocił się pod futrzanym płaszczem. Było mu gorąco, jakby i on tańczył. Tancerze wyszli z koła, nagrodzeni rześką owacją.

Wan pochylił się nad gośćmi. Pot skapywał mu z włosów.

- To dopiero połowa - powiedział. Minał ich, aby u boku Maranth wysłuchiwać śmiechów, pochwał i dyskusji na temat tańca.

Sorren i Norres przystanąły przy Errelu.

- I jak ci się podobało? - zapytała z uniesieniem.

- Piękny pokaz.

Mógłby potrwać dłużej, pomyślał Ryke ze smutkiem. Piekły go oczy. Starł pot z twarzy. Nie wiedział, co to wszystko ma wspólnego z walką. Pokaz był piękny, lecz pusty, podobnie jak słowa, które Wan wypowiedział wczoraj przy kolacji. Równowaga w Tornorze została naruszona, owszem, lecz aby ją przywrócić, należało zabić Kola Istora i ustanowić Errela panem zamku.

- Ryke ma nietęgą minę - zauważyła Norres. - Chyba mu się nie podobało.

- Nie o to chodzi - powiedziała Sorren. Objęła swoją ukochaną. - Ryke jeszcze nie zrozumiał, do czego to potrzebne.

Od żerdzi do żerdzi przechodziły cienie, gaśły lampki. Pograżeni w rozmowach ludzie w świetle gwiazd opuszczali majdan. Jedni mówili o tańcu, drudzy o oraniu. Wszyscy mieli takie same ubrania. Pod jednym z drągów Ryke dostrzegł Amaranth. Sorren miała rację, pomyślał. Nie rozumiał, co tu się dzieje.

\*\*\*

Następnego dnia upał wcale nie zelżał.

Norres opuściła ich, zanim położyli się spać, aby wrócić z liśćmi cykuty i żelaznym rondelkiem, w którym chciała je parzyć. Sporządziła gęsty napar i zanurzyła w nim bawełniane rajtuzy. Potem rozcięła je w połowie i dała Errelowi do włożenia. Rano doskwierało mu już tylko kilka odparzeń na podeszwach stóp. Podziękował jej z ponurą miną.

Znowu harowali w słońcu. W południe, jak zeszłego dnia, przerwali pracę i zebrali się przy studni. Nawet Simmela uskarżała się na spiekotę. Z północy napłynęło parę obłoczków. Chwilę przyglądała im się z zadartą twarzą i przysłoniętymi oczami.

- Mamy szczęście - oświadczyła.

- Co oznaczają te chmury? - zapytał Ryke.

- Wróżą ochłodzenie. Na tym skwarze ziarno by się upiekło. Oby tylko nie przyszły deszcze. Jeśli się rozpada, ziarno zgnije.

- Przydałby się w Wanimie zaklinacz pogody.

Pokiwała głową.

- Ano, przydałby się.

Nie spodziewał się, że potraktuje poważnie jego uwagę. W wioskach ludzie żartowali do siebie: Oho, ty musisz być chyba zaklinaczem pogody. Nigdy jednak nie słyszał o kimś, kto naprawdę umiał kierować pogodą. Pogoda bywała kapryśna. Wpływanie na nią wymagałoby wielkiego talentu.

Czuł się dużo mniej zmęczony niż wczoraj. Po raz trzeci zaczerpnął wody, wypił połowę, a resztę wylał na twarz.



Sorren trąciła go w łokieć.

- Chodźmy na majdan.

Niby czemu miałyby odmówić? Minęli domek, gdzie na dachu siedzieli dwaj mężczyźni, jedząc borówki wśród stosów czerwonych dachówek. Pomachali rękami, a Sorren odpowiedziała im w podobny sposób.

- Dużo jest kobiet w dolinie? - zapytał Ryke.

- A czemu pytasz? - zdziwiła się.

- Tak sobie tylko myślałem.

W progu chaty Maranth wygrzewał się czarny kot. Odprowadził ich baczny spojrzeniem.

- Nie - powiedziała Sorren. - Musiałyby się dużo zmienić,, a z tego co widzę, zmienia się niewiele. Mało tu kobiet, bo one nie chcą nawet słuchać o dolinie, a jeśli nawet, to boją się trudów wędrówki. Dlatego nie chcą tu przyjeżdżać.

Ryke wydał usta. Przyznał słuszność Sorren. Dlaczego kobieta miałyby uczyć się walki, skoro nie musiała? Nie wypowiedział jednak na głos swoich myśli.

Na majdanie zebrało się trzydzieści osób. Na placu unosił się rozgrzany kurz. Niektórzy dzierżyli drewniane miecze. Nikt nie miał zbroi. Ćwiczyli w parach, okrążając się czujnie. Wykonywali uniki, wypady, parowali ciosy. Już na pierwszy rzut oka znać było, że są szybcy i zręczni. Większość posługiwała się krótkimi kijami, wygiętymi i zastruganymi na kształt noży. Ryke odruchowo wciągnął brzuch. Nienawidził walk na noże, mimo że dzięki dużemu zasięgowi ramion nie bał się przeciwników. Wan przechodził od pary do pary. W kącie majdanu, z dala od pozostałych, tańczyło sześć osób, dwie kobiety i czterech mężczyzn. W świetle dnia ich ruchy nie wydawały się już takie tajemnicze, lecz wymagały tyle samo wysiłku. Tańczyło się na bosaka, a walczyło w butach.

Sorren drżała z podniecenia.

- Dłużej już nie wytrzymam! - Przeskoczyła płotek, ominęła zajętych walką ludzi i stanęła przy Wanie. Uśmiechnęła się i skinęła głową.

Ryke wodził za nią wzrokiem, gdy szukała sobie drewnianego noża i kawałka szmatki do przewiązania włosów.

Jeden z dwójki walczących zgodził się na chwilę odpocząć. Zajął jego miejsce z gracją węża, trzymając się lekko na nogach jak kwiat na giętkiej łodydze. Walczyła z mężczyzną, który górował nad nią wzrostem i ciężarem ciała. Ona była jednak zwinniejsza. Dziabnęła go celnie, kiedy się tego najmniej spodziewał. Gdy zrobił wypad, przeciął tylko powietrze. Kilka razy jej ruchy wydawały się niepewne lub zbyt wolne; prawdopodobnie dlatego, że dawno nie ćwiczyła. Ryke cieszył się teraz, że nie przyszła mu nigdy ochota wyzwąć gian na pojedynek. Jeden na jeden może by i wygrał, ale jeśli Norres walczyła równie dobrze, to razem z pewnością by go zabiły. Bez noży, rzecz jasna, przewaga byłaby po jego stronie. Nie mając broni, którą mogłyby razić z bliskiej odległości, większy, silniejszy lub świeższy mężczyzna odniósłby zwycięstwo.

Sorren jakby usłyszała jego myśl, bo oto powiedziała coś do swego partnera i go opuściła, by po chwili wrócić już bez drewnianego noża. Ryke wyciągał szyję, żeby lepiej widzieć, lecz przeszkadzał mu tłum gapiów. Sorren krążyła wokół swego przeciwnika. Mężczyzna co rusz próbował zadać krótki cios, często dla zmylenia, lecz ona odwracała się równocześnie z jego ruchami, ustawiała bokiem, wyginając biodra w parodii figur tanecznych, zawsze tak, by utrudnić mu trafienie. Znienacka zamierzył się w jej brzuch. Odskoczyła i wykonała obrót. Przez moment wyglądało to, jakby chciała odwrócić się do niego plecami. Ryke nie bardzo widział, co się dalej dzieje, ale nagle miała w ręku nóż, a mężczyzna leżał plackiem na ziemi. Śmiejąc się, trąciła go delikatnie butem. Wstał. Miał brudny lewy policzek.

To jakieś oszustwo, pomyślał Ryke. Podrapał się po nosie. Wtem zauważył, że stoi przy nim Errel.

- Widziałeś? - zapytał.

- Sorren? Tak.

- Jak to zrobiła?

- Nie wiem.

- Sztuczka jakaś czy co? Gdyby walczyli na śmierć i życie, z pewnością by ją zranił.

- Nieprawda - wdał się w ich rozmowę Wan. Rosły mężczyzna podkradł się do Ryke'a kocim krokiem. Miał obnażoną pierś, a na niej gęstą kępę rudziejących włosów. Śmierdział potem, którym przesiąkły jego utyłane ziemią bryczesy. - To nie była sztuczka.

Posturą i sposobem mówienia przypominał Kola, lecz w jego zachowaniu było coś, co kojarzyło się z Athorem.

- Nie wierzę - obstawał przy swoim Ryke.

- Chcesz się przekonać? - Wan wyprostował długą rękę, dając znak jednej z walczących par, która natychmiast prze-rwała ćwiczenia. Podał Ryke'owi rękojęść swojego noża. - Masz!

Ryke spojrział na Errela, lecz oblicze księcia nie zdradzało żadnych uczuć. Przeskoczył barierkę. Serce biło mu mocniej. Musiał bardzo szybko zakończyć pojedynek. Zgiął nogi w kolanach. Ciemne oczy Wana ciskały płomień. Okrażali się wzajemnie. Ryke zaatakował brzuch i pierś przeciwnika, ustawiając się tak, aby ten walczył pod słońce. Ja też znam kilka sztuczek, pomyślał. Nagle roześmiał się dla odwrócenia uwagi, by w połowie śmiechu zadać cios. Poprowadził dolnym łukiem sztych drewnianego ostrza.

Wan nie tylko mu umknął, ale też chwycił go za ramiona i rzucił na ziemię. Ryke wylądował boleśnie na plecach, aż mu zadzwoniło w uszach. Nóż wysliznął mu się z ręki i wpadł pod nogi gapiów. Ktoś go podniósł. Ryke wstał, zły i zmieszany. Chciał zgnieść Wana w niedźwiedzim uścisku, lecz ten wywinął mu się i pacnął go ręką w twarz. Ten cios rozwścieczył Ryke'a. Rąbnął przeciwnika pięścią, lecz trafił w muskuły twarde jak decha. Wan warknął i jedną ręką wykręcił mu szyję. Ryke znowu upadł na plecy. Wstał i został obalony. I jeszcze raz to samo. Dźwigał się na łokciach, lecz mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa, a oczy - zamglily się. Nie mógł złapać oddechu. Ludzie wkoło szeptali. Ich ciemne sylwetki pięły się wysoko w jasne niebo.

Pojawił się przy nim Errel.

- Chodź! - Chwycił Ryke'a za rękę i pomógł mu się podnieść.

Ryke stanął na chwiejnych nogach, wsparty na ramieniu księcia. Lewa stopa bolała go w kostce, ale chyba nie była złamana. Huczało mu w głowie.

Errel wyprowadził go z majdanu.

Poznał kolor i zapach domku z niebieskimi okiennicami. Gdy usiadł na krześle, dotknęły go czyjeś chłodne dłonie.

- Poruszaj lewą stopą - odezwała się Sorren. Nie widział jej, ale zastosował się do polecenia. Obmacała jego żebra.

- Boli cię gdzieś tutaj?

- Nie.

- To dobrze. Chyba nic nie złamałeś.

Drażnił go posmak metalu w ustach. Syknął, kiedy przyłożyła mu rękę do głowy. Bolała go szyja. Obok odbywała się szeptana dyskusja.

- Chcesz się napić?

- Tak.

Errel przyniósł mu wody. Przełknął co nieco dość niezgrabnie, byle nie zmieniać położenia głowy. Ktoś otworzył i zamknął drzwi. Errel zabrał kubek. Ryke stęknął, gdy dotknęły go palce nieznanej osoby.

- Do licha...!

- Siedź cicho! - usłyszał głęboki głos osobnika, który badał jego szyję. - A teraz obejrżę głowę.

Ryke próbował rozluźnić mięśnie szyi. Ktoś bardzo delikatnie obrócił jego głowę, najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Niespodziewanie, błyskawicznym ruchem, przegiął ją w lewo. Ryke krzyknął, łzy naszły mu do oczu. Usłyszał chrupnięcie, po którym ból zelżał. Ten, co go leczył, nareszcie od niego odstał. Okazał się nim Wan, który stanął przed nim i zapytał:

- Chcesz się nauczyć, jak właściwie upadać?

- Chrzań się!

- W porządku. - Odsunął się bezszelestnie.

Ryke nabrał powietrza w płuca i zawołał za nim:

- Zaczekaj!

Wan wrócił. Miał rude włosy na rękach. Jego przeguby były niesamowite: oplecione mięśniami, grube niczym pale ogrodzenia.

- Chciałbym nauczyć się właściwie upadać – rzekł Ryke.

Wan uśmiechnął się.

- Świetnie. Nie wychodź jutro w pole. Zaczniemy cię szkolić na majdanie. - Zachowywał się jak dowódca wydający rozkazy. - Rano będziesz się czuł, jakby koń cię stratował. Mimo to postaraj się przyjść. I nie jedz za dużo. Jeśli nie stawisz się do południa, sam po ciebie przyjdę.

- Chrzań się! - powtórzył Ryke.

- Lepiej tak do mnie nie mów za progiem tego domu - powiedział Wan lekkim tonem i wyszedł.

Ryke zamknął oczy. Otworzył je dopiero na odgłos pocieranego krzemienia. Przy palenisku klęczała Sorren, obok niej leżał stos szmat.

- Co tam robisz? - spytał.

- Rozpalam ogień, żeby zagrać wody - odpowiedziała, nie odwracając się. - Nałożę ci gorący okład na szyję.

Ryke wolno obrócił głowę. Nadał go bolała, ale już nie tak silnie. Sorren odeszła od ognia. Płomień był jeszcze mizernutki, ledwie lizały dno garnka. Sorren stanęła w blasku słońca. To twoja wina, cisnęło mu się na usta.

- Tam, skąd pochodzę - powiedział ze złością - kto upada, ten ginie.

Wargi jej zadrżały.

- Też stamtąd pochodzę, zapomniałeś?

- W wojsku tak się nie walczy.

- A po co komu wojsko? - zapytała.

Nie widział sensu w tym pytaniu. Potrząsnął głową i krzyknął z bólu.

- Niczego nie rozumiem. - Miał na myśli zarówno ją, jak i Wana.

Pochyliła się nad kociołkiem. Po chwili wyciągnęła zeń szmatkę i obłożyła nią jego kark. Woda pociekła mu ciurkiem za koszulę. Ciepło kołło dolegliwości.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

Wciąż bolały go plecy w miejscu, gdzie zetknęły się z twardą ziemią na majdanie. Pamiętał, jak Wan ścisnął jego szyję. Zastanawiał się, jak by się to potoczyło, gdyby miał miecz. Przypuszczalnie koniec byłby taki sam. Sorren ściągnęła szmatkę i zabrała ją nad ogień. Ryke obserwował jej ruchy - zwinne niczym u nastoletniej Amaranth.

- Jestem za stary, żeby się uczyć nowych sztuczek - burknął.

To wydało jej się zabawne, wybuchła śmiechem.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia siedem.

- Jeszcze wiele się nauczysz - powiedziała węzłowato. Zanurzyła szmatkę we wrzątku, a potem ją wyjęła.

- Czemu mi pomagasz? - spytał.

- A czemu by nie? - Znów stanęła za nim. Delikatnie rozłożyła mu okład na ramionach.

## Rozdział 10

I rzeczywiście: rankiem Ryke czuł się taki obolały, jakby wpadł pod końskie kopyta.

Na podstrzeszu gruchały gołębie. Bardzo przyjemnie leniuchowało się w łóżku. Obok niego leżał Errel z odwróconą głową, ciągle pogrążony we śnie. Mimo rozlicznych blizn jego plecy były blade i gładkie jak kora buka. Ryke przesunął łokieć między łopatkami księcia. Errel westchnął przez sen, ale się nie obudził.

Na stryszku rozległy się kroki Sorren i Norres, które po chwili zeszyły na dół. Errel odwrócił się, przeciagnął w ramionach, usiadł i strząsnął włosy z twarzy.

- Jak się czujesz? - zapytał Ryke'a.

- Jako tako.

Errel wstał i podszedł do miednicy.

Ryke zdjął koc. Mięśnie pracowały opornie, bolała go lewa stopa. Zmusił się, aby na niej stanąć.

Sorren wyjrzała zza drewnianego przepierzenia, uśmiechnęła się i cofnęła głowę.

- Dajcie mi znać, jak się ubierzecie! - zawołała.

Ryke wziął do ręki swe ubranie. Koszula i bryczesy, które miał wczoraj na sobie, były sztywne od brudu.

- Poczekaj! - Errel w samych spodniach wyszedł za przegrodę. Z hałasem odrygłował wieko skrzyni.

Ryke zasłonił się kocem, gdy Sorren rozsunała przepierzenie. Wyciągnęła rękę po ubrudzone spodnie i koszulę z wyszytym wizerunkiem słońca.

- Co robisz? - zdziwił się Ryke. - To moje.

Położyła ręce na biodrach.

- Ktoś to musi uprać. Pójdę do balii, kiedy będziesz ćwiczył na majdanie. - Wymknęła się z izby.

Errel rzucił na łóżko świeżą parę spodni i koszulę.

Ryke odprowadził Sorren pochmurnym wzrokiem.

- Zachowujesz się jak zamkowa praczka! - zawołał za nią.

Zniknęła mu z oczu, dosłyszał jednak jej śmiech. Odłożył koc. Nikt mu nie musiał przypominać, że miał się stawić na majdanie. Szybko się ubrał.

Errel przymierzał na krzesła miękkie buty, które od kogoś pożyczył. Ryke wytrzeptał pościel i rozwiesił ją za oknem. Skóra na twarzy i rękach księcia wyraźnie zbrązowiła. Gdyby nie włosy, pomyślał Ryke, wyglądałby jak wykapany południowiec.

Sorren człapała drogą z wielkim naręczem bielizny do prania. Krzyknęła przez ramię coś na pożegnanie. Ryke spoglądał przez okno na krajobraz brązów i zieleni. Powietrze było suche, a kolory czyste i nasycone, jakby ktoś niedawno pomalował pagórki. Zupełnie inny widok niż na północy. Ryke przymknął oczy. Zażył sobie w duchu, aby góry zniknęły. Kiedy jednak odemknął powieki, one wciąż tkwiły na swoich miejscach, skąpane w słońcu. Zżerała go tęsknota za delikatnym błyskiem zielonych listków na szarym kamieniu, oznaczającym w Tornorze nadejście wiosny.

Odwracając się od okna, zgañił się cicho za niemądre myśli.

Errel zasznurował buty, tupnął nogą i wstał z krzesła.

- Od razu lepiej. - Wygarnąwszy włosy z kołnierza, pożegnał się gestem ręki.

Ryke patrzył, jak odchodzi, rozmyślając o wilku, którego widział we śnie. Może powinienem mu o nim opowiedzieć? Omiótł obie izby słomianą miotłą, znaną przy kominku. Pomny na zalecenia Wana, zjadł lekkie śniadanie. Słońce rzucało czerwone smugi na chropowate deski podłogi.

Udał się na majdan. Gdy rozglądał się za Wanem, podeszła do niego Maranth. Włosy spięta w gruby warkocz i zdjęła bransoletki. Musiała zadzierać głowę, aby patrzeć mu prosto w oczy.



- Nauczę cię bezpiecznie padać - powiedziała. - Patrz na mnie.

Przewróciła się do tyłu, zwinęła ciało i powstała, a wszystko w jednym płynnym ruchu.

- Zrozumiałeś? - zapytała.

- Nie.

Jeszcze raz mu pokazała.

- Musisz podwinąć jedną nogę i przysiąść.

Zachwiał się, nim usiadł.

- Teraz możesz się podeprzeć. Wesprzyj się na tym ramieniu.

Nie potrafił jednak przełożyć nóg nad głowę.

- Mocniej się wybij.

Wybił się, przekoziołkował i wylądował na ziemi ze skrzyżowanymi nogami.

- Już lepiej - stwierdziła Maranth.

Powtórzył ćwiczenie.

- To równie proste jak nauka chodzenia, każde dziecko dałoby sobie z tym radę.

Spróbował po raz trzeci. Pokazała mu, jak odchylić w bok głowę, aby się w nią nie uderzyć. W końcu wykonał ćwiczenie dość nieporadnie, ale jednak bez błędów. Klasnęła w dłonie.

- Dobrze! Wreszcie ci się udało.

Cierpliwie nadzorowała ćwiczenia. Kiedy nauczył się robić przewrót w tył i podnosić do pozycji kłęczącej lub stojącej, nauczyła go tak padać do przodu, żeby nie zrobił sobie krzywdy. Kurz wypełnił mu brodę, przez co swędziało go skóra. Teraz już wiedział, czemu większość mężczyzn w Waninie goli się codziennie.

- Jeszcze raz - nakazała.

Cofnął się myślami do okresu dzieciństwa. Uczył się wtedy uderzać, odskakiwać, parować, uderzać i tak w kółko, starym drewnianym mieczem, aż pękały mu płuca i bolała go głowa od razów, jakie oberwał wskutek błędów. Tamte chwile wróciły.

Zjawił się Wan, aby przyjrzeć się jego postępom. Ryke przetoczył się po ziemi z zaciśniętymi zębami i poczekał na

to co usłyszy. Jedno wzgardliwe słowo, pomyślał, a rozwałę mu łeb. Znajdę sposób.

- Zobacz. - Wan wyciągnął ramię, wyginając je na kształt łuku. Łokieć poszedł do góry, kciuk wskazywał ziemię. - Spróbuj tak zginać rękę. To pomaga w utrzymaniu równowagi. - Nie patrzył już, czy Ryke go usłuchał, ale oddalił się na drugą stronę majdanu, gdzie dwaj mężczyźni walczyli drewnianymi nożami.

Ryke spróbował wygiąć rękę. Faktycznie, pomagało.

Maranth przyniosła drewniany nóż.

- Teraz się trochę zabawimy - oznajmiła.

Oddała mu broń. Rękojeść była ciepła, wygładzona od potu i częstego używania. Stała twarzą do niego i kazała mu zaatakować, co też uczynił, chcąc zadać lekki cios w pierś.

- Nie tak! - zrugła go z irytacją, - Zaatakuj z całej siły.

Wzruszywszy ramionami, zrobił kilka zwodów, a następnie uderzył nożem.

Ona tymczasem złapała go za przegub i szarpnęła do przodu, podcinając mu nogi. Grzmotnął jak długi na ziemię. Podniósł się wolno ze złością. Przynajmniej utrzymał nóż w dłoni.

- Czemu nie wykonałeś przewrotu? - zapytała. - Powtórzymy.

Przygotowany na upadek, ponownie zaatakował, lecz tym razem uderzyła go w twarz. Krzyknął, przewrócił się do tyłu, by nieudolnie, acz bezbłędnie stanąć na równych nogach. Bolał go nos i łupało mu w skroniach.

- O wiele lepiej - oceniła chłodno. Sposobem zachowania przypominała Ryke'owi Jareta. - Powtórzymy.

Zaatakował, a ona go obaliła. Ponawiała ćwiczenia, aż ledwie trzymał się na nogach. Zapomniał, że ma do czynienia z kobietą, niższą od niego i słabszą. Była tylko głosem albo tylko pięścią uderzającą w blasku słońca. W południe, kiedy cienie na majdanieomalże poznikały, pozwoliła mu odejść.

Na drugim końcu placu kręciło się w kółku sześcioro tancerzy.

W domku z niebieskimi okiennicami Ryke zrzucił z siebie ubranie i leżał w poprzek łóżka. Gdy się przebudził, poczuł na nagich plecach ciepłą wełnianą tkaninę. Ktoś przykrył go kocem.

\*\*\*

Po raz drugi obudził się, kiedy Errel delikatnie szarpał go za ramię.

- Co jest?

Książę miał mokre włosy po kąpieli. Zachodzące słońce rozścieliło na podłodze wąskie, czerwone pasma.

- Nie chcesz kolacji?

Ryke zwłóknął się z łóżka. Mięśnie mu zdrętwiały. Obok na podłodze leżało jego ubranie z wizerunkiem słońca; było czyste i pachniało mydłem z łożu i popiołu. Włożył je niezwłocznie.

W refektarzu minął kobietę z warkoczami. Dźwigała dziecko na plecach w parcianym nosidełku. Pulchny jak kapłon dzieciaczek huśtał rękami i nogami.

- Dobry wieczór - przywitała się.

Ryke przyniósł z okienka tacę z jedzeniem. Kończyli z Errelem posiłek, kiedy to Wan przysiadł się do nich, zostawwszy przy stole Maranth. Miał na sobie czarno-czerwone ubranie, a włosy upiął z tyłu srebrną klamrą w kształcie cwałującego konia.

Ryke sprężył się w sobie, gdy południowiec położył rękę na stole.

- Bołą kości? - zapytał. Blask lampki oliwnej kładł mu się na twarzy niczym złota maska. Uśmiechnął się do Ryke'a.

- Trochę.

- Przyjdiesz jutro na majdan?

Ryke zerknął na Errela, lecz książę tylko przysłuchiwał się ze złączonymi rękami. Środkowy palec prawej dłoni jak zwykle odstawał.

- A powinienem?

- Maranth nauczyła cię padać - rzekł Wan. – Ode mnie nauczysz się walczyć.

Ryke wyczuł w tych słowach wyzwanie. Ściągnął brwi i wlepił wzrok w Wana. Niezwykle trudno było wytrzymać spojrzenie tych wyrazistych, świdrujących oczu.

- Przyjdę.

- Cieszę się. - Przesunął spojrzenie na Errela. - Chciałeś zobaczyć, co u nas robią czirisowie.

- Zgadza się - odparł ksiązę. Nawet jeśli z trudem wytrzymywał wzrok Wana, nie okazywał tego. - Zaspokoilem swoją ciekawość.

- Zgłoś się do mnie, jeśli zechcesz nauczyć się więcej. - Wan uniósł dłoń i wrócił na swoje miejsce zwinnym, kocim krokiem.

Ryke zastanawiał się, czego też, zdaniem Wana, ksiązę mógł chcieć się nauczyć.

- O co mu chodzi? - zapytał.

- Wan ma nadzieję, że zachowam się jak większość ludzi, którzy przybywają do doliny: zerwę z dawnym życiem i nauczę się postępować jak czirisowie.

- Chyba nie wydaje mu się, że i ja nim zostanę? - spytał zimno Ryke.

Errel parsknął śmiechem.

- Wątpię - odparł, rozbawiony. - Wan nie jest ślepy.

Ryke pokiwał głową. Wan wiedział, że w jego żyłach płynie północna krew. A ludzie z północy nie zmieniali swych zapatrywań; musi zdawać sobie z tego sprawę. Ciekawiło go, czego Wan dowiedział się o nim i o księciu. Sorren lub Norres mogła mu wyjawić, kim są i dlaczego tułają się jak wygnańcy.

Kilka stołów dalej ktoś zaczął śpiewać czystym tenorem:

- Bom przybył tu ze stron dalekich, w gwiazdach i w zgórzach druhów mam. W każdym miejscu zwą mnie wyrzutkiem i wszystko, co robię, robię sam.

Melodia wypełniła pełną cieni salę. Słowa trąciły czułą strunę w sercu Ryke'a. Odwrócił się do Errela.

- Książę... - Zawahał się, Errel bowiem wcale na niego nie patrzył. Siedział na ławie z głową zwieszoną na piersi, jakby zamienił się w głaz.

Śpiewano już nową piosenkę.

- Chodźmy stąd, książę.

Wrócili do chaty. Księżyc płynął nad górami; brakowało już tylko rąbka do pełni. Errel ściągnął ubranie. Rysy mu stężały w zadumie. Ryke zastanawiał się, czy książę wspomina Tornor.

- Ryke, powiedziałaś tu komuś, kim jesteśmy i skąd przybywamy? Wyjawiłeś moje imię lub tytuł?

- Nie. - Nikt go o to nie pytał oprócz dziewczynki tamtego pierwszego wieczoru.

- To dobrze. - Przeczesał włosy dwiema rękami.

Zakołatała okiennica.

Ryke podszedł do okna, aby je domknąć.

- Od razu widać, że pochodzimy z północy.

- To prawda. - Errel wszedł do łóżka. - Tylko że to niktogo nie obchodzi, zauważyłeś? Mieszkający tu ludzie porzucili dawne imiona. - Zgiętą dłonią osłonił płomyk świecy, który chwiał się na wszystkie strony. Rękę obrysowała świetlista otoczka. - Tak samo jak porzucili rodziny, przyjaciół, dom rodzinny, aby spełnić pewne marzenie, wizję niebędącą ich dziełem... - Przerwał. - Będziesz tak stał przy tym oknie do rana?

Ryke położył się z obawą w sercu. Wolałby, żeby Errel nie wspominał o żadnych przywidzeniach. Bał się znowu śnić o wilku. Zapadł w drzemkę. Gdy się ocknął, poświata księżycza wędrowała po podłodze niczym świetlisty jęzor. Ostatecznie, ogrzany ciepłem pleców księcia, zasnął twardego snem.

\*\*\*

Rano po przebudzeniu stwierdził, że jest sam. Nie zauważył, kiedy Errel wstał, ubrał się i wyszedł cichcem z czerwonej izby.

Zajął się przyziemnymi czynnościami. Niosąc dzban do studni i wracając z nim do chaty, zastanawiał się, czy książę

wyszedł na długo. Udał się do refektarza. Errela, rzecz jasna, tam nie zastał. Prawdopodobnie pracował już na polu pszenicy. Amaranth huśtała się wokół filara. Zamierzał już spytać ją, czy widziała księcia - hasała jak wiatr po wzgórzach i wszystko obserwowwała, musiała więc chyba wiedzieć, kto gdzie jest - gdy wtem wybiegła na dwór. Usłyszał, jak woła: Diktaaa! Poszedł na majdan. Na rozległym zakurczonym placu nie dostrzegł Maranth. W wolnym kącie poćwiczył przewroty, których go nauczyła; zerkając kątem oka na innych ćwiczących, uważał, aby zawsze układać rękę prawidłowo. Z wolna nabierał wprawy. Nieopodał dwóch brzdąców, milczących jak szczenięta, tarzało się na ziemi, próbując naśladować walkę dorosłych. Ryke przewracał się w przód i w tył, aż zakręciło mu się w głowie. Wstając po jednym z ćwiczeń, zobaczył Wana. Osilek trzymał drewniany nóż.

Podrzucił go w powietrze, zręcznie złapał i wymierzył sptych w Ryke'a.

- Ha!!!

Zaatakował błyskawicznie. Bezbronny, Ryke kucnął, próbując zwinnością nadrabiać braki w wyszkoleniu. Wiedział, że ma mizerne szanse na zwycięstwo. Znów czuł się jak piętnastolatek na majdanie w Tornorze. Wspominał słowa dorosłych: Poznasz po stopach, co zrobią ręce. Poznasz po oczach, co myśli głowa. Usiłował sobie przypomnieć, jak bronił się Wan, kiedy to on walczył nożem. Nic jednak nie pamiętał.

Gdy Wan zadał mu cios dosyć wolnym ruchem, odsunął się na bok i zablokował przedramieniem rękę przeciwnika, zbijając ją w dół. Wan w mgnieniu oka znalazł się za nim. Ryke odwrócił się, by zobaczyć, jak nóż przechodzi z ręki do ręki i skacze mu do gardła. Uskoczył do tyłu z uniesionymi rękami, chcąc złapać broń. To była tylko zmyłka. Ryke spostrzegł poniewczasie, że Wan opuszcza dłoń. Czubek noża przeorał jego bok.

I po walce. Gdyby nóż był z żelaza, Ryke zginąłby niechybnie.

- Podejdz no tu, Hadril! - rzekł Wan do mężczyzny, który posłusznie przeszedł nad płotkiem i stanął na placu. Dał mu nóż. - Zaatakuj mnie! - rozkazał.

Młodzieniec, który wyglądał najwyżej na siedemnaście lat, wykonał polecenie, poruszając się lekkim, tanecznym krokiem. Zrobił jeden udawany wypad, a następnie zamierzył się do ciosu.

Wan zbliżył się do niego od strony noża, chwycił prawą dłońią nadgarstek uzbrojonej ręki, a lewą - szyję Hadrila, aby cofnąć się z półbrotem i przewrócić go na ziemię. Hadril przetoczył się i powstał z nożem.

- Przyjrzałeś się?

- Niezupełnie - odparł Ryke.

- Jeszcze raz, ale wolniej - powiedział Wan.

Hadril powtórzył wypad powoli, jakby ruszał się we śnie. Wan liczył poszczególne pozycje dla łatwiejszego ich zapamiętania. Na koniec dał znak młodzieńcowi, aby zaatakował Ryke'a. Hadril uśmiechnął się szeroko. W ostatniej fazie wypadu Wan powstrzymał napastnika, który stanął jak skamieniały. Kazał Ryke'owi go obejść, licząc:

- Raz: uskok w bok. Dwa: zbiecie w dół ręki z nożem. Trzy: chwyt za włosy. Cztery: obie ręce w dół i obrót.

Kiedy Ryke znał już na pamięć wszystkie kroki, Wan kazał Hadrilowi zaatakować go wolno.

Ryke przeszedł do obrony. Młodzieniec upadł, nóż wyleciał mu z ręki. Wstając, roztarł obolałą szyję. Jeden z chłopców pognał za nożem.

- Nie tak ostro - napomniał Ryke'a Wan. - Mógłby sobie kark skrećić, gdyby nie umiał padać.

- Przepraszam.

- Powtarzaj ćwiczenie, aż będziesz umiał wykonać je bez namysłu - pouczył go Wan.

Hadril przyjął z uśmiechem nóż z ręki czekającego chłopca. Wan przeszedł do innej części majdanu.

Ćwiczyli i ćwiczyli, aż promienie południowego słońca zgoniły ich z placu. Kiedy Ryke zapominał się, Hadril głośno liczył kroki, mimowolnie zniżając głos do basu Wana.

Gdy ten ostatni wrócił, wziął nóż od Hadrila i zaatakował Ryke'a powolnym ruchem, aby ten mógł go przewrócić.

- Dobrze - powiedział, zwracając nóż Hadrilowi. - Idźcie odpocząć.

Ryke postanowił umyć się przy studni. Napotkał tam Sorren.

- Ćwiczyłeś - stwierdziła z uśmiechem. Niosła na ramieniu brązowy worek. Pachniał jęczmieniem.

- Skończyłaś prać?

Szturchnęła go lekko w rękę.

- Pewnie. Masz mnie za lenia, który guzdrałby się dwa dni z takim praniem? Wybieram się na grzyby. - Pomachała pustym workiem. - Tam, na przełęcz. Idziesz ze mną?

Zawahał się. Chciał odszukać Errela. Co nie miało sensu i było w zasadzie dość głupie. Gdyby księżę go potrzebował, dałby mu to wyraźnie do zrozumienia. Nie może biegać za Errelem jak zagubione dziecko.

- Niech będzie.

- To weźmy jeszcze jeden worek. - Poszli do składu. Obszerne białe komory pełne były zapasów drewna, skór, futer, sukna. W jednej z nich ostały się resztki żywności przechowywanej na zimę: mąka, pomarszczone strąki fasoli, ziemniaki suche jak patyki. Ryke zapytał, jak tu wygląda zima. Uniósł wieko skrzyni. Była pusta, śmierdziała solonymi rybami.

- Nie jest tak ciężka jak w Tornorze - odparła Sorren. - Pada mniej śniegu. W lasach jest zatrzęsienie zwierzyny.

Minęli pola i wspięli się do lasu stromym zboczem. Wśród wiecznie zielonych drzew spotykało się tu często olchy i białe brzozy. Rosły rzędami, jakby ktoś je posadził według planu. Pod gałązkami wisały zielone szyszeczki podobne do małych kwaśnych jabłek. Ziemia ugiwała się pod stopami, obsypana grubą warstwą igliwia.

Sorren wskazała grupę grzybów o biało-różowych kapeluszach, wyrastających z ciemnego pnia drzewa.



- Te są jadalne - wyjaśniła. - Nie zbieraj zielonych ani białych, jeśli nie chcesz się zatruć.

Ryke chwycił miękkie nóżki i wyciągał je nieco bojaźliwie z kory. Drzewa rosły prosto jak miecze. Z wielkiej jodły śledził jego ruchy hufiec wiewiórek z puszystymi ogonami. Sorren odeszła w inne miejsce. Jej palce zatańczyły na korze kolejnego drzewa. Była od niego dużo szybsza.

Przyłapał się na tym, że ukradkiem jej się przygląda. Snop światła padł z boku na jej policzki, ozłacając włosy. Blizna pod lewym okiem była ciemniejsza od opalonej skóry. Sorren przypominała Errela. Nigdy dotąd nie zauważył tego podobieństwa. Gdy odwróciła do niego głowę, zajął się czym prędzej szukaniem grzybów. W rozwidleniu konarów zaszczebiotała prześmiewczo wiewiórka.

Miał wrażenie, że w tej kobiecie siedzi mężczyzna. Cóż, może i tak było. Z jakiegoś powodu różniła się od wszystkich znanych mu kobiet. Pomyślał o Norres, Maranth, Becke. Wspomniał też matkę. A skoro w kobiecie mógł tkwić mężczyzna, to czy w mężczyznach nie tkwiły czasem kobiety?

- Ryke!

Odwrócił się.

Sorren szczyrzyła do niego zęby. Podniosła napełniony w ćwierci worek.

- Ty guzdrało! - Jej śmiech był lekki i bezosobowy jak szmer strumyka.

Wiewiórka znów się odezwała. Ryke sięgnął po następnego grzyba.

Wieczorem przy jedzeniu Errel był milczący i zaszępiiony. Ryke przyglądać mu się skrycie. Często jednak, gdy kierował ku niemu wzrok, książę patrzył na niego spojrzeniem pozbawionym i ciepła, i gniewu, jakby Ryke był dlań krzesłem albo drzewem. Ciarki chodziły mu po plecach jak w poświacie księżycy.

Książę osłonił powiekami swe zimne oczy. Kiedy po chwili je otworzył, patrzył już na Sorren.

- Jakieś kłopoty? - zapytał go Ryke.

- Nie. Mam tylko parę spraw do przemyślenia.

Wrócili do chaty. Dolina zasypiała już w sinym zmierzchu; domy z czerwonymi dachami i pola uprawne ułożone były równo jak na obrazku.

Errel zamknął okiennice. Ryke przyklęknął z krzemieniem w rękę, aby rozpałić ogień. Wtedy otworzyły się drzwi.

- Tutaj są! - powiedziała Sorren. Weszła do środka. - Widziałyśmy, jak wychodzicie. Czemu tak wcześniej wy-mknęliście się z refektarza?

- A na co mieliśmy czekać? - zdziwił się Errel.

Sorren pchnęła okiennicę. Do izby wlało się światło, osrebrzając mosiężne szczytce przy kominku.

- Księżyc wzeszedł. Czas siać.

Krzemień znieruchomiał w rękę Ryke'a. Nigdzie już nie chciał wychodzić. Głowę miał pełną opowieści o duchach. Popatrzył na Errela. Rysy księcia były ściągnięte, jakby już wiedział, czyj duch na niego czeka.

- Ściągajcie je! - odezwała się Norres

Ryke aż podskoczył. Stała za Sorren. Nie słyszał, kiedy przekroczyła próg.

- Co?

- Buty, a cóżby innego?

- To południowy zwyczaj - zaproponował Errel. - Musimy w nim uczestniczyć?

- Tak - powiedziała Sorren. - Każdy mieszkaniec Wanimy wychodzi siać zboże.

Księżę zabrał się do ściągania butów, Ryke odłożył więc krzemień i sięgnął do sznurowadeł. Palce miał sztywne i niezgrabne. W końcu uporał się z butami.

Wyszedł boso na drogę. Przed nim szła Sorren, za nim Errel. Ziemia była chłodna. Nad ostrymi wierzchołkami gór płońął księżyc w pełni. W dolinie migotały niezliczone światła; wszędzie panowała wzmożona krzątanina. Przed dużym budynkiem obok refektarza, będącym głównym spichlerzem wioski, zebrał się pokaźny tłum ludzi. Gdy Ryke przybył na miejsce, ktoś włożył mu na rękę worek z ziarnem jęczmieniem. Zarzucił go sobie na lewe ramię. Trzymaną w rękę lampką Simmela dała jakiś sygnał Wanowi. Wszyscy milczeli,

raz tylko dziecko zapłakało gdzieś przeraźliwie, szybko ucieszone.

Ryke chciał spytać, co ma robić, lecz uroczysta cisza zasznurowała mu usta. Ktoś ujął go za lewą rękę, a zaraz potem i prawą. Nie mógł się już wycofać. Włączony w łańcuch ludzi, wyruszył w pole stromym stokiem. Ziemia wciśkała mu się między palce. Nawoływały się nocne ptaki. Kiedy wieśniacy dotarli na miejsce, łańcuch pękł. Gdy chodzili wzdłuż bruzd, ich cienie padały ku północy. Wszczepiali życie w ziemię. Szczyty gór na zachodzie, obłożone posrebrzonym śniegiem, błyszczały jak kości. Na czele kolumny kroczył Wan z pochodnią.

Kiedy ostatnie ziarno spoczęło w glebie, ponownie chwycili się za ręce. Simmela krzyknęła. Świdrujący, nieartykułowany wrzask, podobny do kwilenia jastrzębia, odbił się echem od najbliższych zboczy. Włosy zjeżyły się Ryke'owi na karku, poczuł ciarki na skórze. Wiatr szeleścił w pszenicy. Zadrżał. Zganił się w duchu za niemądre myśli; wszak to był jedynie wiatr, tylko on i nic innego. Po prostu było mu zimno.

Wan uniósł oburącz pochodnię i z rozmachem uderzył nią o ziemię. Zgasło wszelkie światło, jeśli nie liczyć blasku gwiazd i księżyca.

Ryke wziął się w garść i z trudem opanował dreszcze. Ludzie jeden za drugim schodzili na dno doliny. Ryke obejrzał się za siebie i dech mu zaparło. Na polach majaczyły ciemne, niewyraźne postacie - bezkształtne kościotrupy, postawione na straży. Wtem przypomniał sobie kukły ze szmat i słomy. Usta mu zadrgały śmiechem, ale zdusił go w sobie i głośno zakasłał.

Jego towarzysze wrócili wcześniej do chaty. Errel siedział na krześle nad miednicą z wodą. Sorren odpałała świecę od płomyka w kominku.

- Ryke, możesz zarygłować drzwi? - poprosił księżę, nie podnosząc głowy. - Jedno takie przedstawienie w nocy w zupełności mi wystarczy.

Ryke przesunął żelazną zasuwę. Sorren weszła ze świecą na schodki. Kiedy wspinała się na stryszek, knot rozgorzał jasnym płomieniem. Światło przesunęło się po policzku

Errel. Książę uniósł twarz z lekko zmarszczonym czołem. Ryke wzdrygnął się; nigdy jeszcze Errel nie przypominał mu tak bardzo Athora.

## Rozdział 11

Na kilka następnych dni osobliwy nastrój zawładnął chatą.

Kiedy nazajutrz po siewie Ryke wszedł do izby, Errel siedział ze skrzyżowanymi nogami i rozkładał talię kart. Książkę obejrzał się i rzucił:

- Odejdź.

Ryke zostawił go samego. Zauważył wizerunki na dwóch kartach: iluzjonistę i demona. Wolał nie czekać, jakie będą następne.

Rankiem trzeciego dnia strach brał go na sam widok cienia. Nie mógł pogodzić się z myślą, że tylko on jeden widzi zmianę. Errel milczał z twarzą surową i zasepioną. Ryke powiesił koce za oknem i zamiótł podłogę, co było już jego codziennym rytuałem. Po ćwiczeniach na majdanie zostawał mu piasek w brodzie. Podrażniona skóra ciągle go swędziała, dlatego postanowił się ogolić. Pogrzebał w kufrze, aż znalazł brzytwę z kościanym uchwytem i lusterko w posrebrzanej oprawce, mające wygląd kobiecej głowy: po bokach spływały długie włosy, a rączka miała kształt szyi. Poostrzył brzytwę na skórzanym pasie i rozrobił w misce mydliny. Wpatrzony w lusterko, naciągnął skórę na twarzy.

Z zewnątrz dochodziły głosy Errela i Sorren. Strop skrzypiał, gdy na poddaszu poruszała się Norres. Ścisnął mocniej brzytwę i rozpoczął golenie. Zimne ostrze przejechało po policzku. Przemysł je w misce. Do izby weszli Errel i Sorren, która zachichotała.

- Spójrz na Ryke'a. Przemienia się w południowca.

- Wyszczrzyła zęby i z nocnikiem w ręku skierowała się ku schodom.

Ryke poczuł na języku cierpki smak mydła. Splunął kilka razy.

- Daj mi spokój! - Po ścięciu brody skóra w tym miejscu była kredowobiała. Ryke poczuł się jak napiętnowany. Wymarł twarz i wylał za okno pianistą wodę.

- Idziesz dziś rano na majdan? - zapytał Errel.

Ryke odwrócił się.

- Owszem.

Oblicze Errela straciło dawny wyraz surowości.

- Chciałbym się przejść z tobą - rzekł łagodnym tonem.

Z góry zeszyły Norres i Sorren. Ta ostatnia trąciła Ryke'a w rękę.

- Dogadujesz się jakoś z Wanem? - zapytała.

- Oczywiście.

- Będzie cię męczył, aż się nogi pod tobą załamają. Możesz dziś powalczyć ze mną dla odmiany. - Uśmiechnęła się zawadiacko. Włosy zawinęła czerwoną chustką. Tętno krwi unosiło opalone wgłębienie na jej szyi. Na koszuli miała brązową wyszywaną postać galopującego konia.

- Z największą chęcią - rzekł szczerze.

Udali się na majdan. Sorren poszła wziąć nóż ze stojaka. Ryke patrzył na Wana, który oparł się o płótek, aby porozmawiać z Errelem. Spodziewał się, że cziris zawoła Maranth, lecz on chwilę przysłuchiwał się słowom Errela, by na koniec wskazać mu miejsce w kącie majdanu, gdzie ćwiczyli tancerze.

Czyjaś dłoń chwyciła Ryke'a za nadgarstek i nagle stracił grunt pod nogami. Stęknął, lądując twardo na boku.

Sorren patrzyła nań z góry z rękami założonymi na biodra. Zaciskała palce na nożu.

- Miej się zawsze na baczności. - Kopnęła go lekko w nogę.

W ciągu trzech kolejnych dni Ryke ćwiczył z Sorren, a Errel uwijał się w grupie tancerzy, poznając nowe kroki.

- Nieźle mu to wychodzi - stwierdziła raz Sorren.

Ryke był zaskoczony, bo nie zauważył, żeby patrzyła w stronę księcia.

- Prawdopodobnie dlatego, że dobrze zna figury akrobatyczne - dodała tym samym beznamytnym tonem.

Popołudniami Ryke, Sorren i Errel wybierali się na pola pszenicy. Po pracy Ryke nie konał już ze zmęczenia. Włosy Errela spłwiałały na słońcu. Ich zgrany zespół poruszał się żwawo po zagonach.

W dniu, kiedy księżyc wszedł w pierwszą kwadrę, spadł deszcz. Nie ruszali się z domu, siedząc w głównej izbie. Strugi wody lały się z dachu szarym wodospadem. Norres, chcąc nie chcąc, musiała raz wyjść, aby wydoić kozy. Sorren cerowała koszule, a Ryke - przy użyciu szydła i skórzanego rzemyczka - naprawiał buty wytarte nad dużym palcem.

Errel przetrząsał kufer. W końcu wygrzebał łuk i strzały - dar od Berenta Jednookiego.

- Co będziesz z tym robił? - zapytała Sorren.

- Patrz, a dowiesz się. - Ułożył strzały w półkolu, gro-tami do siebie, a następnie ściągnął skórzany pokrowiec ze swojego toporka. Stalowe ostrze połyskiwało niebiesko w promieniach słońca. Szybkimi, celnymi uderzeniami przecinał strzały, oddzielając żelźca od prętów. Toporek wyrą-bował proste linie w deskach z czerwonego drewna.

- Pokaleczysz podłogę - napomniała go Sorren.

- Zalepię uszkodzenia woskiem - odparł.

Ryke poruszył ramionami, które bolały go już od sie-dzenia. Jeden po drugim, Errel odkładał na bok groty. Przy-cięte strzały wyglądały bez nich na okaleczone. Ryke'owi niedobrze się robiło na ten widok.

Errel zakrył pokrowcem ostrze toporka i zwrócił się do Ryke'a:

- Nie będziesz zły, jeśli posłużę się twoją brzytwą? - Przyniósł ją z gzymsu kominka, a następnie, przykładając strzały do uda, zaczął obdzierać je z brzechw.

- Mam nadzieję, że kiedyś nam powiesz, dlaczego to robisz - powiedziała Sorren.

- Słyszałem, jak Maranth narzeka, że brakuje kijków do szczotek. Pomyślałem sobie, że wybawię ją z tego kłopotu.

Ryke'owi omal nie wypadło szydło z ręki. Przerwał zszywanie.

- Wydaje ci się, że nie będziesz już potrzebował strzał?  
- spytał.

Errel zacisnął usta, wbijając w brzytwę ponure spojrzenie. Wykonał płynne cięcie dokładnie wzdłuż trzonu strzały. Słabo przytwierdzone piórko odpadło bez oporu.

- Jeśli będą mi potrzebne, łatwo je sobie zrobię. - Odwrócił pręt. - Na wzgórzach rośnie pełno brzoź.

\*\*\*

Po deszczu niemalże z dnia na dzień wybiły się z ziemi wąsate źdźbła jęczmienia. Pszenica ozłociła się, a chwasty wzmocniły swe korzenie, co złościło ludzi w dolinie.

- To niesprawiedliwe! - utyskiwała Simmela, machnąwszy motyką, jakby to była kosa. - Te chwaściska zawsze z nami wygrają!

Na drugi dzień po deszczu, Ryke udał się w pole później niż zwykle. Znajdował się akurat na najwyższym wzniesieniu pola pszenicy, walcząc motyką z zadziornymi chwastami, kiedy usłyszał tętent jeźdźców na ścieżce. Wyprostował się, aby ich powitać przyjaznym okrzykiem.

Zjeżdżali stokiem gęsiego. Sześciu nieznajomych. Blask zachodzącego słońca rozlewał się jak woda po zboczach gór, podczas gdy niebo na wschodzie było ciemniejsze, niebieskie. Wierzchowce wyglądały na strudzone. Na czele kawalkady jechała kobieta.

- Czy to Dolina Wana? - zapytała.

Dziwne pytanie. Nawet bardziej niż dziwne. Ryke zbliżył się do przybyszów, zaciskając palce na rękojeści motyki.

Gdy złapał za uździenicę pierwszego konia, nieznajoma przerzuciła nogę przez siodło i zsunęła się na ziemię. Jej zęby błyszcząły w ogorzałej twarzy jak muszla. Skórę miała opaloną na ciemnobrązowy, niemalże czarny kolor. Była



szczupła i wysoka. Nosiła skórzany strój jeździecki i szary kapelusz o szerokim rondzie. Włosy wypadały spod kapelusza w gęstych kędziorach.

- Mam na imię Domio - przedstawiła się. - To Wanima, prawda?

- Pomyłka wykluczona - ozwał się z tyłu jeden z jeźdźców. - Jesteśmy dokładnie tam, gdzie nas skierował Osin.

- Bądź cicho! Złażcie z koni. Wyglądamy tu na stoku jak forpoczta armii.

Uśluchoali bez słowa sprzeciwu. Ryke podejrzewał, że kobieta jest jakąś ważną osobistością. Sposobem zachowania przypominała mu trochę Sorren. Gdy jej koń zaczął skubać pszenicę, spokojnie odciągnęła go na bok.

- Przysłał nas tu Osin - powiedziała. - Mistrz majdanu w Mahicie. Wyszkolił nas i wyprawił w drogę. Mamy od niego pozdrowienia i wiadomości dla... - Przymknęła na chwilę powieki. - ...Dla Maranth, Simmeli, Chayathy i Wana. - Przesłoniła twarz ręką. - Możemy zjechać w dolinę?

Koń tupął nerwowo kopytem. Ryke nie chciał ich przetrzymywać na stoku, gdy mieli przed oczami zachodzące słońce.

- Kim jesteście? - zapytał.

- Czirisami.

Wskazał jej drożynę, która miała zaprowadzić ich do samej osady.

- Dziękuję. - Dosiadła wierzchowca.

Ryke nie czekał nawet, żeby sprawdzić, czy nie zbczają z drogi. Z motyką w ręku pośpiesznie zszedł ze zbcza.

Spotkał się z Wanem, gdy ten przerwał taniec i opuszczał majdan.

- Obcy tu nadjeżdżają - rzekł i wskazał kierunek. - Powiadają, że niejaki Osin wysłał ich z Mahity. Nigdy tu jeszcze nie byli. Przywodzi im kobieta imieniem Domio. Nazywali się czirisami.

Na majdanie ludzie cisnęli się, żeby posłuchać nowin.

- Osin! - powiedział ktoś. - Widziałem go w Manicie przed odjazdem.

- Skoro tu nigdy nie byli, to skąd znają drogę?

- To mówisz, że ilu ich tam było? - zapytała Sorren.

- Sześciu.

Wan nakazał gestem ciszę.

- Dość tego. Spotkamy się z nimi. - Starł piasek z przedramion. - Hadril, przynieś mi koszulę! A jeśli Maranth jest w domu, powiedz jej, żeby przyszła.

Hadril pobiegł wykonać polecenie. Otoczony tancerzami, Wan ruszył dziarsko do studni.

- Ryke, odłóż już tę motykę. - Wan z pozoru niczym się nie przejmował i niczemu nie dziwił.

Ryke oparł z uśmiechem motykę o ścianę domu. Trzymał ją, jakby to była dzida.

Na drodze pojawili się jeźdźcy. Konie przyspieszyły, zwąchawszy wodę. Ryke wyciągnął drzazgę z ręki. Wan włożył koszulę przyniesioną przez Hadrila.

- Co z Maranth?

Młodzieniec tylko wzruszył ramionami. Słońce ozłacało twarze przyjezdnych. W pszenicy cykały świerszcze. Przy studni zebrało się o wiele więcej ludzi niż na majdanie. Ryke poczuł, że serce bije mu żywiej.

Jeźdźcy zsiadli i natychmiast musieli przytrzymać zwierzęta, garnące się do koryta.

- Niech się napiją - powiedział Wan.

Z refektarza nadeszła Maranth. Płaszcz podróżnych zakurzyły się w drodze. Wśród nich były dwie kobiety. Nosili kapelusze z twardego filcu i skrawki czerwonego materiału na rękawach, wyglądające na jakieś oznaki. Konie z południowych hodowli były wyższe i dorodniejsze od tych stepowych. Zanurzyły pyski w korycie, machając ogonami. Właściciele odciągnęli je, zanim wypłyły za dużo.

- Osin przysłał nas tu z Mahity - oznajmiła Domio. - Jesteśmy czirisami. - Spojrzenie jej czarnych oczu przebiegało z twarzy na twarz.

- Witajcie w Wanimie - rzekł Wan.

Aż słyhać było, jak zapiera jej dech w piersiach.

- To ty jesteś Wanem?

Siłacz kiwnął głową.

Złączyła na piersi dłonie z rozłożonymi szeroko palcami - czegoś takiego Ryke nigdy wcześniej nie widział - i schyliła się w ukłonie.

- Skedzin - powiedziała z błyszczącymi oczyma.

- Osin przesyła ci pozdrowienia z nadzieją, że przyjmiesz nas jako prezent i dowód szacunku. Jest teraz mistrzem majdanu w Mahicie.

Wśród słuchaczy zrobiło się gwarno.

- Kiedy byliśmy w Mahicie, nie było tam mistrza majdanu - szepnęła Sorren na ucho Ryke'owi.

Maranth przemknęła pod ręką Ryke'a i stanęła u boku Wana, pobrzękując srebrnymi bransoletkami. Wan przedstawił ją, a Domio przekazała jej pozdrowienia od Osina. Ryke zauważył Errela, który stał samotnie po drugiej stronie studni.

- Od Osina? - Maranth uśmiechnęła się promiennie. - Bardzo nam miło! Pewnie jesteście głodni. Chodźcie, dostaniecie coś do jedzenia. Dikta, Amaranth! Zajmijcie się końmi. Co u Osina? Musicie nam wszystko opowiedzieć. No, nie stójmy tak na środku drogi jak stado baranów! - Zaprowadziła ich na salę.

Przybysze rozsiedli się przy stołach. Ten, który usiadł obok Ryke'a, miał na imię Lyrith. Był krępym młodzieńcem, trochę zawstydzonym uwagą, jaką na sobie skupiał. Odwracał się to w jedną, to w drugą stronę i odpowiadał na dziesiątki pytań, pałaszując równocześnie jedzenie. Miał tak wielki apetyt, że zjadłby chyba wołu.

- Wędrowaliśmy brzegiem rzeki do Tezary, potem przez Galbareth. Wyjechaliśmy z Mahity zaraz po pełni księżyca.

- Asehowie was nie nękali?

- Wywęszyli nas od razu za bramą miejską, ale że nie mieliśmy wozów, zostawili nas w spokoju.

- Kto rządzi w mieście? - spytała Simmela.

- Rodzina Medów. - Sięgnął gorliwie po garnek z gulaszem. Ręce miał po wierzchu całe w piegach.

- Gdzieście spali? - spytała Orilys.

Uśmiechną się.

- Po stodołach, jeśli się dobrze trafiło. Najczęściej jednak przy drodze.

- Słyszeliście w Terezie jakieś wieści z północy? - zapytała spokojnie Sorren. - Na przykład coś o warowniach?

Ryke pochylił się, aby niczego nie uronić. Lyrith złapał za dzban z wodą.

- Nie pamiętam, żeby o tym mówiono.

Ktoś targnął Ryke'a za ramię. Podniósł wzrok i zobaczył Errela. Przysunął się do Sorren, aby książkę mógł usiąść. Kiedy się wcisnął na ławę, Lyrith opowiedział, jakim to sposobem Osin został mistrzem majdanu w Mahicie.

- Wyzwał na pojedynek wszystkich śmiałków w mieście, lecz nikt mu nie sprostał. Kiedy zwyciężył dowódcę straży miejskiej, zaproponowali mu jego stanowisko, lecz odmówił. Coś musieli zrobić, więc mianowali go mistrzem majdanu.

- Kiedy to było? - zapytała Sorren. Lyrith wyciągnął z ust twardą chrząstkę.

- Dwa lata temu.

Również przy innych stołach raz po raz nabierał siły gwar rozmów, gdy zadawano i odpowiadano na te same pytania.

Opodał nich Wan siedział z Domio. Przed posiłkiem ściągnęła szary kapelusz. Ryke obserwował poruszające się usta. Ogorzała kobieta uśmiechnęła się i dotknęła czerwonej opaski na rękawie. Ryke podsłuchałby chętnie, o czym mówi.

Posłyszał głos Errela:

- Po co to nosicie?

Wyciągnął rękę nad stołem i dotknął czerwonego skrawka tkaniny na rękawie Lyritha.

- Osin uznał, że skoro jesteśmy czirisami, powinniśmy wyróżniać się tak samo jak kupcy, uczeni czy posłańcy - odrzekł nieśmiało młodzieniec. - Wybrał dla nas ten kolor, ponieważ, jak powiedział, Wan nosi czerwień.

Nastąpiło milczenie. Cienie przesuwwały się po zamylonych twarzach. Norres, która siedziała naprzeciwko Sorren, przerwała ciszę panującą przy stole:

- Czy uważa się nas za czerwony klan?

- Nie wiem - odpowiedział Lyrith.

Po posiłku udali się na majdan. Niebo było czyste niczym woda w górskim potoku. Gwiazdy rozpięły wielki świetlisty most nad turniami. Gdyby człowiek mógł się nań wspiąć, pomyślał Ryke, zawędrowałby pewnie na drugi koniec świata. Mieszkańcy doliny zapalali wokół placu kaganki. W powietrzu unosił się wonny zapach kapryfolium. Domio zgromadziła swoich czirisów na środku majdanu. Rozpoczęli taniec, zakończony wspólnym przytupem, obrotem i przeraźliwym okrzykiem, który wystraszył połowę widowni.

Ryke'owi skojarzył się on z rykiem wojska.

- Czerwony klan - stwierdziła Sorren. - Nawet mi się podoba.

Na tonącej w mroku drodze rozbrzmiał pomruk uznania. Sierp księżycy siedział okrakiem nad szczytami niczym jasna czapa. Niecały miesiąc temu wyjechaliśmy z Tornoru, pomyślał Ryke. Księżyc był wtedy w nowiu.

- A mnie nie - odezwał się Wan za nimi.

- A mnie tak - oświadczyła Maranth. - Czyżbyś nie chciał, żeby czirisowie stali się klanem? Przecież po to są te czerwone znaki. Wszyscy powinniśmy takie nosić.

- Wszyscy, którzy mieszkają w dolinie? - zapytał Hadril.

- Nie - odparła Maranth. - Nie każdy jest tu czirisem.

- Maranth ma rację - rzekł głośno Ryke, sam zdumiony własnymi słowami. Wiedział, że nigdy nie zostanie czirisem. Zawsze gubił się w tańcu. Jego ciało nie umiało współgrać z innymi. Potrafił wszakże upadać i zablokować cios, tak by nie narazić się na zranienie.

Nazajutrz Maranth wywlokła ze składu bele czerwonego sukna. Potem usiadła w słońcu obok refektarza, gdzie pospołu z Sorren i Orilys wycinały i obszywały czerwone opaski dla wszystkich czirisów w dolinie. Maranth próbowała namówić córkę do pomocy, lecz ta nic sobie z tego nie robiła. Zawołała swoją przyjaciółkę i pokłusowała do stajni.

Wróciwszy w południe z majdanu, Ryke usłyszał ich rozmowę.

- Nie krzycz na nią - powiedziała Sorren.

- A czemu by nie? - gniewała się Maranth. - Nie chce szyć, nie chce pisać. Więcej mam pożytku z kóz niż z tej dziewczuchy.

- Krzykiem nie złamiesz jej uporu, wprost przeciwnie - zauważyła Sorren. - Poczekaj jeszcze, a na pewno się opamięta.

Maranth prychnęła.

- Ciekawe, co ją do tego zmusi.

- Coś lub ktoś. Ja przecież wysłałam na ludzi. - Sorren uśmiechnęła się. - W tym wieku nie różniłam się od niej. Też dawałam wam popalić. Poza tym pomyśl, kim ona jest.

- Moją nieposłuszną córką.

- Córką buntowników - sprostowała Sorren.

Ryke'a coś tknęło. Został przy studni i chłonał rozmowę. Głosy niosły się daleko nad drogą. Wsparł łokcie na mokrej cembrowinie.

- Nie byłam buntowniczką - powiedziała Maranth.

- Razem z Wanem skazałaś się na dobrowolne zesłanie. Czy twoi rodzice nie chcieli cię odzyskać?

Maranth roześmiała się, odwracając skrawek materiału.

- Nie pytałam ich o zdanie.

Rozmowa przycichła, kiedy z refektarza wyszedł Lyri-th. Ryke udał się spacerowym krokiem do domku z niebieskimi okiennicami. Na łąkach w wysokiej trawie brzęczały owady. Z kępy jagód doleciał ptasi śpiew, czysty i melodyjny.

Errel siedział na krześle. W lewej dłoni trzymał pierścion z rubinem.

Na widok Ryke'a zamknął w palcach klejnot.

- Jak się czujesz, przyjacielu?

Ryke był zmieszany. Chciał powiedzieć... chciał zapytać... Zamiast tego rzekł tylko:

- Stałem właśnie przy studni.

- No i?

Ryke powtórzył wszystko, co usłyszał.

Errel pochylił się z łokciami na kolanach, łącząc czubki palców w kształt koła. Wan powtarzał często ten gest.

- Jak myślisz, co to znaczy?

Ryke podrapał się po karku z nachmurzoną twarzą.

- To pasuje do jakiejś historii, którą kiedyś słyszałem, ale nie mogę jej sobie przypomnieć. - Rozglądał się po izbie, jakby szukał czegoś, co by mu odświeżyło pamięć.

- A opowiadał ci ktoś o zbójcekich wyczynach Kruka Batto?

- Rozmawiałem o nim z Kolem... - Urwał raptownie. - Myślisz, że Wan i Batto to jedna i ta sama osoba?

- Całkiem możliwe.

- Kol powiedział mi, że go zna. - Nie wiedzieć czemu, wydawało mu się to ważne. Znów usłyszał ptaka. Errel odchylił się na oparcie krzesła. Ryke zaniepokoił się. Nie powinienem wspominać przy nim Kola, pomyślał. Niebieskie oczy księcia były zimne jak klejnoty.

Ryke wyruszył samotnie w pole. Martwił się, co będzie, jeśli Errel zdecyduje się zostać tu na zawsze. Nie mógł tego wykluczyć, a jednak wmawiał sobie, że to byłoby absurdalne i do tego nie dojdzie. Gdyby jednak doszło, poszedłby do stajni, osiodłał konia i samotnie, nie oglądając się za siebie, wyjechał z kotliny. Któżby go zatrzymał? Tylko co potem? Wiatr pieszczotliwie muskał go po twarzy. Jego miejsce było przy Errelu, podobnie jak miejsce rzeki - w korycie. Nie chciało mu się rano ogolić. Przejechał dłonią po zarostie na podbródku.

Czirisowie wracający na kolację z pól i majdanu nosili czerwone opaski na głowie, rękawie lub pod szyją. Z tego powodu - a raczej dlatego, że przybysze wzbudzali powszechną ciekawość - w jadalni było gwarno i wesoło. Dwóch chłopców, synów Lamatha i Simmeli, uganiało się w przejściach między stołami, Hadril śpiewał, a Amaranth, matce na złość, wdrapała się na krokiew, by tam siedzieć i huścić nogami. Maranth już na nią nie krzyczała.

Po wieczerzy, gdy gwiazdy błyszczały na niebie, w dolinie zaległa błoga cisza. Ryke i Errel wracali do chaty, przyglądając się idącym z przodu kobietom. Sorren i Norres obejmowały się ramieniem i tuliły. Powietrze było pachnące i nagrzane jak wełna. Ryke szukał wzrokiem księżyca, lecz ten jeszcze nie wszedł. Norres nuciła znaną melodię. Ryke cieszył się, że nie śpiewa; nie lubił słów tej piosenki. Obok niego Errel szedł lekkim krokiem z uśmiechem na ustach. Miał ochotę go spytać, jak długo tu zostaną. Chętnie chwyciłby w dłoń prawdziwy miecz zamiast drewnianego. Dwukrotnie nabierał oddechu, lecz za każdym razem bał się zapytać. Bał się odpowiedzi, jaką mógłby usłyszeć.

Norres przystanęła w progu.

- Zaczekajcie - powiedziała i weszła do środka. Po chwili ukazała się ze złożonym kocem. Cykady śpiewały na polach. Sorren i Norres rozpostarły koc na drodze przed chatą i wszyscy na nim usiedli. Ryke ściągnął buty. Przybliżył się do nich ciekawski świetlik, wykonując w powietrzu chaotyczne spirale.

Drogą sunęły dwa cienie, ciche niczym kłęby dymu: Wan i Domio. Ogorzała kobieta ubierała się teraz na tutejszą modłę: w bawełnianą koszulę i bryczesy związane sznurkiem w pasie. Nogawki przykrótkich spodni sięgały ledwie za kolana.

- Chyba mi się tu spodoba - mówiła właśnie.

- Hej, nie potknijcie się o nas! - ostrzegła ich Sorren.

- O to się nie martw - zapewnił ją Wan.

W ciemnościach jego głos wydawał się niższy niż zwykle. Ryke wyteżył wzrok, aby dostrzec jego twarz. Zastanawiał



się, co rzekłby Wan, gdyby usłyszał pytanie: Czy jesteś Kruk Batto? Doszedł jednak do wniosku, że na razie lepiej nie pytać o takie rzeczy.

- Co tu robicie?

- Cieszymy się z wiosny - odparła Sorren.

- Ech, ci ludzie z północy... - mruknęła tancerka i usiadła na brzegu koca.

Sorren trąciła Wana w ramię.

- Nigdy nie byłeś na północy, więc nie wiesz, jak tam jest. Jeśli chcesz się czegoś o niej dowiedzieć, zapytaj mnie, Norres, Ryke'a albo Errela. Zaraz, zaraz: lepiej nie pytaj Errela ani Norres. Im się tam nie podoba. Pytaj Ryke'a lub mnie.

- Nie podobało ci się tam? - zwrócił się Wan do Norres.

- Parszywa kraina. Zimno, paskudnie, wszyscy zawsze mówią: nie.

- Nie przesadzaj, aż tak źle tam nie jest

Norres zaśmiała się.

- Tobie nikt nigdy nie mówił: nie.

Na chwilę zaległa cisza. Sorren wyciągnęła rękę i położyła ją na ramieniu Norres.

- Dość już o tym - powiedziała.

Domio rozprostowała na ziemi swoje długie nogi i wsparła się na łokciach. Raz po raz błyskała bielą zębów.

- Do Tezery dochodziły wieści o wojnie na północy - powiedziała.

Errel poderwał głowę, Sorren odwróciła się.

- Lyrith twierdził, że nie było żadnych nowin z północy.

Domio prychnęła z pogardą.

- Lyrith nie zauważyłby wojny, nawet gdyby strzały fruwały mu koło nosa.

- Jakiej wojny? - spytał Errel.

Wysoka kobieta spochmurniała. Zmarszczki porysowały jej szerokie czoło.

- Walczyły z sobą dwie twierdze. Nie pamiętam, jak się nazywały. Jest jakiś zamek ze starym rządcą, ślepym na jedno oko?

- Owszem - odparł Errel. - Berent Jednooki jest panem Podchmurnej Twierdzy.

- On właśnie nie żyje - oświadczyła tancerka. - Zginał z ręki przeciwnika.

Ryke przełknął ślinę, Errel zwiesił głowę na piersi. Ośmielony świetlik przysiadł na koronie jego jasnych włosów.

- Tego się obawiałem - rzekł cicho ksiązę.

Ryke dziwił się, że nie czuje smutku. Wspominał Tava, który dał mu konia oraz jego brata, którego imię wyleciało mu już z pamięci. Wspominał także Lera; chłopiec tak zręcznie służył swemu ojcu. Nosił zawsze pas bez noża. Istniała obawa, że Kol kazał zgładzić chłopca, aby zemścić się za ucieczkę Errela. Nie wypłakiwał łez jak baba, lecz jego oczy były zimne niczym lód.

- Kol musiał zaatakować Podchmurną Twierdzę za raz po naszym odjeździe - stwierdził Errel beznamiętnie.

- To, że Berent dał nam schronienie, posłużyło Kolo-  
wi za wymówkę.

Rzeczywiście, pomyślał Ryke, szukając po omacku butów. Kol był łajdakiem i tyle.

Czyjaś dłoń, smukła i chłodna, dotknęła jego ręki w ciemnościach. Ten znak mówił: nie ruszaj się. Siedział więc, zwlekając z włożeniem buta. Świetlik oderwał się od włosów Errela.

Wan odezwał się swoim głębokim głosem:

- Może mi powiecie, w czym rzecz.

Errel wstał. Ryke poczuł silniejszy uścisk kobiecej dłoni.

- Zaczekaj chwilę - rzekł Errel. - Coś ci pokażę. -  
Wszedł do chaty.

Ryke usłyszał, jak wieko skrzyni uderza hałaśliwie o ścianę. Coś spadło na podłogę. Errel wrócił do osób siedzących na kocu i zbliżył się do Wana.

- Popatrz. Wiesz, co to jest?

Wan wziął do ręki pierścień, który połyskiwał z lekka w mdłej poświacie księżycy.

- Godło władców Tornoru. Skąd go masz?

- Jest moją własnością.

Dreszcz przebiegł Ryke'owi po grzbiecie.

- Czyżbyś był panem Tornoru? - zapytał Wan. - Z tego, co mi wiadomo, panem tego zamku jest niejaki Athor, człowiek bardziej niż ty posunięty w latach.

- Athor nie żyje - odparł Errel. - Jestem jego synem.

- Przepraszam, pójdę już sobie. - Domio oddaliła się dyplomatycznie.

Ryke poczuł znajomy ucisk w piersi. Próbował przywołać z pamięci Athora w jego najlepszych chwilach: potężnego, złotowłosego, ryczącego śmiechem, otoczonego ludźmi i zwierzętami. Obrazy powstające w jego wyobraźni były wypłowiałe i ciche. Ryke przestraszył się co niemiara. Swego poprzedniego pana kochał bardziej nawet niż ojca, dlaczego więc nie mógł go sobie wyraźnie przypomnieć?

Errel wpatrywał się w czarne wzgórze, jakby chciał je przewiercić na wylot.

- Mój dom znajduje się w rękach Kola Istora. Gdy nastąpiła zima, nadszedł z południa na czele wojska. Zabił mego ojca. Mnie oszczędził, ale musiałem zostać jego trefnisiem. Malowałem się farbą i rozśmieszałem go na ucztach. Mia nował Ryke'a komendantem straży. Kiedy Sorren i Norres opuszczały Tornor, uciekliśmy wraz z nimi do Podchmurnej Twierdzy, gdzie rządził Berent Jednooki. Zielony klan pośredniczył w rokowaniach pokojowych między Kolem i Berentem.

- Domyślam się, że Kol wykorzystał waszą ucieczkę, aby oskarżyć Berenta o złamanie postanowień umowy. - Wan odpowiedział z twarzy komara.

Błyskawica rozświetliła stoki gór na północy - rzecz normalna w czasie upałów.

Wan podał księciu pierścień na otwartej ręce.

- I cóż teraz poczniesz, Errelu z Tornoru?

- Jest jeszcze jedna warownia: twierdza Pel. Rządzi tam Sironen, człowiek stary, lecz bitny. Dowodzi silnym wojskiem. Kol będzie musiał stoczyć z nim bitwę. Kto wie, czy właśnie teraz nie walczą. Powinienem się do niego przyłączyć.

- Możesz wziąć sobie konia ze stajni - rzekł Wan.

Errel nie odebrał jeszcze pierścienia.

Czemu tu jeszcze siedzimy? - pomyślał Ryke. Już miał wstać, lecz został przytrzymany za nadgarstek. Wiatr dmuchnął mu w twarz kurzem. Zakasłał.

- Nie chcę - odparł Errel. Krople potu wystąpiły mu na czoło. Noc wyzwała z kolorów jego oczy. Wyglądał jak widmo. - Tornor nigdy do mnie nie należał. Należał do mojego ojca, a teraz należy do Kola.

Ryke otwierał już usta, żeby coś powiedzieć, błagać, krzyżeć... lecz opamiętał się, spiorunowany ostrym wzrokiem Wana. Słowa uwięzły mu w gardle. Tancerz podrzucił i złapał pierścień.

- Nie chcesz?

- Nie.

- W takim razie weź go. - Wręczył księciu pierścień.

- No, weź!

Errel chwycił go ostrożnie w palce, jakby to był węgiel z pieca.

- A teraz precz z nim! Wyrzuć go na drogę albo ot, w te krzaki. - Wan wskazał palcem kępy jagód rosnących gęsto koło domu.

Ryke'owi serce biło jak młotem. Spocił się pod pachami. Czuł się jak w gorączce, zimno przejęło go do szpiku kości.

Errel uniół rękę, napiął mięśnie. W końcu wypuścił z płuc powietrze w głębokim westchnieniu.

- Nie mogę - powiedział.

- Chcesz, żeby wziął go Kol Istor?

Errel potrząsnął przecząco głową.

- A więc jest twój.

Sorren puściła obolały nadgarstek Ryke'a. Zastanawiał się, czy nie zostanie siniec. Miał wilgotną koszulę. Zaczynała cuchnąć. Znów uderzył piorun, tym razem bliżej. Od łąk przyszedł wiatr, szumiąc w wysokich trawach.

- Wejdzmy do chaty - zaproponowała spokojnie Norres.

- Zbiera się na burzę.

Nikt się jednak nie ruszył.

- Dziesięć lat temu, jeszcze w innym życiu, poznałem człowieka o imieniu Kol - rzekł Wan. - Był żołnierzem, synem kowala z wioski pod Tezerą. Szerokie bary, wielkie łapska, czarne włosy i oczy. Tęga głowa.

- To ten sam - potwierdził Ryke.

- Nie chciałem z nim wojować - stwierdził tancerz. - Chyba żebym mógł użyć paru forteli.

- Nie rozumiem. Jakich? - zapytał Errel.

Wan połączył ręce koniuszkami palców.

- Muszę porozmawiać z Maranth. - Dodał coś jeszcze, lecz zagłuszył go huk pioruna. Począł, aż grom ucichnie. - Zastanawiam się, czy nie będziecie mieć nic przeciwko, jeśli pojedzie z wami kilku naszych?

- Oczywiście, że nie - zapewnił Errel.

Ryke roztarł kciukami łydkę ścierpniętej nogi. Rozlegały się gromy. Ktoś dotknął go w ramię. Zobaczył nad sobą Errela.

- Przepraszam, Ryke - powiedział książę. - Powinienem być cię uprzedzić.

Nadal wyglądał jak widmo, lecz dłoń spoczywająca na ramieniu Ryke'a była ciepła i silna, jak najbardziej rzeczywista.

- Nie musisz mnie przeproszać, książę - odparł. Ucieszył się, że nie przyjdzie mu samemu wracać na północ. Errel wciął liczył na jego pomoc.

## Rozdział 12

Rano, kiedy Errel opróżniał nocnik, w drzwiach chaty pojawiła się Amaranth.

- Wpadnijcie do nas do domu! - wykrzyczała jednym tchem i uciekła w podskokach.

Ryke popatrzył na Errela. Księżę wrócił z nocnikiem i postawił go przy łóżku. Usiadł, aby włożyć buty.

- Chyba musimy się tam wybrać.

Deszcz w nocy nie padał, ale o świcie przeszła z szumem gwałtowna ulewa. Ziemia nasiąkła, a na każdym liściu, łądydze i pajęczynie pozostały krople wody. Kotlina wydawała się przykryta delikatną świetlistą mozaiką.

Odwiedzili dom Wana. Gospodarz siedział na taborecie, a Maranth stała na środku izby z rękoma założonymi na biodra. Słysząc było dzwonienie bransoletek. Jej włosy odstawały od głowy na podobieństwo wiewiórczego ogona.

Zaledwie goście przekroczyli próg domu, obróciła na nich roziskrzone oczy.

- Od dziesięciu lat nie zapuszczamy się dalej od Wanimy niż do Gerdeńskiego Lasku, a teraz mielibyśmy wdawać się w wojnę na północy?

- Nie prosiłem o towarzystwo, pani. - Errel spojrział na Wana, który uniósł brwi.

Maranth nie dopuściła męża do głosu.

- Jadę z wami!

Ryke oparł się o ścianę. Spał twardo, ale wcale nie czuł się wypoczęty. Śniło mu się coś szczególnego, lecz co - tego nie pamiętał. Drażnił go posmak goryczy w ustach.

Errel popatrzył na Wana, jakby chciał zaoponować. Ten jednak rozłożył bezradnie ręce.

- Wolałem, żebyś sam to usłyszał.

- A ty co? Zgadzasz się? - spytał Errel.

Maranth parsknęła.

- Moje zdanie nie ma tu nic do rzeczy - odpowiedział Wan. - Jak chcesz, możesz się z nią kłócić, choć wątpię, czy coś ci z tego przyjdzie.

- Niewiele! - Jedwabne spodnie Maranth kołysały się w biodrach jak spódnice. Czarny kot lizał łapę, usadowiony na jej tabliczkach. - Poza tym jestem wam potrzebna. Zdajesz sobie sprawę, co on zamierza zrobić?

- Nie. Wiem tylko, że ucieknie się do podstęp.

- Nie inaczej. Sam wam zdradzi szczegóły, lecz wiedźcie, że do Tornoru udadzą się czirisowie, aby zatańczyć przed Kolem.

- Czirisowie? - zdziwił się Errel.

Wan znów połączył końce palców.

- Z tego, co opowiadaliście o Istorze, wnoszę, że chętnie przyjmie trupę tancerzy. Potrzebujemy prawdziwych czirisów, trzy kobiety i trzech mężczyzn. Ty będziesz jednym z nich. Podstęp się powiedzie, jeśli rzeczywiście dobrze znasz Tornor.

Errel zmarkotniał.

- Kol na pewno mnie rozpozna. Gospodarze spojrzeli na siebie znacząco.

- Przebierzesz się tak, że nikt cię nie rozpozna - stwierdziła Maranth.

- Kol ma bystry wzrok - rzekł cierpko Errel.

- Ja też znam dobrze Tornor - odezwał się Ryke.

- To prawda, ale ty nie jesteś czirisem - rzekł Wan.

Ryke zastanawiał się, na czym polega plan. Nawet w przebraniu, wmieszany w trupę tancerzy, Errel byłby w Tornorze narażony na niebezpieczeństwo. Maranth obchodziła wkoło księcia, przyglądając mu się badawczo, jakby był prosięciem przeznaczonym na ubój.

- Cóż poradzi garstka ludzi w konfrontacji z armią? - wyraził wątpliwość Errel.

- Nie będziemy sami. - Wan sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. - Powiadasz, że w twierdzy Pel stacjonuje wojsko? Wobec tego zabierzemy je z sobą.

Ryke'a męczył ból w krzyżach, tym bardziej że musiał słuchać przechwałek Wana. Wygiął kręgosłup, aby ulżyć plecom. Chętnie by się pokłócił, lecz nie wiedział, od czego zacząć. Co będzie, jeśli Sironen nie użyczy ci wojska? - pomyślał. Bał się jednak zabierać głos, aby czegoś złego nie wykrakać. Zapewne zazdrościł Wanowi, który mógł pomóc Errelowi - w odróżnieniu od niego. Poczł złość i wstyd. Promienie słońca oświetliły napis wiszący w ramach na ścianie.

- Kto będzie uczył ludzi na majdanie pod twoją nieobecność? - zapytała Maranth.

- Reohan. - Był to jeden z najsilniejszych i najlepiej wyszkolonych czirisów.

- Wkrótce zjadą się kupcy. Kto wytarguje niskie ceny?

Maranth zachichotała.

- Simmela mnie zastąpi. Zabierze ze sobą Amaranth. Najwyższy czas, żeby mała przejęła część moich obowiązków, uprościła życie swej podstarzałej, słabowitej matuli. - Przygarbiła się, udając staruszkę, lecz zaraz wyprostowała się, sprężysta i pełna wdzięku niczym młode drzewko. - Wyciągnę ze skrzyni nasz skórzany strój do jazdy konnej, czelito. - Odeszła na zaplecze.

Errel przeczesał ręką włosy.

- Skedżin - rzekł Errel. - Na pewno chcesz brać w tym udział?

- Mam swoje powody - wyrzucił z siebie porywczo, jakby wydawał rozkaz.

Na mgnienie oka Ryke ujrzał w Wanie człowieka, jakim dawniej musiał być Kruk Batto, dowódca straży w nadmorskiej Kendrze.

Tancerz wstał i przeszedł do sąsiedniej izby, skąd wrócił z długim zwojem pergaminu. Przyklęknął na podłodze i rozwinął mapę. Ryke przycisnął jeden róg czubkiem buta. Z pergaminu uniosła się chmurka kurzu, która wierciła w nosie. Errel przyniósł ze stołu pojemniczki na tusz, aby przycisnąć trzeci róg mapy. Czwarty przytrzymał lewą ręką.

Wan stukał po mapie.



- Północ, południe. Wschód, zachód. - Położył palec na garbach, które miały przedstawiać góry. - O ile zdołałem się zorientować, to jesteśmy tutaj. - Przesunął palce na północ, w stronę Ryke'a. - A to twierdza Pel. Cztery dni drogi, gdyby jechać szlakiem orła, lecz zwykłym traktem trzeba liczyć pięć dni. Nim wydostaniemy się na stepy, musimy minąć wzgórze.

Mówił z dużą pewnością siebie. Ryke zastanawiał się, czy kiedykolwiek tam się zapuszczał. Sorren wszakże twierdziła, że nigdy nie był na północy. Z taką samą znajomością rzeczy Jaret zwykł rozprawiać o wydarzeniach, które miały miejsce przed jego narodzinami. Być może tę swobodę wypowiedzi zawdzięczał właściwemu szkoleniu.

Pochylił się nad pergaminem. Była to prosta mapa, nieiluminowana złotym atramentem. Przeważały poszarzałe kreski, a wzdłuż brzegów biegły słowa w południowym języku.

- Maranth naprawdę się z nami wybiera? - zapytał Errel.

- Nie rzuca słów na wiatr - odparł Wan.

- Kto jeszcze pojedzie?

- Potrzebujemy sześciu osób.

- Sorren przyłączy się do nas - zauważył Ryke.

Wan i Errel spojrzeli na niego, zaskoczeni. Poczernienia na twarzy. Słowa, zgoła nieoczekiwane, same wyrwały mu się z gardła.

- Tak ci powiedziała? - zapytał książe.

- Nie.

- W takim razie najpierw z nią porozmawiaj - rzekł Wan.

- Ja to zrobię. - Errel zginał prawą dłoń. - To całkiem dobry pomysł. Ona dobrze zna Tornor. - Powstał. Mapa zwinęła się w miejscu, gdzie puścił róg pergaminu. Podeszedł do okna i oparł się o parapet. Na środkowym palcu lewej ręki nosił pierścień z rubinem. - Ile zostało nam czasu do wyjazdu? - zapytał Wana.

Ten zmarszczył czoło.

- Musimy jeszcze poćwiczyć tańce czirisów. Trzy, cztery dni, coś koło tego.

Czarny kot postanowił wyjść na dwór. Wskoczył na parapet, chłoszcząc Errela ogonem po twarzy. Książę chciał go złapać, ale mu się wyśliznął.

- Czy ktoś w Wanimie ma łuk myśliwski? - spytał.

Ryke zamarł w bezruchu.

- Nie - odpowiedział Wan. - Nie gromadzimy broni w dolinie.

Ryke zwilżył wargi.

- W składzie są suche kłocce, książę.

Errel zerknął na niego z łobuzerskim uśmieszkiem.

- Naprawdę?

Wan, Maranth, Ryke i Errel udali się na majdan wrzący od gwaru rozmów.

- Słuchajcie! - krzyknął Wan tubalnym głosem, który wybił się ponad wrzawę. - Bądźcie cicho i słuchajcie! - Gdy się uspokoiło, a tancerze i pary ćwiczące walkę zgromadziły się wokół niego, podjął: - Pozwólcie mi się wypowiedzieć, bo mam wam ważne rzeczy do oznajmienia. - Zrobiło się cicho. Ryke żałował, że nie ma przy nim ściany, o którą mógłby się oprzeć. - Wyjeżdżam z Wanimy. - Uniósł otwarte dłonie, jakby chciał powstrzymać nawałnicę zarzutów, lecz nikt się nie odezwał. Nad majdanem unosił się zapach kapryfolium, delikatny niczym pierwszy śniegowy puszek zimą. - Wyruszam na północ w towarzystwie Maranth i jeszcze paru osób. Nasza wyprawa nie potrwa długo, co najwyżej dwa miesiące. - Obracał głowę na boki, zaglądając ludziom w oczy. - W dolinie panuje dostatek. Jest wiosna, a wiosną dobrze się podróżuje. Jeśli wyjedziemy wcześniej, wrócimy na żniwa. - Mówił to głosem donośnym, takim że robotnicy na polach odrywali się od pracy i kierowali wzrok na majdan.

Ryke ujrzał nagle w wyobraźni Wanimę pod postacią głębokiej niecki w górach, za którymi rozciągał się płaski świat, co razem wzięte przypominało spłaszczoną i rozciągniętą na boki misę.

- Kto będzie rządził majdanem po twoim odjeździe? - zapytano.

- Reohan.

Wymieniony mężczyzna uniósł rękę na znak sprzeciwu, ale przełknął tylko ślinę i powstrzymał się od głosu, gdy Wan zmierzył go tym swoim przenikliwym wzrokiem.

- Dokąd wyjeżdżacie? - spytał Hadril.

- Na północ. O nic więcej nie musicie pytać.

- A jeśli nie wrócisz? - wyraził obawę Lamath.

Wszyscy nadstawili uszu.

Wan wsparł ręce na biodrach i przechylił głowę.

- Myślicie, że nie wrócę? - zapytał wyzywająco. Nikt nie ośmielił się potwierdzić. - Może się i tak zdarzyć. - Ciągnął łagodniejszym tonem. - Przybyłem do Wanimy, żeby uczyć. Jeżeli rzeczywiście nie wrócę, będziecie w stanie przekazywać dalej moją naukę. Sztuka walki przetrwa. Już teraz szerzy się bez mojego udziału. - Opuścił ręce wzdłuż ciała. - To by było na tyle. Wracajcie do pracy. Hadril, daj mi nóż.

Młodzieniec wykonał polecenie. Tancerze utworzyli koło. Orilys zaczęła głośno odliczać urywanym głosem.

Ryke przeskoczył płotek - prędko, aby go przypadkiem ktoś nie przywołał. Nie był czirisem; miał w głowie inne pragnienia i z tego się cieszył. W jego marzeniach naczelnie miejsce zajmował Errel, a Kol Istor leżał w grobie. Poszedł do szopy z narzędziami, gdzie stały motyki.

Przez cały dzień pracował w polu. I nawet mu się podobały uderzenia motyki o ziemię, piski owadów w pszenicy, upał, bród, słony posmak potu na wargach. Kolację zjadł tak szybko, że umknęła jego uwagi nieobecność Errela w refektarzu. Wskoczył na dwór w pośpiechu. Nad jego głową przemknęła polująca sowa. Przez szpary w niebieskich okiennicach przeblyskiwało światło. Otwierając drzwi, Ryke czuł zapach palonego torfu. Errel siedział przed ogniem ze skrzyżowanymi nogami. Na gzymsie kominka paliły się dwie świece. Stojąca na taborecie lampka oliwna rzucała na deski krąg żółtego blasku. Całą podłogę zaśmiecwały wióry. Errel odwrócił się z siekierką w rękę: ostrugiwał drewniane łączyisko.

Aby włosy nie spadały mu na oczy, związał je skórzanym rzemykiem. Siekierkę trzymał w prawej dłoni, przy czym wykoślawiony palec najwyraźniej mu nie przeszkadzał. U jego stóp, niczym wąż, leżał sznur z nawoskowanych nici lnianych na cięciwy.

Errel trzymał łączyisko nieruchomo, pocierając kciukiem jakąś niedoskonałość. Ryke dostrzegał linie włókien, oddzielające twardziel od bielu; twardziel była biała, biel zaś - rudawobrazowy.

- Nie wiedziałem, że w tych lasach można spotkać cisy.

- A jednak. W składzie znalazłem dwa cisowe klocki. Jeden pochodził z powykęcianego drzewa, ale ten jest prosty. Nie każdy się nadaje. Jeśli pęknie... - Wskazał na ką przy łóżku. Stały tam cztery łączyiska. - ...spróbuję jeszcze z tamtymi. Są z sosiny. - Wziął zamach siekierką. Ostrze przejechało po drewnie ze śpiewnym odgłosem z taką dokładnością, jakby samo sobą kierowało.

Aby łuk był gotowy, należało poświęcić mu jeszcze dzień pracy. Łączyisko wytrzymało pełen naciąg cięciwy. Majdan łuku Errel obwiązał kozłą skórą, łączyisko białym pergaminem, by na koniec wymalować po obu stronach uchwyty czerwoną ośmioramienną gwiazdę, godło Tornoru. Natarta przegotowanym olejem lnianym, całość błyszczała i wydawała się w dotyku jedwabiem. Łuk stał obok łóżka niby lśniący wąż. Budząc się w mroku, Ryke wyobrażał sobie, że ten wąż się porusza. Kiedy jednak przecierał oczy, znów widział tylko kawałek natłuszczonego drewna.

Nazajutrz książkę przyniósł ze składu brzożową szczapę i wykonał dziesięć strzał. Usterzenie sporządził z indyckiego pierza. Zaopatrzone w pożyczoną od Maranth twardą szczoteczkę i pudełko z poduszką na tusz, usiadł w południowym słońcu i na każdej strzale oznaczył na czarno jedno pióro.

- Pójdiesz ze mną do stajni? - zwrócił się wieczorem do Ryke'a. - Będę strzelał do tarczy.

Dikta zaprzęgła konia do wozu, na który następnie wrzucili cztery powiązane bele siana. Ryke wdrapał się na kozioł.

- Dokąd teraz? - zapytał.

- Jedźmy dróżką do wiatraka - polecił Errel.

Ryke cmoknął na konia. Zryta kolejnami dróżka nosiła ślady przejazdu wielu wozów. Na wybojach podskakiwały bele siana. Zanim dojechali do wiatraka, Errel wskazał dwie wysokie brzozy o listkach oklapniętych od spiekoty. Ryke cofnął wóz pod drzewa i zepchnął siano na ziemię. Potem oparł bele o drzewa.

Errel odmierzył krokiem odległość strzelania. Umocował strzałę, naciągnął cięciwę i wypuścił pocisk. Strzała obracała się w powietrzu, aż wbiła się głęboko w siano. Księżę zużył cały zapas. Ryke czekał, póki Errel nie zdjął cięciwy z drzewca. Dopiero wtedy podszedł do celu. Wszystkie strzały utkwiły niedaleko środka, lecz żadna tak blisko jak pierwsza. Ryke wyrwał je z siana. Dawniej Errel umieszczał sześć strzał w takiej odległości od siebie, że nie sposób było wcisnąć między nie dłoni.

\*\*\*

Zjawiła się Chayatha.

Ryke i Sorren leżeli w niszy na porośniętym koniczyną stoku. Barwiarka zjechała wąską ścieżyną na chudej łaciatej klaczy. Zwierzę miało sierść w czarne, rude i białe plamy, jakby i ono zostało ufarbowane.

- Pewnie już nadjechali kupcy - powiedziała Sorren, ssąc palec. - Cholerne kolce! - Ukłuła się przy zbieraniu jagód. Z zemsty połknęła ćwierć zebranych owoców, nim przyniosła worek do kuchni. Miała niebieskie usta i czubki palców.

- Ciągłe krwawi?

- Nie, już przestało. - Położyła się z powrotem w trawie. - Tak się obżarłam, że nie chce mi się stąd ruszać.

- I kto tu się wałkoni? - spytał Ryke.

Uśmiechnęła się do niego z ukosa. Na policzku rozmazała jej się niebieska plama.

- Na północy nie będzie jeszcze jagód - dodał.

- Wiem. - Już rano oznajmiła mu, że pojedzie z nimi, jeśli Errel się zgodzi.

Ktoś się do nich zbliżał. Ryke uniósł się na łokciu. Na widok Norres również Sorren się podniosła. Uklepała trawę obok siebie i poprosiła przyjaciółkę, żeby przy nich usiadła.

Norres potrząsnęła przecząco głową.

- Pomyślałam sobie, że pójdziesz ze mną przywitać się z Chayathą. - Popatrzyła na Ryke'a wzrokiem, który mówił wyraźnie: Ty zostań. Peszyło go spojrzenie jej szarych oczu. Odwrócił głowę.

Sorren stęknęła.

- Jestem taka najedzona...

Norres odwróciła się bez słowa. Sorren zerwała się na równe nogi.

- Czekaj! - Dogoniła drugą kobietę i objęła ją ramieniem. - Nie powiedziałam, że nie, kochanie. - Zeszły razem ze stoku.

Ryke położył się wygodnie na plecach. Przez cały ranek rozmyślał o Tornorze, odbudowując w wyobraźni wygląd zamku, lecz nie udało mu się ta sztuka do końca. Napominał się w duchu, że nie powinien zaprządać sobie tym głowy. Tornor nie ucieknie. Bał się jednak tego, że zaczynał zacierać się w jego pamięci. Zupełnie tak, jakby twierdza, a wraz nią cała północ, odsuwała się gdzieś do krainy legend.

Z chaszczy wypadła pardwa z pełnym gniewu paniem. Ktoś jeszcze wspinał się na wzgórze. Hadril pomachał Ryke'owi ręką. Z niewiadomych powodów Wan właśnie jego wybrał na szóstego członka trupy czirisów. Zbliżał się teraz do niego bez butów i koszuli, za to ociekający wodą.

Padł na trawę z westchnięciem ulgi.

Ryke nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

- Co z tobą?

- Tańczyliśmy. Bez ustanku. Dopiero co skończyliśmy. Wylałem sobie chyba pół studni na głowę. - Przewrócił się na plecy. Na rękach i klatce piersiowej miał gęsią skórę. - Nie ma to jak słończko. - Wygiął się w biodrach, dając wyraz swej radości z prostotą zwierzęcia.

Ryke poczuł niewielką twardość w spodniach. Odwrócił wzrok, zażenowany.

- Aż trudno uwierzyć, że wyjeżdżam na północ - rzekł młodzieniec dźwięcznym głosem. - Słyszysz?

Kiedy Ryke ponownie spojrzął na Hadrila, ten siedział z kolanami podciągniętymi pod brodę.

- Powiem ci w zaufaniu coś, o czym wolałbym nie rozmawiać z nikim innym w dolinie - ciągnął Hadril nieśmiało. - Wiem, że tak się nie godzi i że to naruszenie praw czirisów, ale ja chcę zobaczyć wojnę.

- Jeszcze ją zobaczysz.

- Przyjechała Chayatha.

- Wiem. Widziałem ją.

- Zabarwi włosy Errela na czerwono.

- Po co?

- Powiedziała, że dzięki temu trudniej będzie go rozpoznać.

Ryke rąbnął pięścią w ziemię.

- Durni południowcy! - W czerwonych włosach każdy go z daleka zauważy w Tornorze. - Cholera! - Przetoczył się na bok i poderwał na nogi, płosząc pardwę, która znów wypadła zaciętrzewiona ze swego gniazda.

Przyspieszonym krokiem udał się do domu Wana i Maranth. Errel siedział na krześle w jasnoczerwonej koszuli. Krótko obcięte włosy sterczały na wszystkie strony w natłuszczonych kosmykach. Sproszkowana henna wyglądała jak zielone błoto i pachniała jak lucerna. Wan, którego wszystko ciekawiło, przyglądał się z boku zabiegom Chayathy. Ryke zapomniał już, jaka jest wysoka. Wolałby się nie wdawać z nią w kłótnię.

- Każdy będzie na niego patrzył - powiedział.

- Owszem, ale zamiast twarzy zobaczy tylko włosy i ubranie. Rozumiesz już?

Ryke niechętnie przyznał jej rację.

- A jeśli Kol cię rozpozna? - zapytał Wana. - Albo ciebie? - zwrócił się do Sorren.

- Nie da rady - odparła zapytana. - Noszę dłuższe włosy. Poza tym nie wyglądam jak gianin, ale jak zwykła kobieta.

Norres rzadko będzie się odzywać, więc Kol nie pozna jej po głosie. Głównie to ja będę mówić.

- Jak zwykle - wtrąciła Chayatha.

Do izby weszła Amaranth i zaraz skrzywiła nos.

- Ale tu śmierdzi! Co robicie? - Zachichotała, usłyszawszy wyjaśnienie Chayathy. - W co chcecie go zmienić? W ogień?

Wieczorem Wan, Maranth, Sorren, Norres, Hadril i Errel tańczyli na majdanie, żegnając mieszkańców doliny. Z pochodni leciały iskry w puste, bezksiężycowe niebo. Miedzianorude włosy nadawały Errelowi groteskowy, niezemski wygląd. Ryke'a zżerał niepokój. Przechadzał się tam i z powrotem, nie mogąc usiedzieć wśród widzów. Publiczność oglądała przedstawienie w ponurym nastroju, zupełnie jakby ktoś umarł.

- Co mówią karty? - zapytał Ryke księcia, kiedy wrócili do chaty.

Spodziewał się po Errelu jakiejś cierpkiej uwagi, nawet śmiechu czy słów: „przecież ty w to nie wierzysz”. Księżę otworzył jednak kufer. Wygrzebał worek podróżny, który zabrał z Tornoru, aby wyciągnąć z niego talię owiniętą czerwoną jedwabną chusteczką. Przetasował karty. Ich kolory wyblakły od częstego używania. Z tyłu na każdej widniał ten sam rysunek czerwonej gwiazdy na białym polu. Gdzieś tam gdzie biel poszarzała. Ryke zastanawiał się nad ich wiekiem.

Errel rozłożył karty na podłodze przed kominkiem. Ogień strzelił żywiej w palenisku. Ryke wpatrywał się w obrazki. Dopiero teraz dostrzegł ich piękno. Koń na karcie z posłańcem zdawał się poruszać. Ryke nie miał pojęcia, czego chciałby się dowiedzieć. U stóp króla stał czarny wilczur, podobny do psa Athora. Był wyrysowany szczegółowo, z wielkim staraniem. Ryke szukał w kartach twarzy Kola.

- Oto przeszłość - oznajmił Errel. - Król odwrócony. Oznacza niewolę lub utratę dziedzictwa. Kolo oznacza przypadek, figiel losu, zbieg okoliczności. Posłaniec to nowy pomysł, niespodziewana wiadomość albo pomoc z zewnątrz. Odwrócona królowa oznacza biedę, zastój i wojnę.



Na wszystkich tych kartach widać rękę Kola, pomyślał Ryke.

- Co jeszcze? - rzekł pośpnie.

Errel skupił uwagę na drugim rzędzie kart.

- Astrolog. Opracowywanie planów lub wyjście na jaw prawdy. Iluzjonista wróży nieporozumienia, złudne nadzieje, złą ocenę sytuacji. Słońce oznacza spełnione pragnienia. Nasze plany są po części szalone, lecz nie na tyle, aby nie mogły się powieść. Łucznik to chęć sprostania wyzwaniu i podjęcie decyzji. - Został już ostatni rząd kart. Spod jego ręki wilk łypnął groźnie okiem. Niewątpliwie oznaczał Kola. - Wilk. Kochankowie. Pragnienie lub żądza może pchnąć kogoś z nas do nieoczekiwanych działań. Orzeł. Ktoś się poświęci za innych. Wieża. Nowy porządek rzeczy.

Strzelista wieża z obrazka waliła się w gruzy, rażona piorunem. Ryke ujrzał w wyobraźni zgliszczą Wieży Czat, a pośrodku ruiny grób Kola Istora. A jednak nie chciał, żeby Kol zginął taką śmiercią. Wolałby sam go zabić.

- Czy to nam wróży zwycięstwo w wojnie? - spytał.

Errel zgarnął karty i owinał je chustką. Pierścień z rubinem potyskiwał w blasku ognia.

- Nigdy nic nie wiadomo. - Zerknął na łuk stojący w kącie. - Karty rzadko przesądzają sprawę - rzekł na pół ironicznie. - Przynajmniej nie mówią, że przegramy.

Nad kratką ochronną przeleciała iskra i spadła koło jego ręki. Polizał kciuk i ją zgasił.

\*\*\*

O świcie wyruszyli w podróż.

Obudził ich Wan lekkim pukaniem w drzwi. Errel natychmiast stoczył się z łóżka. Ryke zastanawiał się, czy książkę w ogóle spał w nocy. Może czekał na rano bez zmrużenia oka? Wyszedł nago na poddasze i zawołał cicho Norres i Sorren.

- Zaraz schodzimy - odparła któraś z nich niewyraźnym głosem.

Gołębie gruchały wesoło pod dachem. Ryke podrapał się po twarzy.

Wyciągnęli ze skrzyni ubranie i worki podróżne. Włożyli skórzaną i wełnianą odzież. Wełna pachniała cedrem. Materiał był sztywny, szorstki i ciepły. Ryke usiadł na skrajku łóżka, zmagając się ze swoimi butami jeździeckimi. Kiedy wstał, obcasy pochyliły go do przodu. Czuł się wytrącony z równowagi. Errel wdział czerwoną koszulę, którą dostał od Maranth. Była tylko trochę za duża. Z krótko przyszczyżonymi czerwonymi włosami wyglądał na cudzoziemca. Żeby tylko Kol bliżej mu się nie przyjrzał.

Ryke ochlapał twarz wodą. Dokuczwała mu senność. W nocy mało spał, rozmyślając nad planem; poszukiwał w nim luk i usterek. Nie mógł pogodzić się z myślą, że coś może pokrzyżować im szyki. Rozchylił okiennice. Niebo było jeszcze czarne na zachodzie, lecz na wschodzie światło poranka malowało już szczyty gór. Na północy jedna jedyna gwiazdka błyszczała niczym latarnia.

Sorren i Norres zeszyły wreszcie z poddasza: pierwsza uśmiechnięta, druga zaś, zasepiona i niezwykle milcząca, patrzyła zimnym, przygasłym wzrokiem. Ryke przypomniał sobie tamtą chwilę na zamku Berenta Jednookiego, kiedy po raz pierwszy wspomniała o Wanimie. Nazwała ją domem. Zdjął koce z łóżka, mając świadomość, że robi to po raz ostatni. Errel pomógł mu wywiesić je na podwórzu. Norres stała przy kominku z rękami w kieszeniach. Sorren patrzyła na nią z wyrazem zniecierpliwienia na twarzy.

- Skończyłabyś z tymi dąsami - powiedziała.

Poszli do refektarza. Z dachów i ciernistych krzewów dolatywały ptasie trele. Drzwi chat były otwarte na oścież, ludzie wyglądali na drogę.

- Żegnajcie - rozległy się w ciszy poranka ich ciche słowa. - Szczęśliwej podróży. Wróćcie kiedyś. - Nikt co prawda nie ronił łez, lecz Ryke kilka razy słyszał, że niektórym zbiera się na płacz. Dorian pomachał im z okna strychu. Drewniane podeszwy butów zostawiały w kurzu drogi małe półksiężycowate ślady. Kot Maranth skradał się przy

ziemi, strzygąc uszami, obojętny na przytłumione głosy, które niosły się wczesnym rankiem. Polował na jaszczurkę.

Norres wzięła go na ramiona. Najpierw się wywijał, lecz w końcu usadowił wygodnie i zamruczał z zadowoleniem. Polizał ją po policzku. Wtedy go puściła. Przy studni stała Chayatha. Uściskała Norres i Sorren, szepcząc im do ucha coś, czego Ryke nie dosłyszał. Potem zwróciła się szeptem do Errela. Książę pokiwał głową. Na koniec popatrzyła na Ryke'a. Nosiła kolorową, poplamioną suknię, która pachniała lekko barwnikami.

Przyglądała mu się uważnie. Tym razem nie miała kapelusza. Jej włosy, podobnie jak u Wana, były trójkolorowe: czarno-czerwono-żółte. Szturchnęła go w pierś twardym, kościstym palcem.

- U końca drogi odnajdziesz przedmiot swoich tęsknot - rzekła. - Uważaj, czego pragnie twe serce.

Dreszcz przeszedł mu po plecach. Przypomniała mu się stara Otha: zielarka, która zawsze mruczała zaklęcia nad garami.

- No, chodźcie już! - ponagliła ich Sorren.

Odwrócili się od studni i ruszyli za nią do refektarza.

Ryke obejrzał się, gdy wchodził do środka. Chayatha ciągle stała przy studni, odprowadzając ich wzrokiem. Cieszył się, że w półmroku nie widać jej oczu.

W kuchni przygotowano dla nich żywność: ser, suszone mięso, świeże i zasuszone owoce, pełne bukłaki z wodą. Maranth rozmawiała w kącie z Simmelą, żywo gestykulując. Nieopodal stała smutna i milcząca Amaranth. Ryke zastanawiał się, czy dziewczynka boi się nadchodzącej samotności. Usłyszawszy tętent kopyt, wyrzwał na drogę. Dikta prowadziła rzędem siedem osiodłanych wierzchowców. Ryke poznał kasztanowego ogiera, który wiercił się niecierpliwie na końcu szeregu. Amaranth rzuciła się ojcu w ramiona. Przytulił ją, pogłaskał po głowie, wyszeptał kilka czułych słów. Ryke podszedł do koni z bukłakiem w ręku. W ubraniu do jazdy czuł się jak w skorupie. Odebrał od Dikty cugle siwego wałacha. Z refektarza wyszedł Hadril. Oczy błyszczały mu zapalem. Ryke wspiął się na siodło. Kasztan obracał

się niesfornie, by raptem parsknąć ze zdumienia, gdy Errel trzepnął go ręką.

- Stójże, ty ośli pomioocie!

Maranth wyszła z Wanem na drogę. Ich skórzany strój jeździecki, zaplamiony i połatany, wyglądał tak, jakby długo przeleżał w skrzyni. Dosiedli wierzchowców.

- W drogę! - zakomenderował Wan, spinając do marszu swego szarobrzowego ogiera. Ruszyli w górę ścieżką.

Ryke obejrzał się na ciemne, uśpione pola. Jedyłą oznaką życia był sokół spadający na swoją ofiarę.

## Rozdział 13

Wan jechał na czele. Niebawem zostawili za sobą dolinę. Wśród zboczy było chłodniej. Wieczorem mgła osnuwała wierzchołki. Ryke cieszył się, że grzeje go porządne wełniane ubranie.

Pierwszego dnia kluczyli z mozołem między skałami. Zatrzymali się na postój w piaszczystym wąwozie, który musiała wyżłobić w pradawnych czasach jakaś rzeka. Errel znalazł uschnięte drzewko, które wyciągnął ze skalnej kryjówki. Ryke wyszukał niewielki dołek i rozpałił w nim ognisko. Wszyscy grzali się ochoczo przy ogniu. Suche drewno łatwo się paliło. Nisko nad ziemią ścieliła się mleczna mgła.

Nawet w ciepłej wełnianej burce Maranth trzęsała się z zimna.

- Czy przez całą d...d...drogę na północ będziemy tak marzli?

- Nie - odparł Errel. - Zrobi się ciepłej, kiedy minimy góry.

- Oby jak najszybciej.

Ryke czuł już trudy podróży. Zastanawiał się, czy w tych skałach żyją jakieś stworzenia. Góry wyglądały tak, jakby ktoś ułożył je z wielu różnobarwnych warstw, zaczynając od dołu, a kończąc na szczytach. Ryke marzył o zaśnięciu, licząc uparcie pręgi i zarysowania. Dwukrotnie trafił rachubę i zaczynał od nowa. Sorren grzebała kijem w ognisku.

- Jest takie powiedzenie na południu - odezwała się. - W górach jest zimniej, bo sięgają bliżej nocy.

Maranth otuliła się szczelniej płaszczem. Norres wstała i odeszła w stronę koni. Wróciła z naręczem futer, wyciągniętych z juków.

- Połóżcie się na nich, a nie będzie wam zimno.

- Jedno pod spód i jedno na wierzch - dodała Sorren.

Maranth przycisnęła do twarzy gęste ciemne włosie.

- Ale, ale! - Zawahała się przy rozścielaniu futra. - A wam nie są potrzebne?

Sorren potrząsnęła przecząco głową.

- Mnie taki ziąb niestraszny. Urodziłam się na północy.

Ryke rozcierał ręce. Dokuczało mu zimno. Patrzył, jak Sorren i Norres okrywają się jednym wełnianym płaszczem. Skądś doleciało wycie dzikiego kota. Ha-dril zadygotał.

- Nie ma się czego bać - pocieszył Ryke młodzieńca.

- One nie zblizną się do ogniska. - Kot znów się odezwał, zupełnie jakby drwił sobie z jego słów. Konie parskały, strwożone. Ryke spojrział na Errela. - To była długa zima - powiedział.

Książę pokiwał głową. Blisko niego leżał łuk; wprawdzie bez nałożonej cięciwy, lecz zawsze w zasięgu ręki.

- Śpijmy - powiedział. - Jeśli podejdzie bliżej, konie nas ostrzegą. - Okrył się luźno płaszczem. - Ty też już śpij - zwrócił się do Hadrila, który zasunął kaptur na głowę i wyciągnął nogi do ognia.

Żar odpychał mgłę, więc leżeli w widnym miejscu, jednakże górujące nad nimi stoki były zakryte. Wyobraźnia podsunęła Ryke'owi obraz dzikiego kota, który skrada się ku nim bezgłośnie, wabiony ciepłem i zapachem ludzi.

Nakrył się płaszczem, strofując siebie w duchu za głupie myśli. Nie będzie przecież leżał i drżał przed nieznanym zagrożeniem jak smarkaty dzieciuch. Znów wlepił wzrok w warstwę skał. Ta była czerwona, ta zaś różowa niczym mięso ryby świeżo wyłowionej z rzeki, a tamta ot, płowóżółta jak brzuch żaby...

Zbudziły go straszne hałasy: kwiki konia, krzyki kobiety, wrzaskliwe rozkazy i ostrzeżenia, warczenie dzikiego zwierza. Skoczył na równe nogi, wyplątując się z płaszcza,

który złośliwie owinął mu się wokół kostek. W poprzedzającej brzask szarości ujrzał stojącego dęba kasztana, który miotał się na sznurze przywiązany do palika, a także bure stworzenie, mogące być tylko dzikim kotem. A jednak ich dopadł!

- Nie ruszaj się! - ryknął Wan do Norres, która rzuciła się do koni. Dał się słyszeć brzęk zwalnianej cięciwy.

Wierzchowiec zerwał się z uwięzi i pogalopował ścieżką w stronę, skąd przybyli. Kot padł na ziemię z brzuchem przebitym strzałą. Jego ciało zadrzżało kilkakrotnie, po czym zastygło w bezruchu. Ryke, będąc najbliżej, podszedł ostrożnie do zabitego drapieżnika. Rozdwojone i poszarpane uszy nie poruszyły się. Obszedł dookoła ciało. Krew ciekła z rany w brzuchu i wypływała z pyska. Zwierzę było szpetne, wychudzone po zimowych głodach.

- Musiał przymierać głodem - stwierdził Hadril. - Ledwie skóra i kości.

- I całe szczęście, bo inaczej nie wykończyłbym go tą strzałą - rzekł Errel, nadchodząc z tyłu. Wparł stopę w martwe ciało i wyszarpnął strzałą. Przypatrzył się jej z bliska. Brzechwa do połowy długości pobrudzona była krwią i sierścią. - Nie mam strzał z grotami. Brakło mi czasu, żeby je nałożyć. Nie sądziłem, że przyjdzie mi polować na coś większego niż szarak lub świstak.

- Spokojnie rozejrzał się w poszukiwaniu trawy do wytarcia strzały.

Ryke wrócił do swojego posłania i podniósł porzucony płaszcz. Ręce mu się trzęsły. Wypadki potoczyły się tak błyskawicznie, że nie zdążył nic zrobić. Norres uspokajała przerażone konie. Hadril, który puścił się w pogoń za zbiegłym koniem, pojawił się zdyszany na ścieżce.

- Nie chce się do mnie zbliżyć - zameldował.

- Trudno - powiedziała Norres. - Pójdzie za nami, a kiedy zgłodnieje, wróci do reszty koni. Nie znajdzie tutaj dużo trawy. Musisz się do kogoś dosiąść - rzekła do Errela.

- Poradzę sobie.

- Jedź ze mną - zaproponowała Maranth. - Jestem z nas najbliższa.

- Nie - zaproponowała Norres. - Ktoś powinien jechać razem z Ryke'em. Jego siwek nie jest narowisty i uniesie podwójny ciężar.

Sorren, która siedziała w kucki i zwijała futrzaną burkę, uśmiechnęła się szeroko do Errela.

- Ja usiądę z Ryke'em, bracie. Weź mojego konia.

Ryke dostrzegł zdumienie malujące się na twarzy Wana. Tancerz milczał, ale kiedy odwiązywali konie od paliaków, mruknął pod nosem:

- Bracie? Hm, to wiele wyjaśnia.

Sorren uśmiechnęła się do niego chłodno.

- Naprawdę?

Hadril krążył wokół ubitego drapieznika.

- Nie odkroimy sobie trochę mięsa? - zapytał, trącając go czubkiem buta.

- Chcesz ładować na konie dodatkowy ciężar? - zapytała Norres.

Errel chwycił cugle brązowej klaczy. Ryke pochylił się z siodła, aby pomóc przy wsiadaniu. Złapała go za łokieć z rezolutną miną. Siwek nie skarżył się na podwójne brzemie.

- Przesuń się do przodu - poprosiła Sorren. Gdy siadł odrobinę wyżej na końskim grzbiecie, przylgnęła do jego pleców. Jej włosy łaskotały go w szyję. - Tak lepiej.

- Ten kot pewnie chorował i ma żylaste mięso - rzekł Errel i dosiadł klaczy. - Zostawcie go na żer zwierzętom.

- Dla mnie to i tak marnotrawstwo - stwierdziła Maranth.

Otoczające ich obłoki z wolna rzedły. Wan podążył już ścieżką. Wzruszyła ramionami i cmoknęła na konia. Za nią ruszyła Norres, a potem Errel i Hadril. Ryke z Sorren zamykali tyły, aby nie tarasować drogi, gdyby wafach szedł wolniej. Daleko za nimi parsknął kasztanowy ogier. Ryke usłyszał dźwięczny stukot kopyt na kamieniach.



\*\*\*

Około południa minęli wreszcie pogórze. Rozchodzące się chmury odsłoniły niebo - wcale nie błękitne, ale mające osobliwy pastelowy odcień lawendy. Aby wytłumaczyć, gdzie dokładnie się znajdują, Wan wyciągnął mapę podobną do tej, którą ongiś rozwinął u siebie w domu, tylko że nieozdobną i mniejszą. Ryke'a nadal bolały nogi w udach, lecz reszta ciała nie odczuwała trudów podróży. Zapytał Wana, gdzie jest na mapie wioska Chayathy.

- Nie została zaznaczona - odparł Wan - ale musi być gdzieś... tutaj. - Przesuwał kciuk po mapie. - Dwa dni drogi stąd na wschód. - Schował mapę do torby.

Siedzieli na niewielkim pagórku. W stronę zachodu i południa ciągnęły się płowe wzgórza. Północ zaszyła szarością. Na wschodzie leżał krecną czarny cień. Ryke sądził, że to lasy.

Tu i ówdzie step przystrajały skrawki zieleni: korony karłowatych sosen. Na widnokregu wił się kosmyk dymu, brązowy na tle lawendowego nieba.

- Pewnie wioska - rzekł Errel. - Jedźmy tam!

Sorren wskazała kciukiem kasztanowego ogiera.

- Myślicie, że można by teraz złapać tego konia?

Ogier spozierał na nich, tupiąc kopytem w twardą ziemię.

Norres podjęła się przyprowadzić ogiera. Wstała i ruszyła do zwierzęcia, przemawiając do niego pieszczotliwym głosem. Poderwał ogon niczym flagę. Cofnął się sztywno dwa kroki z oczami błyszczącymi jak u źrebaka, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Norres wciąż go jednak uspokajała, aż w końcu opuścił ogon i pozwolił ująć się delikatnie za cugle.

Errel podszedł z siodłem i uzdą.

- Dziękuję - powiedział, chwytając sznur. - Ejże, ty podłoto! Nie wrywaj się! - Położył ogierowi dłoń na chrapach i włożył mu do pyska wędzidło.

Okazało się, że dym nie pochodzi z komina w wiosce,

ale z samotnej zagrody: sędziwego domu z szarego kamienia, z dobudowaną stodołą. Zaorane pola błyszcząły tak, jakby posypano je kawałkami kryształów: pocięta lemieszem kamienista gleba skrzyła się w blasku słońca. Gdy zbliżyli się do zagrody, zza stodoły wybiegł pies. Ujadał i wywieszał jęzor, lecz trzymał się w rozsądnej odległości od końskich kopyt. Przed dom wyszła kobieta.

- Do nogi, Grip! - zawołała. Pies natychmiast do niej podbiegł. Nosila brązową wełnianą opończę, a włosy miała zaplecione w długi warkocz, zgodnie ze zwyczajem przestrzegającym na północy przez szanujące się żony. - Witajcie! - powiedziała czystym północnym akcentem.

Wyglądała na młodą osobę, co musiało oznaczać, dumiał Ryke, że niedawno była jeszcze dzieckiem.

- Zdążacie do miasta? - zapytała.

Sorren odpowiedziała twierdząco w szorstkiej, północnej mowie, tak różnej od melodyjnego sposobu mówienia ludzi na południu.

- Możemy napełnić bukłaki wodą? - wskazała na podwórko, gdzie obok kurnika sterczał ostry daszek studzienki.

Kobieta wydeła wargi i kiwnęła głową w geście przyzwolenia. Ryke i Hadril zsiadli z koni.

Pies warczał wrogo z sierścią zjeżoną na karku.

- Uspokój się! - uciszyła go właścicielka.

Mieli do napełnienia cztery z siedmiu bukłaków. Hadril omiół wzrokiem samotne zabudowania. Gdy podeszli do studni, zaskrzypiała okiennica i z domu wyrzwał jakiś stary człowiek. Trudno było odgadnąć czy to kobieta, czy mężczyzna. Z dala doleciało żalosne pobekiwanie owiec.

- Słyszę owce, czuję owce, ale ich nigdzie nie widzę - rzekł młodzieniec. Skosztował wody. - Dobra.

- Pewnie są zamknięte w stodole.

Pełne bukłaki były dość ciężkie i Ryke zmęczył się, nim doniósł je do koni czekających na drodze. Usłyszał za sobą trzask zamykanej okiennicy. Mijając Sorren i miejscową kobietę, zwrócił uwagę na słowa tej ostatniej:

- Zabity? Jesteś pewna?

- Byłam przy tym.

Kobieta klasnęła w dłonie i, ręczo niczym sarenka, po-  
pędziła do stodoły.

- Co jej powiedziałaś? - spytała Maranth.

- Dziki kot pożerał owce z trzody. Zagryzł trzy psy.

Dwa dni temu usłyszeli go w nocy i zamknęli zwierzęta w  
stodole. Jej mąż wybrał się na łowy. Czeka na jego powrót.  
Powiedziałam, że zabiliśmy zwierza, który wyglądał na wy-  
glądzonego. Z pewnością nie zjadł człowieka.

Ryke przytroczył bukłak do grzbietu wałacha.

- Patrzcie! - odezwał się Hadril. Odwrócili głowy,  
aby przyjrzeć się, jak owce wylewają się wartko w step na  
podobieństwo białej rzeki. Za nimi pognął szczekający pies.

Mijali następne gospodarstwa. Musiało tu zdrowo po-  
padać: gdzieniegdzie pola uprawne były zrytymi prostoką-  
tami czarnego blocka. Wan oraz czworo mieszkańców pół-  
nocy jechali z opuszczonymi kapturami, tylko Maranth i  
Hadril uskarżali się na zimno i przykrywali głowy. Ruń na  
miedzach i pastwiskach wciąż miała jasne, wiosenne kolory:  
nie uzyskała jeszcze bujnej, soczystej zieleni lata. Ryke roz-  
glądał się z siodła z satysfakcją. Tak właśnie powinna wy-  
glądać wiosna. Późnym popołudniem wjechali do wsi. Była  
tu kuźnia, garbarnia, rzeźnia i maleńki placyk służący za  
majdan, gdzie drewnianymi mieczami pojedynkowali się  
dwaj chłopcy. Wan natychmiast podjechał bliżej, aby się im  
przyjrzeć.

Zjawił się naczelnik wioski, chcąc z nimi porozmawiać.  
Co rusz popatrywał na Maranth. Zapytał uprzejmie, kim są i  
dokąd jadą. Nie mogli być oczywiście kupcami, bo nie mieli  
wozów. Naczelnik oznajmił, że nie ma u nich gospody, jest  
natomiast pusta stodoła, gdzie zwyczajowo nocują przejezd-  
ni - z przegrodami dla koni i przestronnym poddaszem.

Errel mu podziękował. Zaprowadzili zwierzęta do sto-  
doły i wytarli je słomą.

- Czemu tak się na mnie gapił, do licha? - spytała Maranth. - Zachowywałam się jak przystoi kobiecie z północy i nic nie mówiłam.

Errel parsknął śmiechem.

- Prawdopodobnie nie widział w życiu nikogo, a już zwłaszcza kobiety, o tak ciemnej skórze.

- Daleko jeszcze do twierdzy Pel? - spytał Wan.

- Trzy dni drogi przez step - odparł Errel.

A więc nie zostało im dużo. Ryke uśmiechnął się, czyszcząc grzywę wałacha.

W stodole czuć było stęchliznę. Norres znalazła wiadro z kilkoma cegłami i rozpalili na zewnątrz ognisko. Wan zaciekawił się, z czego zrobiono cegły.

- Z torfu i łajna - wyjaśnił Ryke.

Sorren wydebiła miednicę od sąsiadów. Nalała do niej wody, po czym wszyscy po kolei wypłukali twarz, ręce, a na koniec nogi. Po niebie rozlały się różowe i pomarańczowe smugi. Ryke wsparł brodę na rękach i skierował wzrok na północ. Wmawiał sobie, że oto na pustym widnokregu widać zarysy odległych gór.

Wiatr dmuchnął mu dymem w twarz. Zakaszłał i usiadł. Sorren dała mu kawałek twardej jak podeszwa suszonej dzicyzny.

- Szkoda, że nie ma tu łóżek - powiedział Wan.

Maranth zaśmiała się cicho.

- Pamiętam, jak wyjeżdżaliśmy z Kendry. Wędrowaliśmy cztery dni przez kraj Asechów do Szananu. Byłam taka zmęczona, że musiałeś mnie przywiązywać do konia. - Szturchnęła go w bok bosą stopą. - Pokochałeś wygodę, skarbie.

Skrzywił się.

- Naprawdę? - Odwrócił się do Errela. - Jak obiecałeś naczelnikowi zapłacić za gościnę?

- Na północy nikt nie odmawia schronienia podróżnemu.

Wan powstał z błyszczącym wzrokiem.

- Może i nie, ale czerwony klan umie się odwdziżyć. Wstańcie.

Majdan był za mały, aby oprócz tancerzy pomieścić jeszcze widownię. Naczelnik zaprowadził ich na placyk.

Ryke oparł się o studnię. Czuł się jak strażnik, który nie ma już przy czym pełnić straży. Tancerze zdjęli buty po krótkiej naradzie. Ktoś zapalił pochodnię. Włosy Errela połyskiwały niby zachodzące słońce. Stanęli w kole. Nawet Hadril wyglądał na zdrozonego, gdy jednak Wan zaczął tupać nogą, rytm pobudził tancerzy, tchnął w nich zapach. Kręcili się z werwą i wirowali, a chociaż w oczach mieszkańców Wanimy ten taniec mógłby się wydać prosty, tutejsi ludzie, którzy nie słyszeli nawet słowa cziris, patrzyli ze zdziwieniem na coś dla nich tak nowego. Tancerze przytupywali, potrząsali głowami i zginali swoje gibkie ciała. Kiedy znieruchomieli, w półmroku wokół placu rozległy się przytłumione szepty, wyrazy zdumienia i uznania.

Wrócili na podwórzec przy stodole. Do ogniska podszedł również naczelnik wioski. Zmrużył oczy, gdy owiał go dym.

- Przepiękny występ - stwierdził.

- Siądź z nami - zwrócił się do niego Errel, wskazując wolne miejsce.

- Nie - odmówił starzec. - Jesteście zmęczeni i musicie wypocząć. Chciałbym wam tylko... chciałbym powiedzieć... że nie widziałem czegoś takiego od dzieciństwa, gdy byłem jeszcze brzdącem mniejszym niż moje wnuki. Widziałem wtedy, jak w blasku słońca tańczą na stepie hodowcy koni. - Szarpał brodę w zadumie. - Powiedzcie raz jeszcze, jak się zwiecie.

- Czerwonym klanem - odparł Wan. - Czirisami, czyli tancerzami. Jedna taka grupa nazywa się cziras.

- Znać, żeście z południa. Poruszacie się niby dzikie konie. - Odszedł wolnym, drobnym kroczeniem.

Ryke poszedł do studni. Zbrzydł mu już posmak skóry, marzył o łyku wody źródlanej. Wiejski kundel, zwęszywszy obcego, zawarczał w drzwiach najbliższej chałupy. Gdy Ryke pochylał się, jakby chciał podnieść kamień, pies wystraszył się i położył uszy na wąskim, płowym łbie. Nieopodał zagrzechotały kamyki. Ryke odwrócił się. Jakiś cień zbliżył się do niego. Postać strząsnęła z głowy kaptur i wtedy okazało się, że to Norres.

Poprawił kabłąk wiadra. Przytrzymała sznur. Patrzyła nań zza czerpaka oczyma szarymi jak cyna. Zewsząd napływały zapachy smalcu, oleju, a także ostra octowa woń słabego miejscowego wina. Ryke znał jego smak. Na samą myśl o nim ślinka mu pociekła.

Odstawił wiadro i powiesił czerpak na haku. Wokół studni ziemia była rozmiękła, buty kłapały w błocie.

- Podkochujesz się w Sorren? - zapytała.

Zachodni wiatr targał włosy, zimna woda studziła zmysły. Zaczął nakładać kaptur. Norres wyciągnęła błyskawicznie rękę i chwyciła go za nadgarstek.

- Odpowiadaj! Chowasz coś przede mną?

Grał na zwłokę.

- Nawet jej nie dotknąłem. Zaśmiała się.

- Wiem, bo by ci nie pozwoliła.

Odpowiedział jej beznadziejnie głupio. I nawet nie na temat.

- Chyba ją kocham. Ale wiem, że ona mnie nie kocha. - Język mu stawał kołkiem. Rzadko się zastanawiał, jak to jest, gdy się ludzie kochają. W tej materii był jeszcze żółtodziobem.

Norres położyła dłoń na rękojęści noża. Przeszyła go bacznym wzrokiem.

- Przynajmniej ci ufa - powiedziała. - Zabiję cię, Ryke, jeśli wyrządzisz jej krzywdę. Przysięgam.

Wsunął pod pachy zmarznięte ręce.

- Nigdy bym jej nie skrzywdził.

Wrócili w milczeniu do stodoły. Nikt już nie siedział przy ognisku. Ryke wdrapał się po drabinie na poddasze i od razu kogoś potrafił.

- Przepraszam - powiedział. - Nic tu nie widać.

Przestępował nad nogami śpiących, aż znalazł wolny splot słomy. Gdzieś w okolicy zawył pies. Wyobraził sobie, jak zwierze krąży ostrożnie wokół dogasającego ogniska. Zzuł buty i schował stopy w ciepłej słomie. Czuł dławienie w gardle. Piekły go oczy. Nie wiedział, co się z nim dzieje, aż raptem łzy wypłynęły spod powiek. Zaskoczony, zacisnął wstydliwie zęby na przegubie. Poczuł smak wełny.

Zakrzuszył się. Przełknął ślinę, starając się zachowywać cicho w nadziei, że nikt na ciasnym, zamkniętym stryszku nie usłyszy jego płaczu.

\*\*\*

Drugiego dnia jazdy przez step Ryke ujrzał góry na północy.

Wydawały się szare i maleńkie na horyzoncie. Przypominały warstwę chmur, które jednak nigdy nie wisały tak nisko i niewzruszenie. Niebo było jasne i kryształowo czyste. Ten widok niezmiernie cieszył jego oczy. Wąłach wyrywał się naprzód, przejmując nastrój swego pana. Trzeba było co chwila ściągać cugle. Pomiędzy nimi a łańcuchem górskim rozciągała się płaska jak stół kraina - rozległe łąny bladozielonej trawy, która na mokradłach rosła bujniej, urozmaicona kępami tataraku o grubych pałkach, zwanych na wsi dziecięcymi miotełkami.

Trzeciego dnia zobaczyli z daleka twierdzę Pel. Wyrastała niczym pięść na tle ciemnych gór. Była większa od Tornoru. Od fundamentów zewnętrznych obwałowań aż po szczyty muru wewnętrznego pobielono ją farbą wapienną, przez co wyglądała jak wyciosana z jednego gigantycznego bloku skalnego. Gdy zbliżyli się na tyle, że widzieli już strażników na murach, wyjechał im na spotkanie konny oddział. Żołnierze przywdziali wojenny rynsztunek: skórzane pancerze, lekkie kolczugi, hełmy ozdobione herbem Sirone-na: trzema srebrnymi włóczniami na czarnym polu.

Wan przywitał się ze strażnikami. Dowódca oddziału nie wiedział, co to takiego cziras.

- Dajemy ludziom rozrywkę, podobnie jak kuglarze lub cyrkowcy - wyjaśnił Wan.

- Skąd jedziecie?

- Z południa.

Żołnierze przyglądali się trzem kobietom. Jeden z nich poderwał konia na zadnie nogi, aby zwrócić na siebie uwagę Sorren. Zignorowała go. Ryke próbował dojrzeć twarz Errel-a, skrzątnie ukrytą pod kapturem.

Radość wzbierała mu w sercu, gdy oglądał silne, dorodne wierzchowce strażników i ich dobrze utrzymaną broń. Z takimi zuchami śmiało można było wojować.

Jeden ze zwiadowców odprowadził ich pod mury zamku i krzyknął na wartowników. Maranth z zaciśniętymi ustami patrzyła na ogromną budowlę. Promienie słońca tańczyły po białej farbie. Ryke poczuł dym i gryzący zapach rozgrzanego żelaza. Zauważył, że niepotrzebnie męczy siwka, ściskając go kolanami. Odprężył się i poklepał konia po wygiętym karku.

- Już dobrze - uspokoił go i zadarł głowę.

Z góry patrzyli na nich żołnierze z włócznieami. Zamknął na chwilę oczy, aby wyobrazić sobie, że wrócili do Tornoru.

Otworzono im furkę.

- Wjeżdżajcie! - rzekł zwiadowca.

Ryke przepuścił swoich towarzyszy. Ich cienie poruszały się w ostrych zarysach na tle jasnych kamieni. Strażnicy z długimi włócznieami śledzili ich w ciszy z murów otaczających wewnętrzny dziedziniec. Pod sklepionym przejazdem czterech znudzonych żołdaków grało w kości. Chłopcy stajenni przybiegli po konie gości. Paż dał im znak, aby szli za nim. Ryke usłyszał klekot drewna o drewno. Na majdanie odbywały się ćwiczenia. Z komina nad kuchniami uchodziły kłęby dymu. Mężczyzna w skórzanym fartuchu pokrzykiwał przez okno na dwóch malców.

Podróżni zostawili swój dobytek przy koniach, tylko Errel postanowił nie rozstawać się z łukiem. Minęli drugą bramę i znaleźli się na wewnętrznym dziedzińcu. Koszary ledwo mieściły żołnierzy. Wszędzie unosił się zapach smaru do broni. Mężczyzna przechodzący pod ścianą budynku dostrzegł kobiety i krzyknął radośnie. Z okien na piętrze wyściubiła głowy dziesiątka żołnierzy.

- Witaj, złotko!

Pomieszczenia w twierdzy Pel przypominały te w Tornorze, tylko z tą różnicą, że tutaj wisały czyste gobeliny. Na podłogach leżała świeża trzcina, a na stołach stały kwiaty w wazonach. Zapachy kwiecica i ziela wierciły w nosie. Maranth pogłaskała ozdobną tkaninę.



- Świetna robota - przyznała z szacunkiem.

W komnacie znajdowały się dwa duże łoża. Ryke usiadł na jednym z nich i zdjął buty. Trzech służących wniosło do środka balię z wodą. Maranth poczekała, aż odejdą.

- W Tornorze jest tak samo? - zapytała. - Wszędzie ciemno i wszystko zrobione z kamienia?

Umyli twarze, ręce i nogi. Wnet zjawiała się młoda służąca, aby zabrać brudne ręczniki. Na jej twarzy malowało się zaciekawienie. Zafascynowały ją zwłaszcza czerwone włosy Errela, którego zmierzyła wnikliwym spojrzeniem. Paż przyniósł półmisek gotowanego mięsiwa. Ryke dostrzegł na stole mosiężny dzban. Poznał po zapachu, że w środku jest białe wino. Od miesiąca nie miał w ustach takiego specjału. Napełnił sobie kielich. Wino było silniejsze i bardziej gorzkie od tego, jakie zapamiętał. Hadril przyglądała się gobelinom. Scena na zachodniej ścianie przedstawiała zamek, szturmującą anhardzką piechotę i jeźdźców, którzy mieczami powstrzymywali ich napaść. Obrońcy nosili, szczegółowo oddane, godło twierdzy Pel.

To powinien być Tornor, pomyślał Ryke. I będzie.

Odwrócił się, żeby porozmawiać z Sorren, ale właśnie gawędziła z Norres. Na dziedzińcu psy czekały jak oszalałe. Ktoś na nie wrzasnął. Ryke żałował, że nie przydzielono czirisom komnaty z oknami na dziedziniec. Ciekawiło go, co tam się dzieje. Łyknął wina.

- Pijesz tylko i pijesz, Ryke - napomniął go Wan. - Zjadłbyś coś.

Ryke pochylił się nad półmiskiem. Hadril stanął obok niego z pewną nieśmiałością i podał mu kawałek zeberek.

- Dostanę miecz, nim pójdziemy walczyć? - spytał go na ucho.

- Oczywiście.

Ktoś zapukał do drzwi i zaraz je otworzył. Był to młody człowiek w srebrzysto-czarnym ubraniu, zwracający na siebie uwagę swym surowym, niemalże okrutnym wejrzeniem. Jego wzrok na dłuższą chwilę spoczął na Errelu. To pewnie

przez te czerwone włosy, pomyślał Ryke, trzymając nerwy na wodzy.

- Witajcie w twierdzy Pel - rzekł nieznajomy. Na prawej piersi kaftana miał wyszyte godło. - Mam na imię Arno, jestem dowódcą czwartej straży zamkowej. Pan przysłał mnie z pytaniem, czy nie zechcielibyście nas zabawić dziś przy wieczerzy.

- Po to tu przyjechaliśmy - powiedział Wan.

Arno wyszedł. Maranth przechadzała się po komnacie.

- Drętwy jakiś ten młodzik - skomentowała.

- Idziemy tam tańczyć, więc się nie obzerajcie - przestrzegł Wan czirisów.

Usiadł na łóżku, otaczając żonę ramieniem. Rozplecione włosy opadały jej luźno na plecy i ramiona. Sorren siedziała na miękkim, tapicerowanym krześle. Przetarła oczy kulkami. Przechwyciwszy spojrzenie Ryke'a, rozłożyła ręce.

- Te kwiaty mnie usypiają - powiedziała.

Po chwili nadszedł paż uginający się pod brzemieniem pakunków. Zabrał półmisek, a potem wrócił, żeby objaśnić świece. U jego lewego boku kołysał się nóż. Widząc to, Ryke przypomniał sobie Lera. Zastanawiał się, jak licznym wojskiem włada Sironen i czy wysłał żołnierzy na pomoc Podchmurnej Twierdzy. Przemierzał wzdłuż i wszerz komnatę. Errel siedział na łóżku i obracał na palcu pierścień. Ryke poruszył plecami, w których czuł już niejaką odrętwiałość. Zza drzwi doleciał tupot szybkich kroków, lecz zanim ruszył w tamtą stronę, nastąpiła cisza.

Hadril wyłamywał palce ze stawów.

- Proszę, przestań! - upomniała go Norres.

Woń gotowanej baraniny drażniła podniebienie. Ryke znów chodził od ściany do ściany. Sorren rzuciła w niego poduszką.

- Siądź wreszcie!

Podłożywszy sobie pod głowę poduszkę, Ryke ułożył się na pachnącej trzcina podłodze.

\*\*\*

Ściany sali biesiadnej były pogrążone w półmroku. W żelaznych obejmach płonęły co prawda lampki, ale ich blask padał głównie na sufit. Ryke czuł się jak w grocie, gdy jako ostatni wszedł na salę. Głosy obecnych odbijały się głośnym echem od powały. Z sześciu stołów jeden stał na niewielkim podwyższeniu. Rozejrzał się po wnętrzu. Bładzi ludzie odpoczywali na ławkach, rozmawiając, kłócąc się, śmiejąc. Między rozłożonymi szeroko nogami stołów lawirowały psy.

Sironen siedział przy naczelnym stole na rzeźbionym drewnianym krześle. Na czarnej, gładkiej ścianie nad jego głową, wisiały trzy złote włócznie. Wyglądały na lite, a nie platerowane lub z arkusza. Ryke zastanawiał się czy przetopiono monety, by zdobyć tyle złota. Sironen miał na sobie czarną i srebrną odzież, podobnie jak jego poddani. Dowódcy straży siedzieli po bokach z trzema kobietami. Ta, która zajmowała miejsce na lewo od Sironena, musiała być jego żoną. Nosiła suknię w tym samym odcieniu czerwieni co koszula Errela, a włosy upięła w strojny węzeł na czubku głowy. Na twarz nałożyła warstwę białego pudru. Ryke'owi zdała się piękna. Pozostałe kobiety były do niej podobne, ale młodsze. Sironen wyraźnie się postarzał od chwili, gdy Ryke widział go po raz ostatni. Włosy mu posiwiały, a jednak nie wydawał się skołatany wiekiem: plecy miał proste niczym pień dębu. Przez jego prawy policzek biegła długa czerwona blizna, prawdopodobnie od cięcia mieczem.

- Chcecie nas uraczyć jakąś południową rozrywką? - zapytał. - Zatem do dzieła!

- Tak, panie - odparł Wan.

Ryke cofnął się, a czirisowie stanęli w kółku przed podwyższeniem, gdzie było trochę wolnej przestrzeni. Wan zaczął tupać butami. Obcasy klekotały głośno na kamieniu. Żołnierze wyciągali szyje, aby lepiej widzieć. Niektórzy wstali z ławek i klaskali do rytmu. Wan przerzucił Maranth nad głowę ku radości gawiedzi. Tancerze łączyli się, okręcali,

podskakiwali. Korytarzem z kuchni napłynęła ława służących. Dowódcy uśmiechali się szeroko na podwyższeniu. Tancerzom poczerwieniały policzki. Kiedy z głośnym okrzykiem zakończyli taniec, żołnierze powstali, uderzając rękoma o stoły. Na podłogę spadła z brzękiem moneta, potem druga i trzecia, aż w końcu u stóp wykonawców ściełił się dywan srebrników. Na rozkaz Sironena dwóch pachotków wyskoczyło przed stół i zebrało monety do srebrnej miski. Wręczyli ją Wanowi.

- Łapcie! - Sironen rzucił okrągły, złoty pieniążek, który zamigotał w powietrzu, nim Wan zręcznie chwycił go w locie. Żołnierze wiwatowali i tupali nogami.

- Miejsce dla gości, barany! - Nad ławami ochoczo wyciągano ramiona. - Dajcie im wina! Po takim wysiłku chce się pić.

- Chodź, usiądź z nami - zwrócił się do Ryke'a grubas w brązowej koszuli, dając mu znaki ręką. - Przyjechałeś z nimi. - Zepchnął na boki siedzących obok niego żołdaków, którzy przesunęli się bez szemrania. - Do diaska, mnie w gardle suszy na sam widok tych podrygów. - Uśmiechnął się do Ryke'a. - Nazywam się Torib, a ty coś za jeden? Mam wrażenie, że pochodzisz z północy.

- Ryke.

- I mówisz jak nasz człowiek. Gdzie się urodziłeś?

- Niedaleko Tornoru.

- Hejże! - Torib wyciągnął rękę i złapał za fartuch przechodzącą w pobliżu służącą. - Umieram z pragnienia, ślicznotko - poskarżył się. - Przyniesz nam trochę wina. - Pogłaskał ją po pośladku, jakby była koniem, i odepchnął od siebie. - Niedaleko Tornoru, powiadasz? Wiesz chyba, co się tam wydarzyło?

- Coś niecoś słyszałem.

- Aha. Ponoć ten łajdak z południa chciał utrzymać wszystko w tajemnicy, lecz wieści już się rozeszły. Gdzie mieszkałeś na południu?

Ryke nie miał ochoty odpowiadać na pytania. W większości przypadków i tak musiałby skłamać.

- W górach - odparł z wahaniem. - A ty skąd pochodzisz?

- Przyszedłem na świat pół dnia drogi od bram tego zamku - odparł Torib. - Gdzie się podziała ta dziewczucha, do licha? Oho, już tu idzie. Matula twierdziła, że moim ojcem był demon z mokradeł. Była pasterką i zawsze lubiła udawać, że jest kimś ważnym. Dzięki, ślicznotko. - Chciał obłapać dziewczynę, lecz mu się wywinęła, zostawiając na stole dzban wina i zastęp kubków. - Niedaleko Tornoru, no proszę. Byłeś kiedyś żołnierzem? Wyglądasz mi na takiego.

'Służący postawił przed nimi talerz z pieczoną baraniną. Ryke odchrząknął.

- Walczyłem z Anhardczykami - powiedział.

- Co ty powiesz? Zdrówko! - Stuknęli się kubkami. - Wtedy to się dopiero kotłowało! Wiesz, że brałem udział w bitwie, podczas której ubiliśmy tego ich wodza, łotra nad łotrami? Widziałem, jak Athor z Tornoru wysadza go z siodła. - Rozpoczął opowieść urozmaiconą żywą gestykulacją i sugestywnymi dźwiękami, z rzadka tylko przerywaną, gdy przeżywał jedzenie.

Po kolacji wrócili do sypialni. Sorren usiadła na wyścielanym krześle.

- Musiałam zdzielić jednego drania w gębę, bo mnie podszczypywał - powiedziała. - Zapomniałam już, jak to jest, kiedy wszyscy patrzą na ciebie jak na kobietę.

Ryke podszedł do stołu. Kiedy nalał sobie kubek wina, do komnaty zajrzał Arno.

- Spodobał się bardzo mojemu ojcu - oświadczył. - Pyta, czy zostanieie jeszcze parę dni.

Wan spojrział porozumiewawczo na Errela.

- To zależy - rzekł ten ostatni.

Arno przyjrzał mu się, mrużąc oczy. Ryke odstawił kubek. Errel przemierzył komnatę i pokazał coś przybytemu. Ryke wiedział, że to pierścień z rubinem.

- Zaniesiesz go ojcu tak, żeby nikt inny go nie widział? - spytał Errel.

Dowódca straży zmarszczył brwi.

- Mam być chłopcem na posyłki wędrownego cyrkowca?

- Zrób, o co cię proszę, komendancie - rzekł Errel głosem słodkim jak miód. - To rzecz wielkiej wagi.

Arno wyszedł sztywno. Sorren prychnęła wzgardliwie.

- Ależ pyszałek! Tylko pomyśleć, że gdybym była w Tornorze przykładną dziewczyną, mogłabym dostać go za męża.

Zdjęła wstążkę; na czas tańca każdy z czirisów upodobił się do Wana, wpinając we włosy czerwoną tasiemkę. Tylko Errel miał na to za krótkie włosy. Uśmiechnął się z daleka do Norres.

Służący wniósł pełne węgla żelazne naczynie na trójnogu i skrzesał iskry na gałązki suszu. Już wkrótce Maranth mogła wyciągnąć do ognia zziębnięte ręce.

- Całkiem mi palce skostniały - powiedziała. Norres pochyliła na bok głowę.

- Słuchajcie... - W korytarzu rozległ się tupot butów. - Jest ich co najmniej dwóch - ostrzegła.

Do komnaty wszedł Arno. Służący natychmiast zniknął za drzwiami. Dowódca straży trzymał miecz, podobnie jak dwóch żołnierzy za jego plecami. Mieli na sobie lekką zbroję z hełmami. Ryke przyklęknął, udając, że poprawia sznurrowadło, gdy w rzeczywistości sięgał po anhardzki nóż do zdzierania skóry.

- Sironen, pan zamku, pragnie się z tobą zobaczyć - rzekł Arno do Errela.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparł spokojnie książe.

- Pozwolisz, komendancie, że zabiorę z sobą dwóch przyjaciół? Lubię mieć towarzystwo. Taki już mój zwyczaj.

## Rozdział 14

Woń kwiatów uderzała do głowy, gdy mijali kolejne komnaty.

Wtem z naprzeciwka doleciał czysty, dźwięczny głos kobiety. Za zakrętem korytarza wpadli na wysoką, chudą niewiastę o żywej, umalowanej twarzy, ubraną w czerwoną suknię. Szły za nią trzy pokojówki: jedna dźwigała miseczki i flakoniki, pozostałe niosły wiechcie świeżej trzciny i pęki kwiatów, gubiąc płatki, które padały im pod nogi i czepiały się fartuszków. Pokojówki stanęły rzędkiem pod ścianą, aby przepuścić mężczyzn, lecz dama tylko zmierzyła ich od stóp do głów spojrzeniem swych jasnobrązowych oczu. Nie były wprawdzie duże, lecz przewiercały człowieka na wylot. Ryke od razu przypomniał sobie Chayathę. W obecności tej damy Arno wyglądał, jakby ubył mu kilka lat.

- Wybacz, pani - powiedział.

- Tak formalnie zwracasz się do matki? - fuknęła, aż się zaczerwienił. Zdjęła mu z ramienia płatek przebiśniegu. - Powiedz ojcu, że jeśli chce nakarmić wojsko, niech przyjrzy się spisom inwentarza. Dokąd prowadzisz tych ludzi?

- Do komnaty pana - odpowiedział Arno.

Ryke kręcił nosem, odurzony zapachem kwiecica. Jedna z pokojówek obdarzyła go uśmiechem. Żona Sironena podzdrowiła skinieniem głowy Wana i Errela.

- Witajcie na zamku. Muszę przyznać, że świetnie tańczycie.

Komnata Sironena była przestronna, pusta i ponura. Za zębami kratki płonął w kominku mizerny ogieniek. Światło padało na łóżko z materacami, które nie były wcale grubsze

od tych w koszarach, choć z pewnością nie wypchano ich słomą. Sironen siedział na twardym krześle z nagim mieczem na kolanach. Na ciemnych ścianach wisiała rozmaita broń: miecze, włócznie i oszczepy po części anhardzkiej roboty. Ułożony możliwie blisko kominka, drzemał łąciaty mastiff. Z jego masywnego pyska zwisały fałdy skóry.

Arno pierwszy wszedł do komnaty. Żołnierze zostali na korytarzu, gdzie stanęli sztywno na warcie po obu stronach drzwi.

- Który z was niesie pierścień? - W zamkniętym pomieszczeniu głos Sironena brzmiał szorstko.

Arno otwierał już usta, żeby coś powiedzieć, lecz uprzedził go Errel:

- Nie gniewaj się, panie, ale nalegałem, żeby Wan i Ryke byli ze mną.

-Nalegałeś? – zdziwił się starzec. Jego zimne spojrzenie pasowało jak ulał do tego posępnego miejsca. Ryke zastanawiał się, czy kobieta, którą spotkali na korytarzu rzeczywiście z nim sypia. Jeśli tak, to na pewno nie tutaj. W tym pomieszczeniu wszystko było twarde i surowe. - A kimże ty jesteś, żeby stawiać wymagania?

Errel wskazał pierścień leżący na otwartej dłoni Sironena.

- To jest moja własność.

- Człowiek, który jest właścicielem tego pierścienia, nie żyje.

- Owszem, panie, mój ojciec zginął. Ale ja żyję, co chyba widać.

Blizna na policzku Sironena nabiegła szkarłatem.

- Podajesz się za Errela z Tornoru?

- Nie podaję się, ale nim jestem - oświadczył książe. - Czy ktoś prócz mnie obnosiłby się z tym pierścieniem?

- A tamci dwaj to kto? - Stary pan twierdzy zwrócił wzrok na Ryke'a i Wana.

- Wrogowie Kola Istora - odparł Errel.

Sironen zacisnął pięść na zdobnej, wykonanej ze srebra i brązu rękojeści miecza.



- Wybacz mi podejrzliwość - rzekł ochryple. - Miesiąc temu Kol Istor zarzucił Berentowi Jednookiemu, że udziela schronienia jego wrogom, po czym ruszył nań z mieczem. Wysłałem Berentowi z odsieczą setkę wojska pod komendą Tera, mojego najstarszego syna. Niestety, poległ w boju, tak samo jak Berent i jego synowie. Nie dziw się więc, że nie ufam obcym, którzy kołaczą do moich bram i twierdzą, że są wrogami Istora.

- I ja bym im nie ufał - powiedział Errel. - Przykro mi panie, bo pamiętam Tera. Był o wiele starszy ode mnie.

Ryke wcale go nie pamiętał. Tylu zabitych, pomyślał. Czy tak właśnie będzie upływać nasze życie? Zamiast walczyć z Anhardem, zaczniemy się nawzajem mordować? Oparł się o ścianę. Denerwowało go to, że Sironen nie pozwala im usiąść. Nie czuł się dobrze w tej zaciemnionej komnacie; nagie ściany i odbicia światła na żelazie kojarzyły mu się z celą.

- Przynajmniej mówisz jak ktoś znaczny - stwierdził Sironen.

- A ja mu nie wierzę - oświadczył Arno. - Znam Errela z Tornoru. Ma jasne włosy.

- Nadal mam jasne włosy. Czyżbyś nigdy nie słyszał o hennie?

Mastiff zawarczał przy kominku. Poruszył łapami. Zapewne śniło mu się polowanie.

- Wobec tego pokaż, jakie masz te włosy - nakazał pan zamku.

Errel podszedł do starca. Przyklęknął i spuścił głowę jak skazaniec przed katem. Sironen przeczeszał palcami jego czerwone włosy, aż odnalazł jasne korzonki.

- W tej kwestii akurat mówił prawdę - orzekł i odsunął rękę, żeby księżę mógł powstać. - Jeżeli naprawdę jesteś Errelem z Tornoru, udowodnisz mi to, opowiadając o swoim ojcu coś, czego nie wiedzą przypadkowi ludzie.

- A co byś chciał usłyszeć, panie? To, że Athor miał ognisty temperament i kochał psy? Wie to każdy głupiec, który służył mu dwa tygodnie. - Popatrzył na Arno. Usta mu

się wykrzywiły w znanym Ryke'owi uśmieszku. - Do-  
staniesz dowód. Dziewięć lat temu, kiedy zielony klan przy-  
był do Tornoru, aby pośredniczyć w układach z Anhardem,  
zjawiłeś się także ty z synami. Ter cię nie odstępował, lecz  
mnie i Arna nudziły rozmowy. Włóczyliśmy się po okolicy.  
Któregoś ranka biliśmy się, jak to dzieciaki, o jakiś dro-  
biazg. Nie pamiętam o co, może Arno będzie wiedział. Po-  
winien wiedzieć, bo to on zwyciężył. Wróciliśmy na salę  
wybrudzeni gnojem ze stajni.

Ryke skwitował to uśmiechem. Wiedział, że to praw-  
dziwa historia, ponieważ tamtego dnia stał na warcie przed  
stajnią. Osobiście rozdzielił powaśnionych chłopców.

Sironen spojrzął na syna.

- Czy to prawda?

- Tak, ojciec - przyznał Arno niechętnie.

Sironen pogładził palcami miecz.

- Muszę wam zatem wierzyć. - Wstał i wsunął klingę  
do pochwy. Wyciągnął rękę z pierścieniem dla Errela, po  
czym dostojnie usadowił się na krześle.

- Wina! - zwrócił się do syna.

Komendant poszukał czegoś w cieniu za krzesłem, skąd  
powrócił z dwoma srebrnymi kielichami. Jeden wręczył  
ojcu, drugi - Errelowi.

Sironen uniósł puchar.

- Witaj, władco Tornoru!

- Nie słychać, panie, żeby zanadto cieszyła cię moja  
wizyta - rzekł Errel.

- Ależ cieszę się, że żyjesz, choć rad bym się dowie-  
dzieć, gdzie się podziewałeś przez ten miesiąc i czemu po-  
jawiasz się nagle w kompanii cyrkowców z południa. - Przy  
ostatnim słowie skrzywił usta, jakby miało gorzki posmak.

- Moja rzecz, gdzie przebywałem, panie. Pozwól jed-  
nak, że przedstawię ci przyjaciół. To Ryke, z którym ucie-  
kłem z Tornoru. Bez jego pomocy już bym leżał w grobie.

Ryke pokłonił się z lekka.

- A to Wan - dodał książę. - Wie, jak rozprawić się z  
Kolem Istorem.

Sironen popatrzył chłodno na Wana.

- Doprawdy? - Wtem jego blizna zmarszczyła się nad kącikiem ust. - Skoro tak, i wy napijecie się wina.

Arno sztywno napełnił jeszcze dwa kielichy. Nawet jeśli nie podobała mu się taka poniżająca służba, niczego nie dał po sobie poznać. Ryke machnął odmownie ręką; nie chciał wina. Pod ścianą dostrzegł jakiś kształt podobny do stołka. Podszedł bliżej. Nie pomylił się. Przyniósł stołek Errelowi.

Książę mu podziękował.

Pies przebudził się z głośnym prychaniem. Uniósł łeb, ziewnął i zwinął się w jeszcze mniejszy kłębek. Sironen spoglądał na niego czułym wzrokiem. Wtem jego rysy stężyły.

- Od śmierci syna często myślę, jak zgładzić tego przekłętęgo południowca - rzekł spokojnie. - Na razie bez skutku. On nigdy się nie wychyla poza mury zamku. O ile nam wiadomo, ma pod wodzą trzystu zaprawionych w bojach żołnierzy. Ja mam czterystu, ale nie pozwolę, by połamali sobie zęby na kamieniu. Armia potrzebuje przestrzeni, żeby stoczyć bitwę. Znacie sposób na wywabienie uzurpatora z fortecy?

- Nie, ale wiemy, jak otworzyć bramy - odparł Errel. - Czirisowie, to znaczy tancerze, którzy dziś przed tobą tańczyli, udadzą się do Tornoru. W tym samym czasie poprowadzisz wojsko na Podchmurną Twierdzę. Zdobędziesz ją i obsadzisz załogą, żeby nikt stamtąd nie ostrzegł Istora o niebezpieczeństwie. Następnie wyruszysz na Tornor. Tancerze otworzą bramy od środka.

- Kol Istor zostawił stu ludzi w Podchmurnej Twierdzy - zauważył Arno.

- I tak macie przewagę - rzekł Wan.

- Jeśli wysłizgnie nam się choć jeden...

- Właśnie na tym polega zadanie wojska, żeby żaden nie uszedł - przerwał mu Sironen. Rozchylił wargi w drapieźnym uśmiechu. - Podoba mi się ten plan! Coś takiego wymyśliłby Ter. Ile potrzebujecie czasu?

Szczupły Arno skrzywił się za jego plecami.

- Osiem dni - odrzekł książę.

- Jutro zwołam naradę. Muszę rozmówić się z komendantami.

Jasnymi, chłodnymi korytarzami niosły się kobiece śmiechy. Ryke zastanawiał się, jak się wiedzie jego siostrze. Krew tętniła mu w skroniach. Wkrótce znów ją zobaczy.

- Dostaniecie wojenny rynsztunek - rzekł Sironen.

- Ja go nie potrzebuję - oświadczył Errel. - Udam się do Tornoru z czirisami. Ryke pojedzie z wami, on zna się na wojaczce. Ja jestem myśliwym, strzelam z łuku.

- Narażasz się na niebezpieczeństwo.

- Bynajmniej. - Księżę pogładził palcami włosy. - Kol z pewnością rozpoznałby Errela-błazna, swego więźnia. Nie pozna jednak Errela-tancerza, który ma włosy koloru jesiennych liści.

\*\*\*

Ryke nie pofatygował się na naradę Sironena, a Errel uczestniczył tylko w jej części. Po powrocie niewiele mówił. Oznajmił tylko, że komendanci poparli plan.

- To dobrze - powiedziała Maranth. - Nie znoszę tego miejsca.

- Jeszcze mniej spodoba ci się Tornor - zakpiła Norres. Sorren odgarnęła włosy z twarzy.

- To kiedy wyjeżdżamy?

Wieczorem Errel odwiedził kuźnię, gdzie zaopatrzył się w garść grotów do strzał. Pod krytycznym okiem miejscowego kowala wykuł je młotem z twardego żelaza i osobiście umocował do drzewc. Następnego dnia czirisowie wyjechali. Ryke pożegnał ich razem z Sironenem i dowódcami straży. Wczesnym świtem trzymał jeszcze ziaęb, a niebo było ciemne. Podróżni ubrali futra. Wyglądali na grupkę tułaczy. Ryke uściśnął Errela. Księżę oddał mu na przechowanie kołczan ze strzałami i futerał z łukiem.

- Osiem dni - mruknął.

Ryke poczuł na uchu jego ciepły oddech.

- Zjawię się.

Teraz przysłała kolej na Sorren. Objęła go ramionami z pokraśniałą twarzą i mocno przytuliła.

- Do zobaczenia.

Hadril nie mógł sobie dać rady z dzwoniącymi zębami. Norres stała przy koniach z markotną miną. Sironen uściskał Errela i pomachał reszcie, aby dodać im otuchy. Wartownicy otworzyli bramę wyjazdową. Czirisowie wyjechali za mury. Przez krótką chwilę ich sylwetki były jeszcze widoczne na wschodnim widnokregu, lecz szybko zatoneśli w nieprzejrzalnym mroku.

Wewnętrzny dziedziniec napełnił się końmi, wozami i ludźmi, gdy wojsko Sironena szykowało się na wyprawę do Podchmurnej Twierdzy. Wydostające się z kuźni zapachy smaru, rozgrzanego żelaza, pary i końskiego potu spowiły niczym chmura majdan i koszary. W świetle błyszcząły wszystkie pory pomalowanego na biało zamczyska. Ryke wziął sobie z tacy dużego rogała. Pieczywo było ciepłe i smakowało makiem. W brzuchu mu burczało. Zwolnił, zostając daleko w tyle za wodzem i jego podkomendnymi. Był trochę skrępowany, gdy nie jechał z nim Errel.

Czuł się jakoś dziwnie, mając znów miecz u boku. Do stał go od Sironena. Był doskonale wyważony, wykonany z tezerańskiej stali, bez porównania lepszy od tamtego, który zostawił w Tornorze. Rozglądał się za Toribem. Polubił tego tłuściocha. Zdziwił się niepomiernie, gdy mu powiedziano, że Torib jest zastępcą komendanta trzeciej straży.

- Hej! - zawołał Torib. Nadzorował załadunek koni. - Gotów do drogi?

- A jakże.

- Gdzie twój wierzchowiec?

Siwek czekał w stajni. Miał tu dobrą opiekę. Jego sierść błyszcząca, podkowy były przycięte i naoliwione. Ryke osiodłał go i wyprowadził na plac. Opodał przeszedł pachotek, którego głowa ledwie wystawała ponad nieuporządkowany stos worków z prosem, pszenicą i owsem. Koń wyciągnął

szyję. Ryke szarpnął delikatnie cugłami.

- Zachowuj się - napomniał go Ryke. - Już i tak się spasteś jak beka.

W ciemnym kącie majdanu młody żołnierz całował się z dziewczyną, pieszcząc namiętnie jej ciało. Ryke przyglądał im się bez szczególnego zainteresowania. Miał już za sobą pożegnanie.

Po południu wyruszyli do Podchmurnej Twierdzy. Sironen pchnął przodem podjazd: oddział posępnych, milczących ludzi na rączych koniach, z rozkazami zaganiań do domów drwali i pasterzy.

- A co z tymi, którzy nie są ani pastuchami, ani torfiarzami? - spytał Ryke.

Jadący przy nim Torib wymownie przejechał kciukiem po swej wydatnej grdyce.

- Nie chcemy, żeby szła przed nami wieść o tej wyprawie.

Kraj się z wolna odmieniał. Droga nie wiodła już równią, ale zaczęła piąć się w górę zakosami. Kamienie na poboczach porośnięte były bladozielonym mchem. Raz, daleko przed sobą, na zakręcie drogi Ryke dostrzegł Sironena. Wódz dosiadał wysokiego czarnego rumaka.

Czterystu żołnierzy nie mogło stanąć obozem na gościńcu. Jeździec na karym koniu wydał rozkaz, przekazywany z ust do ust aż na tyły kolumny: Nie zatrzymywać się, iść pieszo! Ludzie posiadali z koni. Gęstniała mgła. Ryke Ignął do siwego wałacha, grzejąc się jego oddechem i ciepłem ciała. Szli i szli. Z przodu nadeszła przestroga: Droga wychodzi na stok. Mieć się na baczności! Wśród skalnych załomów rozbrzmiało warczenie dzikiego kota. Konie strzygły uszami. Torib potknął się i gruchnął o ziemię. Na dodatek kopnął go koń, kiedy obśliznęło mu się kopyto. Zaklął ze złością.

- Nic ci nie jest? - zapytał Ryke.

Zastępca dowódcy straży tylko prychnął i dźwignął się na nogi.

W południe wyjechali na step, gdzie rozbili obóz. Żadnych ognisk! - brzmiała komenda. Dzielił ich jeszcze szmat

drogi od Podchmurnej Twierdzy, lecz Sironen wolał nie ryzykować. Zjedli zimny posiłek. Wrócił podjazd, a zamiast niego wyprawiono następny. Napojone i nakarmione zwierzęta pokładły się w świeżej trawie, zadowolone z tego, że wreszcie skończyły się kamienie. Ryke zdążył się zdrzemnąć. Zaraz po nakarmieniu siwka ściągnął buty. Gdy się ocknął, wciąż czuł mrowienie w stopach.

W pobliże Podchmurnej Twierdzy dotarli już po zmroku.

Ryke odnosił wrażenie, że nocna jazda przeciąga się do nieskończoności. Sironen narzucił zabójcze tempo. Zatrzymywali się tylko na krótkie popasy, żeby dać wytchnienie koniom. Czarna, kanciasta bryła na północny-wschód od kierunku ich jazdy musiała być zamkiem. Torib wypuścił się do przodu po rozkazy.

- Skręcamy na zachód gęsiego - oznajmił po powrocie.

- Macie jechać blisko siebie i trzymać gęby na kłódkę!

Podjazdy doskonale się spisały. Step zdawał się wymarły. Ryke zamrugał oczami. Księżyc zaszedł, musiało już być blisko świtu. W trakcie żmudnej jazdy stracił orientację w terenie. Poczul, jak wałach wydaje z siebie głębokie westchnienie. Zwierzę było o wiele bardziej zmęczone od niego. Wyłapał w powietrzu jakiś znajomy zapach, który pobudził jego apetyt. Ktoś schwytał w ciemnościach zabłąkaną owcę. Uśmiechnął się na myśl o pieczystym.

Wciąż jeszcze byli daleko od twierdzy. Na niebie pokazywały się pierwsze brzaski. Wyostrzały się zarysy ludzi i zwierząt. Ryke zrozumiał teraz, co zamierza Sironen. Otaczał zamek olbrzymim półkolem, aby odgrodzić go od stepów i gościńców. Każdy, kto znalazł się wewnątrz tego półkola, musiał zawrócić do zamku. Żołnierze ze straży Toriba tworzyli część zachodniego skrzydła. Nie wiedzieć skąd, wyskoczył indyk i wpadł niemal pod kopyta siwka. Koń bryknął i głośno zakwiczał.

- Nie bój się - uspokoił go Ryke cichym szeptem. - Nic się nie stało.

Wydawało się, że wojsko nader długo zajmuje stanowiska wokół twierdzy. Gońcy pędzili od skrzydła do skrzydła.

Żołnierze zsiadli z koni, aby dać im odpocząć i przyzwyczaić się do chodzenia. Ryke przyglądał się ciemnej sylwetce Podchmurnej Twierdzy. Niekiedy dostrzegał na murach zapalone pochodnie, które wyglądały jak maleńkie błędne światełka. Nikt tam jednak nie podnosił alarmu, nie strzelały ognie i nie narastała wrzawa. Odpiął od siodła bukłak i napił się wody. Dopiero po kilku łykach poczuł jej smak, tak bardzo zaschło mu w ustach.

- Na koń! - Jego podświadomość czuwała zamiast niego. Wskoczył na siodło, zanim mózg połapał się, co słyszą uszy. Bolał go pęcherz i czuł dokuczliwy ucisk w żołądku. Nie zważając na niewygody, spał konia do marszu. Widział teraz żołnierzy na prawo i lewo od siebie. Torib uśmiechał się szeroko z rozwianą grzywą brązowych włosów. Ryke sięgnął po tarczę. Nie cierpiał jej, bo mu zawadzała, ale mogła się przydać, gdyby ostrzelali ich z murów łucznicy. Choć było to mało prawdopodobne, zreflektował się. Przecież załoga zamku składała się z południowców. Pochylił się nad karkiem siwka. Spod kopyt prysnął kamyk i ugodził go w policzek.

Zabolało. Przetarłszy twarz, zobaczył płamę na rękawicy. Pierwsza krew. Widział, jak zacieśnia się pierścień okrażenia. Z wysokich murów dolatywały okrzyki. Zapalały się następne pochodnie. Wojsko Sironena ciągle jeszcze szło w ciszy. Konie przeszły w galop. Ryke przełknął ślinę. Znajdowali się już prawie w zasięgu strzału z łuku.

Ale i Sironen miał łuczników. Ruszyli za głównymi siłami, gdy te podeszły bliżej murów, a następnie zaczęli szyć z łuków ponad głowami swoich towarzyszy. Celowali w głowy południowców, które pokazywały się na blankach.

- Z koni!

Słyszac świst strzał, Ryke pochwycił miecz i tarczę do osłony. A jednak południowcy nauczyli się czegoś od ludzi północy. Strzała odbiła się od utwardzanej skóry, a zaraz po niej druga.

Do jego uszu dotarł miarowy łomot tarana. Mimo zgiełku zastanawiał się, czy Sironen przywłókl go aż z twierdzy



Pel krętymi skalnymi drożynami... Rzecz wydawała się niemożliwa. Pewnie naszykowali kłodę, kiedy spał.

- Marsz!

Ryke odruchowo zasłonił twarz rękami. Zaciśnął palce na szczęblu drewnianej drabiny. Stękając z wysiłku, żołnierze dźwigali drabiny i opierali je o kamienne gzymsy zewnętrznych murów. Torib promieniał uśmiechem.

- Życz mi szczęścia! - zawołał. - Została ich tylko setka, nie mogą być wszędzie. - Wszedł na drabinę.

Ryke przytrzymał ją z dołu. Za Toribem wdrapywali się następni żołnierze, niezręcznie mijając szczęble. Przestały się sypać strzały. Ryke opuścił rękę, zmęczoną od dźwignia tarczy. Ktoś popchnął go z tyłu. I on wszedł na drabinę. Na górze ujrzał przed sobą mężczyznę z czarną kłaczastą brodą, który z krzykiem na ustach zamierzył się na niego włócznią. Ryke dobył miecza, zrobił unik i pchnął szychem. Południowiec nadział się na ostrze i wybałuszył oczy ze zdumienia. Ryke wyszarpnął miecz i płazem zdzielił przeciwnika w głowę. Ten zachwiał się i cofnął. Za murami buchnął w niebo wielki hałas. Ustał łomot tarana. Ryke osłonił się tarczą przeciwko strzałom puszczanym przez łuczników Sironena i pognął szczytem blanków, porwany wojowniczym zapalem. Zadawał ciosy z wielką siłą, czuł się niezwyciężony. Nikt nie mógł mu sprostać. Poniżej, na dziedzińcu, rozbrzmiewał głos Toriba. Ryke z dzikim śmiechem rozejrzał się za schodami.

\*\*\*

Południowcy bili się jak demony, lecz było ich za mało, żeby mogli przechylić szalę zwycięstwa na swoją korzyść. Sironen kazał zakuć ich w łańcuchy i spędzić pod strażą na wewnętrzny dziedziniec. Ryke przesuwiał wzrok po twarzach nieszczęśników, ale nie napotkał nikogo znajomego. Z czego bardzo się cieszył.

Nie odniósł żadnej rany. Gdy bitewny żar wygasł w jego sercu, czuł się już tylko zmęczony. Bolały go ręce.

Torib został lekko ranny w głowę, ale poza tym nic mu się nie stało.

- Krew ze mnie tryskała jak z prosiaka! - opowiadał z niesmakiem. - Mało brakowało, a pożegnałbym się z życiem. Zupełnie nic nie widziałem, miałem zalane oczy!

- Co nie przeszkodziło ci szukać kobiet! - zakpił ktoś.

Torib wyszczerzył zęby.

- Znajduję je po zapachu.

- Miała ochotę?

- To chyba oczywiste, skoro przez miesiąc musiała znosić towarzystwo tych przeklętych południowców - oświadczył grubas. Zaczął drapać się po głowie, lecz szybko cofnął dłoń od opatrunku. - Zawsze powtarzam, że jeśli nie możesz sprawić, by na koniec się śmiała, to przynajmniej spraw, by płakała.

Żołnierze buchnęli śmiechem przy tym żarcie. Równocześnie dało się słyszeć krakanie kruków. Siedząc na krenelach, obracały swe kształtne głowy, popatrując raz lewym, raz prawym okiem na trupy. Żołnierze Sironena poróżlili się po korytarzach, gdzie szukali wina, żywności i kobiet. Kilku spało na ławach lub pod nimi w głównej sali zamku. Zapachy krwi i wina wyczyniały harce z żołądkiem Ryke'a. Dał ręką znak Toribowi.

- Zaraz wracam!

- Tylko się nie zgub!

Ryke uśmiechnął się z przymusem i wyszedł z zamku, aby odszukać wierzchowca.

Widać było, że ktoś tu wydaje rozkazy: konie zostały przywiązane do palików i skubały trawę pod wschodnim murem. Zabitych rzucono na stos i przykryto płaszczami, aby utrudnić zadanie żarłocznemu ptactwu. Płaszczki dodatkowo obciążono kamieniami. Ryke obejrzał swego siwka. Sprawdził, czy nic nie zniknęło z juków i czy ktoś nie ukradł łuku Errela. Nikt go nie tknął. Niebo było jasne i bezchmurne. Opadł już kurz wzniecony kopytami koni. Nad murami powiewały proporce Kola Istora; żołnierze Sironena nie zdążyli ich jeszcze zerwać. Niektóre konie obciążono brzemieniem

rynsztunku południowców: okrągłych hełmów bez czubów i mieczy o krótkiej klindze. Ogólnie jednak było niewiele łupów. Z apartamentów kobiet dobiegały krzyki, lecz z daleka można by odnieść wrażenie, iż nic się właściwie nie stało.

Wrócił na zamek.

Sironen stał wraz z dowódcami straży na zewnętrznym dziedzińcu. Łucznicy zbierali strzały. Nasilił się zapach krwi. Ryke przystanął, aby złapać oddech na smrodliwym placu, gdy wtem usłyszał obrzydliwy odgłos kogoś charczącego jak z ustami pełnymi krwi. Skierował wzrok na bramę, spodziewając się ujrzeć ludzi z noszami. Nikogo tam nie zobaczył.

- Przepraszam. - Obok stanął łucznik.

Ryke odsunął się na bok. Sironen z podkomendnymi opuszczał już to miejsce. Pod ścianą leżały rzędem trupy. I chyba były skute kajdanami. Ryke wzdrygnął się w duchu. Po cóż Sironen miałby pętać zabitych? Wtem zobaczył, że krew wypływająca spod ciał jest świeża i jasna. Przypomniał sobie drapieżny uśmiech starego władcy. Oczywiście: Sironen nie chciał zostawiać żołnierzy na straży jeńców z południa. Potrzebował jak największej liczby ludzi do zdobycia Tornoru. Najprościej więc było poderżnąć jeńcom gardła.

Ryke'owi zakreśliło się w głowie. Czas się cofnął. Drżał teraz pod tym samym niebem, lecz nieżywi byli jego dawnymi przyjaciółmi, a łańcuchy leżały na jego okrwawionych przegubach. Starał się wrócić do rzeczywistości. Znajdował się w Podchmurnej Twierdzy, daleko od Tornoru. Był po stronie zwycięzców.

Pewien nieboszczyk wlepił weń martwe źrenice, jakby kpił sobie z jego przerażenia. Wmawiał sobie, że to tylko przywidzenie. Skórę miał jednak zlaną potem i czuł ciągłe mdłości. Ruszył biegiem do bramy. Pasące się konie nie zwracały na niego większej uwagi, kiedy przyklęknął i zwymiotował w cierniste chaszczce.

\*\*\*

Szóstej nocy po tamtym wydarzeniu znów klęczał, tym razem pod murami Tornoru.

Bolały go kolana. Tkwił po kostki w błocie. Plecy piekły go od długiego pochylania, a spodnie całe mu przemokły.

Dotknął kołczanu i futerału na łuk, by sprawdzić, czy jeszcze są suche. Wysoko nad jego ramieniem błyszczał księżyc w trzeciej kwadrze. Za nim kryły się oddziały Sironena. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że słyszy żołnierzy, ale kiedy natężał słuch, nic nie przerywało ciszy. Był sam. Przedrannej martwoty nie mącił ani odgłos kroków, ani parskanie koni, dzwonienie uprzęży czy brzęk żelaza. Nie do wiary, żeby czterystu żołnierzy zachowywało tak cicho!

Raz jeszcze przeliczył w myślach bramy. Furta w zachodniej stróżówce. Tę mógłby dotknąć rękawicą. Furta we wschodniej stróżówce. Dwie furtki od wewnątrz. Główna brama wyjazdowa z wartownią, prowadząca na zewnętrzny dziedziniec. Wewnętrzna wieża bramna ze spuszczaną kratą. Drzwi do wieży. Ile zamków zdoła otworzyć sześcioro ludzi, nim zostaną zdemaskowani? Nogi mu się zatrzęsły. Podniósł się ostrożnie, aby je rozprostować. Oparł się o bramę, życząc sobie usilnie, aby się otworzyła. Nic takiego nie nastąpiło. Znów przyklęknął w błocie.

Nagle posłyszał dźwięk, jakby coś żelaznego uderzyło o drewno. Mógł to być strażnik, który zawadził włócznią o kamienny mur. Uchyliła się furta. Zamarł w bezruchu. Na zewnątrz wyrżał Errel. Błysnął zębami w półmroku i skinął ręką. Ryke wstał szybko i ruszył w jego stronę. Poślizgnął się na mokrej ziemi, zachwiał i omal nie wywrócił.

Errel chwycił go za ramię i wciągnął do stróżówki. W drewnianej chatyńce cuchnęło winem, wymiocinami i mokną wełną. Ryke nie posiadał się z radości. Od sześciu dni (dwóch w Podchmurnej Twierdzy i czterech na górskich drogach)

wyobrażał sobie, że Errel gnije w lochu lub nawet leży martwy. Ucisnął go mocno. Książę miał twarz szorstką od zarostu. Nie golił brody, żeby uniknąć rozpoznania.

- Wszystko zgodnie z planem? - zapytał Ryke. Musiał odchrząknąć, zanim mógł coś powiedzieć.

- Tak. Tańczyliśmy wczoraj i dziś wieczorem. Podo-  
bało mu się.

Wiadomo było, o kim mowa.

- Niech go lichy porwie! - Gdy wzrok Ryke'a przywykł do ciemności panujących w stróżówce, dostrzegł na podłodze strażników. U ich stóp, niczym szkliste oczy, leżały kości do gry. - Nie żyją?

- Żyją. - Errel pokazał ręką, że dostali po głowie. -  
Przyniosłeś łuk?

Ryke dał mu łuk i kołczan wypełniony strzałami.

- Dzięki. Przypuszczam, że Sironen zdobył Pod-  
chmurną Twierdzę.

- Owszem. - Ryke wiedział, że Errel oczekuje od niego jakichś szerszych wyjaśnień, ale teraz nie chciał o tym rozmawiać.

- Pogadamy później - rzekł książę. - Chodź, przed nami  
wartownia. Pamiętasz, jak się podnosi spuszczaną kratę?

- Tak. - Miał świadomość, że wyraża się wyjątkowo la-  
konicznie. Poczuł na sobie badawczy wzrok Errela. Powi-  
nien właściwie powiedzieć: Daj mi czas, bym się oswoił z  
myślą, że to naprawdę Tornor. Pogłaskał palcami dębowe  
belki stróżówki. Daj mi czas, bym uwierzył, że wróciłem do  
domu.

Errel położył palce na wargach. Otworzyli wewnętrzne  
drzwi stróżówki i wyszli na zewnętrzny dziedziniec. Między  
jednym a drugim ciągiem umocnień kładła się na ziemi mdła  
poświata księżycy. Droga do wartowni leżała w cieniu i  
śmierdziała końskimi odchodami. Ryke chciałby już być na  
jej drugim końcu. Wzdrygnął się, gdy zaszczekał pies. Wtem  
ktoś przyszpilił go czymś ostrym do muru. Światło padło na  
ostrze noża. Mocarna ręka zbliżyła się groźnie do jego szyi.

- To my - odezwał się Errel.

Nóż zniknął.

- Wybacz - rzekł Wan niskim głosem i puścił Ryke'a. - Zmieściłście się w czasie. Przyprowadziłeś wojsko?

- Czeka pod murami - odparł Ryke.

- Stróżówki otwarte - oświadczył Wan. - Jesteśmy gotowi otworzyć bramę wyjazdową. Maranth?

Kobieta uniosła rękę w cieniu. Ryke usłyszał cichy, chrapliwy śmiech. Przygryzł od środka policzek. Zazwyczaj w wartowni pełniło dyżur czterech żołnierzy. Wiedział, że Maranth jest szybka, ale wątpił, czy poradzi sobie z nimi w pojedynkę. Nabrał powietrza w płuca, aby zabrać głos, lecz Errel położył mu rękę na ramieniu.

- Patrz, co się stanie.

Ryke odetchnął powoli. Maranth weszła beztrąsko w poświęcę księżycy. Miała na sobie miękkie, szerokie spodnie, które na pierwszy rzut oka wyglądały jak spódnica.

Wędrowała spokojnie środkiem dziedzińca, jakby była w Wanimie. Masywna, okazała wartownia posiadała zamiast okien szczeliny dla łuczników. Nawet wewnętrzne drzwi były wzmocnione żelaznymi sztabami. Maranth podeszła i zapukała.

- Jest tam kto? - Jej śpiewny głos zabrzmiał równo ze świtaniem. Zazgrzytała przykrywką wizjera. - Nie mogę zasnąć. Chciałabym z kimś porozmawiać, a wszyscy moi znajomi pochrapują w najlepsze. Mogę z wami posiedzieć? - Odgarnęła włosy z czoła zmysłowym ruchem i lekko zakłósała biodrami. - Mam wino. - Spod koszuli wyciągnęła skórzany bukłaczek.

Drzwi się otworzyły i na zewnątrz wyjrzało dwóch strażników. Maranth cofnęła się od progu i przywołała ich ręką bez słowa. Trzech żołdaków wychynęło z wartowni, jakby rzucono na nich urok. Dwaj od razu objęli ramionami kobietę, gdy trzeci rezolutnie sięgnął po wino.

- Heja! - rozległ się głos Wana.

Norres, Sorren i Hadril wyskoczyli z cienia jak wilki. Maranth dławiała gardło jednego z wartowników. Pozostali ledwie zdążyli się zdziwić. Sorren i Norres przytrzymały ich,

żeby nie grzmotnęli z hałasem o ziemię. Hadril wparował do budynku.

- Prędko! - zakomenderował Wan i pędem przemierzył dziedziniec.

Ryke biegł tuż za nim. W tchnącym starzyzną pomieszczeniu wartowni paliło się światło. Jego blask padał na bladą i ściągniętą twarz Hadrila. Miał krew na policzku. Obok niego, na pryczy, leżało skręcone ciało wartownika.

- Jesteś ranny? - zapytał Wan, lecz młodzieniec pokręcił przecząco głową. - Zabiłeś go?

- Musiałem.

- Teraz wiesz, jakie to uczucie. - Lekko pacnął młodzieńca w twarz. Hadril zamrugął oczami. - Weź się garść.

- Co tam się dzieje? - krzyknięto nagle z murów. Ryke miał wrażenie, że to głos Helda. Zastanawiał się, kogo Istor wyznaczył na dowódcę jego straży? Może Varga?

Sorren wbiegła do wartowni i zamknęła za sobą drzwi. Ryke usłyszał szczęk zamka.

- Spieszmy się! - ponaglił ich Errel.

Ryke szukał po omacku drabiny prowadzącej do izby z kołowrotem. Zaczepił rękawicą o gwóźdź i rozdarł materiał.

Wszedł na górę. Będąc na ostatnim szczeblu, zerknął w dół i zobaczył na pryczy trupa. Hełm stoczył się na podłogę, twarz była nienaturalnie biała, zupełnie jak mleko. Szeroko otwarte oczy patrzyły ze zgrozą. Z ust, jakby gotowych do krzyku, nie zdążył wydostać się żaden dźwięk. Hadril przejechał mu sztyletem po szyi i przeciął struny głosowe. Ten widok przyprawiał o mdłości. Ryke zebrał się w sobie i wszedł do górnej izby.

Przystanął niezdecydowanie obok kołowrotu. Nie pamiętał dokładnie, co gdzie się znajduje. Obracając się w kółko, otarł się kolanem o blok linowy. Obmacując urządzenie, trafił na koło zębate z korbą. Spróbował zakręcić. Korba zaledwie drgnęła ze zgrzytem. No pewnie, pomyślał, przecież jest zablokowana!

Usłyszał poszczekiwanie psów i krzyki ludzi. Wrzawa zbliżała się chyba do wartowni.

- Prędzej! - dobiegło go z dołu.

Odblokował koło i naparł na korbę. Szło opornie. Czyjaś smukła postać wskoczyła na górę po drabinie.

- Na co jeszcze czekasz? - spytała Sorren. Położyła ręce na korbie i razem spróbowali swoich sił. Krata ruszyła do góry z hałasem tak przeraźliwym, że zdołałby pewnie zbudzić umarłego. Gdy stanęła, Ryke usłyszał huk tarana. Wnet rozległy się odgłosy pękającego drewna... zupełnie jakby ktoś zrzucił z wysoka kamienie.

Żelazne sztaby nie wytrzymały naporu. Sironen wprowadził swoje wojsko przez strzaskaną bramę.



## Rozdział 15

Bitwa była ohydna.

Sironen zepchnął żołnierzy Istora do koszar, otoczył budynek wojskiem i następnie podpalił. Ściany z kamienia nie dały się płomieniom, lecz krokwie i dźwigary paliły się i spadały, grzebiąc pod sobą południowców. Kamienie były gorące jak w piecu. Ażeby ogień nie przeniósł się na kuchnie, wódz postawił na straży ludzi z wiadrami.

Przestraszone konie próbowały wyrwać się z przegród w stajni. Wartownicy na murach biegali tam i z powrotem, ścigani przez żołnierzy z twierdzy Pel. Ryke zsunął się po drabinie, za nim Sorren. W wartowni miała miejsce zażarta potyczka, na pryzkach leżeli następni zabici. Errel zniknął gdzieś z czirisami. Sorren ruszyła do drzwi, lecz Ryke przytrzymał ją za ramię.

- Zaczekaj. - Rozejrzał się szybko po pełnej trupów izbie, aż znalazł miecz.

Na wewnętrznym dziedzińcu leżało mnóstwo strzał. Przy samej wartowni na ziemi związał się z bólu ranny człowiek, zakrywając rękami olbrzymią ranę na brzuchu. Miał połamane obie ręce. Ryke przestąpił nad jego nogami, lecz Sorren zatrzymała się i uniosła miecz, aby zadać śmiertelny cios. Dym łzawił oczy i wiercił w nosie. Ryke poszukał wzrokiem chorągwi Sironena, aż ujrzał ją przed głównym wejściem do zamku.

- Chodź! - rzekł do Sorren.

Obok przebiegł zwycięski żołnierz, prowadząc kilka koni, z których jeden miał krwawiącą pręgę na zadzie. Ku bramie przemykała kobieta w szarej sukni; jej jasne włosy fruwały dziko. Można było odnieść wrażenie, że na zamku

każdy krzyczy. Ryke usłyszał łoskot walących się koszar i radosne wrzaski wojska Sironena. Na środku majdanu walczyła z sobą zajadle niewielka grupa żołnierzy tak umorusanych, że nie sposób już było dostrzec ich oznak.

Środkiem dziedzińca gnał ku schodom wieży czarno-włosy mężczyzna. Ryke poznał Helda i ryknął na niego, lecz ten nic nie słyszał. Chyba nie został ranny.

- Jeszcze cię dopadnę! - krzyknął Ryke.

Żelazo zgrzytnęło na żelazie. Jakiś południowiec zaatakował znenacka Sorren. Kobieta spokojnie trwała na miejscu: parowała ciosy, czekając, aż przeciwnik się zmęczy. Miał źle zapiętą zbroję, której części przeszkadzały mu w walce. Zadał potężny cios oburącz. Po technice uderzenia Ryke rozpoznał Efrema. Sorren prędko się pochyliła, miecz przeleciał ze świstem nad jej głową. Skoczyła i z zegarmistrzowska precyzją dźgnęła Efrema w żebra, kierując klingę w stronę serca.

Padł martwy. Miecz wciąż sterczał z jego ciała. Sorren oparła nogę na trupie i wyszarpnęła oręż. Chorągiew Sironena wciąż powiewała w tym samym miejscu. Ryke wskazał ją, a Sorren wytarła klingę i pobięła przodem.

Od szczęki żelaza huczało w uszach. Na sali wrzał bój. Żołnierze ścierali się z sobą w grupach, rąbiąc mieczami i toporami, kłując się włóczniami i długimi nożami. Śmierć! - wołali. Ryke ścisnął silniej rękojeść miecza. Czuł krew i dym z pożaru. Rozbolał go brzuch. Wolałby nie wchodzić do środka.

O włos, a ostrze topora odcięłoby mu ucho. Odskoczył i machnął na osłep mieczem w stronę przeciwnika. Klinga zagłębiła się w ciało i rozległ się głośny jęk. Następny żołnierz w czarnych i czerwonych barwach Istora rzucił się na niego z krzykiem i przekleństwem na ustach. Dla Ryke'a nie było już odwrotu. Zaparł się mocno nogami. Był jednak w Tornorze, tutaj nie mógł zginąć. Napiął mięśnie ramion i wciągnąwszy w płuca wielki haust zadymionego powietrza, zatoczył mieczem szalonego młyńca.

Poczuł, jak ktoś opiera się o jego plecy. Zgiełk bitwy zawładnął jego zmysłami.

- Gdzie jest Kol Istor? - krzyknął mu ktoś do ucha, gdy był na środku sali.

Wezbrała w nim wściekłość. Po to właśnie wrócił do Tornoru: aby zabić Istora i wszystkich jego żołnierzy. Aby uwolnić od niego te ziemie i zetrzeć z niej na zawsze znamię jego uczynków.

- W Wieży Czat - odparł.

- Jak tam się dostać? - indagował Wan.

Ryke wyszczerzył zęby.

- Trzeba przejść przez dziedziniec. - Tylko jedne schody prowadziły na wieżę. Sironen z pewnością obstawił już wejście. Ryke wyobraził sobie, jak Kol Istor miota się w gniewie po ciasnej komnacie, niczym szczur schwytyany w pułapkę. Zamrugnął, aby odpędzić tę wizję. - Chodź, poprowadzę cię!

Wan odpowiedział mu kiwnięciem głowy. Wsparci o siebie plecami, zaczęli się przesuwać w stronę wyjścia.

Wtem cała sala się zatrzęsła, jakby przechylił się fundament twierdzy. Na salę wdarła się klinem grupa żołnierzy dowodzona osobiście przez Istora. Jego ludzie ryczeli w bojowym szale. Ryke dostrzegł za wodzem Helda z włócznią w garści. Pochylił się i ruszył ku niemu ze śmiercią w oczach.

Wtedy Wan runął na ziemię z przekleństwem.

Mając odstonięte plecy, Ryke chwycił miecz w dwie ręce. Płuca mu rozsadało. Zacerpnął oddechu i stanął nad Wanem. Nie miał czasu pochylić się i sprawdzić, czy tancerz jeszcze dycha. Kol musiał na razie poczekać. Ktoś dźgnął Ryke'a w lewy bok. Zakręciło mu się w głowie od zapachu krwi. Nadepnął na coś miękkiego. Miał nadzieję, że to nie Wan. Młoty biły mu w skroniach. Pragnął położyć się wygodnie i usnąć.

Znowu poczuł ból w boku. A więc został ranny. To swoją krew czuł tak wyraźnie. Ogarnięty furją, uniósł wzrok w stronę światła. Był już tak blisko Istora, że mógł go dosięgnąć mieczem. Usłyszał wrzaskliwe rozkazy Sironena.

- Precz, na bok! - warknął na żołnierza w srebrzysto-czarnych barwach, który zagroził mu drogę. Chciał dorwać wreszcie Istora, spełnić obietnicę. Skrzyżowały się włócznie i stojący przed nim żołnierz osunął się na kolana.

Nagle Held podrzucił rękę i runął jak ścięty: dostał w plecy strzałą. Równo przycięte białe pióra mieniły się w blasku słońca. Następny człowiek padł trupem. Ryke spojrział przez ramię i zobaczył Errela stojącego na stole. Książę miał okopconą twarz. Trzymając w ręku swój długi łuk, spuścił następną strzałę z cięciwy. Zginął kolejny południowiec. Errel wykańczał ludzi z obstawy Istora, jednego po drugim. Na chwilę uciszyło się w sali. W tym momencie Ryke słyszał radosny plusk uwolnionych od lodu wód Rurianu.

Przysłaniając oczy wielką łapą, Kol Istor wlepił wzrok w Errela. Wargi mu drżały. Książę posłał dwie strzały. Pierwsza trafiła Istora w brzuch, druga przeszła mu szyję. Grymas bólu wykrzywił twarz południowca. Jego kolczuga zaczerwieniła się od krwi. Skulił się powoli i padł na ciała swoich pobratymców.

\*\*\*

Grot włóczni przebił Wanowi mięsień uda. Rana Ryke'a okazała się powierzchowna. Zwinął kawałek materiału i wetknął go pod skórzany pancerz. Szumiało mu w głowie. Przykucnął obok Wana, który próbował usiąść, odsłaniając ranę.

- Pomóż mi wstać - powiedział.

- Lepiej zaczekaj na medyka.

- Niech cię cholera! - Wan spróbował się podnieść, ale szybko padł na plecy.

- Nie mogę ci pomóc, bo sam jestem ranny - rzekł Ryke.

- W takim razie podaj mi włócznię!

Niechby się już zamknął, pomyślał Ryke. Sironen porzyskiwał na swoje wojsko, a on chciał wiedzieć, o co chodzi. Była mowa o stajni. A nuż nie zdążyli na czas wyprowadzić

wszystkich koni? Niektóre mogły zginąć w ogniu. Wolał się nie ruszać, bo gdy się pochylał, dotykał zabitych. Blask słońca wolno wędrował po zakurzonych ścianach, rozjaśniając kolory wyblakłych gobelinów.

Maranth brnęła przez pobojowisko z bukłakiem wody. Przytknęła go najpierw do ust Wana, potem przystąpiła do Ryke'a. Miała krew na rękach.

- Jesteś ranna? - zapytał Wan.

- Nie. - Siadła przy nim ze skrzyżowanymi nogami. - Siedz spokojnie. - Dotknęła czoła męża.

- Czy reszcie...?

- Żyją wszyscy - przerwała mu.

Wan westchnął i ujął jej dłoń.

Medyk był puciołowaty i nic go nie mogło wyprowadzić z równowagi. Kazał Ryke'owi rozpiąć rzemienie pancerza i koszuli.

- Szybko się wylizesz - zawyrokował. - Napij się. - Wcisnął flaszkę do ręki Ryke'a. - Tylko nie wylej. - W winie czuło się miód. Ryke zakrztusił się. - Nie za dużo, bo się rozchorujesz.

Ryke poczuł coś zimnego w miejscu zranienia.

- Co to?

- Okład, który przyspieszy gojenie. Podnieś drugą rękę! - Płóciennym bandażem medyk owinął żebra Ryke'a, który siedział z rękami nad głową. - Wystarczy, możesz je opuścić. - Zwrócił się następnie do Wana. - A tobie co dolega? - Cmoknął w podniebienie.

Ubrany w lśniący srebrno-czarny strój, kojarzył się Ryke'owi z żukiem, który porusza skrzydełkami. Przetarł usta, aby powstrzymać się od śmiechu. Pewnie uczą się wydawać ten dźwięk już na samym początku, pomyślał. Na jednej z pierwszych lekcji.

Medyk pochrząkiwał z zadowoleniem, badając nogę Wana. Przemył ją gorącą wodą. Ranny wykrzywił usta, lecz słowem się nie poskarżył. Maranth głaskała go po włosach.

- Rana jest czysta - stwierdził gruby lekarz. - Masz szczęście. Będziesz mógł chodzić bez laski.

- Jestem tancerzem - rzekł Wan.

- Jeszcze nieraz potańczysz, lecz rana musi się dobrze zagoić. Jeśli zbyt prędko zaczniesz chodzić, na pewno się otworzy. Dość się już wykrwawiłeś. Nie ruszaj jej, żeby nie wdało się zakażenie.

- Spokojna głowa - odezwała się Maranth. - W razie konieczności przywiążę go do krzesła.

Ryke wstał. Okład łagodził ból w boku, a pod opatrunkiem swędziała go skóra. Odnalazł swój miecz i schował go do pochwy.

- Zobaczymy się później - pożegnał się z czirisem.

- My się stąd nigdzie nie ruszamy - powiedziała Maranth.

Wan milczał. Miał przyspieszony oddech i bladość na twarzy. Ryke wyszedł na podwórzec. Obok niego pokuśtykał żołnierz z pociętą cholewką buta.

Kruki ospale zataczały koła nad zamkiem. Z pogorzeliiska, jakie pozostało po koszarach, unosiły się kłęby dymu. Rozsypała się większa część ścian. Żołnierze podawali sobie wiadra, ustawieni w szeregu od studni do tego narożnika budynku, gdzie jeszcze tliły się popioły. Gdy zmienił się kierunek wiatru, Ryke wyczuł słodkawy swąd spalonego mięsa.

Zbliżył się do schodów wieży. Na najniższym stopniu siedzieli żołnierze w srebrno-czarnych barwach.

- Przykro nam, ale nikogo nie wpuszczamy.

- Nie przyszedłem rabować.

- Rozkaz księcia.

Ryke zastanawiał się, którego księcia: Errela czy Siorena. Dał sobie spokój. Daremnie by ich przekonywał, że idzie tam się rozejrzeć i nie chce nic zabrać.

Zdjął skórzany napierśnik. To przez niego tak się spocił. Miecz ciążył mu u pasa. Odpiął go i odstawił pod mur. Już go nie potrzebował. Wiatr zawiął tym razem od zachodu. Posłyszał czyjeś łkanie. Ostrożnie uchylił czerwone drzwi budynku mieszkalnego.

Potrącił nogą jakiś metalowy przedmiot. Wyteżając wzrok w ciemnej sieni, spojrzął pod nogi. Dostrzegł niktę łśnienie. Powoli się pochylił i podniósł kobiecą broszkę w

kształcie stokrotki. Była chyba ze srebra. Chwilę obracał ją w palcach, a potem odrzucił.

Tutaj nie postawiono strażników. Komnaty zostały już splądrowane. Pod nogami ścieliły się zabłocone atłasy i jedwabie. Skądś doleciał męski głos. Najbliższe drzwi wisiały na jednym zawiasie. Zajrzał do wnętrza. Na stojącym pośrodku łożu siedziała kobieta. Wokoło leżały szczątki baldachimu. Miała obnażone piersi, jasne włosy rozsypane na twarzy i zaczerwienione oczy, choć już nie płakała. Ryke przełknął ślinę. Znowu szumiało mu w skroniach.

- Nie zrobię ci nic złego - powiedział.

Patrzyła na niego bez wyrazu.

- Szukam mojej siostry Becke.

Jakby go nie słyszała. Na koniec zwilżyła językiem wargi.

- Czwarte drzwi - rzekła.

- Dziękuję. - Ryke wyszedł na korytarz. Liczył drzwi. Zza trzecich wydostawały się ciche, trudne do spreycyzowania odgłosy: chichoty lub pojękiwania.

Otworzył drzwi czwartego pokoju. Ostry zapach krwi wiercił w nosie. Przesąpił próg. Przyduszone wonią śmierci, wyczuwało się tu zapachy jaśminu i kapryfolium. W pomieszczeniu panował nieopisany bałagan. Becke leżała na łóżku z ręką odrzuconą za głowę, zupełnie jakby spała. Owinęli ją prześcieradłem, spod którego wysypały się pukle włosów. Patrzyła w dal niewidzącym wzrokiem. Brązowe loki sięgały aż do kolan. Nie wiedział, że miała tak długie włosy. Zarys ciała pod niebieskim jedwabiem zdradzał, co z nią zrobili. Zastanawiał się, czy żołnierze z twierdzy Pel zabili ją, bo była nałożnicą Istora, jego wyłączną własnością. Ta pierwsza rzecz, która ją spotkała, budziła już mniejsze kontrowersje, ponieważ zawsze przydarzała się kobietom w czasie wojny. Zastanawiał się, czy można to w ogóle nazywać gwałtem.

Wyszedł z pokoju, by stanąć oko w oko z Errelem.

Nie od razu go poznał. Miał już obejść tę nieznaną postać z rudymi włosami, gdy wtem spostrzegł łuk i kołczan. Przystanął.

- Nic ci nie jest, Ryke? - Książę położył dłoń na jego ramieniu.

- Dostałem w bok. Nic wielkiego.

Do Errela podbiegli żołnierze Sironena.

- Panie?

- O co chodzi?

- Pan mój, Sironen pragnie ci oznajmić, że nie wykurzyliśmy jeszcze wroga ze stajni. Pyta, czy pragniesz puścić ją z dymem.

- Pod żadnym pozorem! - odparł ostro Errel. - Powiedz mu, że już idę. - Chwycił Ryke'a za ramię. - Chodź ze mną! Na palcu lewej ręki nosił pierścień z rubinem. Lewa brew wydawała się przypalona nad okopconym policzkiem.

W stajni zabarykadował się Gam z garstką ludzi. U wrót czekał już Sironen. Blizna na jego policzku mieniła się żywą czerwienią. Żołnierze czyhali jak głodne wilki przy wszystkich drzwiach i pod każdym oknem. Errel podszedł do Sironena. Wojsko patrzyło na naradę wodzów, czekając na rozkazy. Niektórzy mieli pochodnie.

- Nie! - rzekł Errel, potrząsając głową dobitnie. Staął przy zamkniętych wrotach i krzyknął: - Hej, wy tam! Kol Istor nie żyje! Żołnierze z twierdzy Pel zdobyli zamek. Jeśli wyjdziecie na plac i złożycie broń, oszczędzimy wam życie. W przeciwnym razie weźmiemy was głodem!

Żołnierze sarkali na te słowa. Najwyraźniej chcieli spalić niedobitków. Wiatr rozrzucał słomę po dziedzińcu. Errel ogarnął ich lodowatym spojrzeniem. Szemrania ustały. W stajni narastały jakieś spory.

- A przed kim mamy złożyć broń? - zapytał Gam.

- Przed władcą Tornoru - odpowiedział Errel.

Upłynęło dość dużo czasu, zanim obrońcy odsunęli sprzed drzwi worki zboża i bele siana. Na zewnątrz wyszedł Gam ze skołtunioną brodą. Miał na sobie okragły hełm, z rodzaju tych używanych na północy, na plecach zaś pelerynę z pasiastej końskiej kapy.

- Jeśli mnie zabijecie, moi ludzie z powrotem się zabarykadowują.



241

Errel podszedł do niego.

- Rzuć broń!

Gam patrzył ze zdumieniem.

- Oho, chyba cię poznaję. Jesteś błaznem.

Errel uśmiechnął się ponuro.

- Czirisem.

- W porządku. - Dowódca jazdy położył miecz i nóż u stóp księcia. Przyklęknął w blasku słońca i zaparł palce w piasek.

- Wstań - nakazał Errel.

Starzec podniósł się na pałkowatych nogach.

Żołnierze znów zaczęli narzekać. Gam skubał brodę.

- Zwracasz nam wolność?

- Nie ścierpię, byście mi łazili po zamku. Tam jest brama. Możecie odejść. Wszyscy.

Gam gapił się na niego z niedowierzaniem.

- Bez konia?

Sironen parsknął szyderczym śmiechem. Żołnierze popkiwali głośno. Gam wrócił do stajni, obłany rumieńcem wstydu. Wlokąc po ziemi broń, południowcy wychodzili ze stajni, witani gromkimi śmiechami. Patrzyli w oszołomieniu na triumfujących zwycięzców. Żołnierze z twierdzy Pel otoczyli ich ciasnym kręgiem. Niektórzy przecierali oczy złażawione ze śmiechu.

\*\*\*

Gdy wreszcie wyniesiono trupy za mury i podpalono stosy, Sironen nakazał swoim ludziom rozbić obóz w polu. Nad spokojem mieli czuwać zastępcy dowódców straży. W twierdzy zostali tylko Errel, Ryke, czirisowie, Sironen i jego komendanci. Sironen przekonał Errela, żeby uwięził ocalałych południowców. „Jeśli wyjdą za mury - rzekł stary wódz z jadowitym uśmieszkiem - moi ludzie wytną ich do nogi”. Errel powtórzył im te słowa i zapędził do roboty. Krążyli z wiadrami i miotłami między studnią a budynkiem mieszkalnym, pilnowani przez kilku znudzonych strażników. Rozsądek nakazał żołnierzom oszczędzić pracowników kuchni.

Kiedy bitewny zgiełk ucichł, zaczęli wychodzić ostrożnie z magazynów, spżarek i pomywalni.

Errel znał większość z nich. Południowcy okazywali podejrzliwość, a miejscowi rzucili się zbawcom do kolan. Niektórzy popłakiwali. Książę odesłał wszystkich do kuchni.

- Zaczekaj, Evad!

Pachołek odwrócił się, gniotąc w rękach brzeg fartucha.

- Jeździsz konno, prawda? - spytał Errel, na co chłopiec przytaknął. - Udasz się do wioski, opowiesz o wszystkim Sterretowi i poprosisz go, żeby do mnie przyjechał. Najlepiej jutro.

- Lepiej wysłać z nim żołnierza - rzekł Sironen.

- Nie trzeba, poradzi sobie. - Uśmiechnął się do chłopaka.

Athor podobnie uśmiechał się do swoich podwładnych, pomyślał Ryke. Za to go kochali.

- Sterret to jego wujek - dodał książę. - To jak, dasz radę?

- Tak, panie - odparł z dumą zarumieniony młodzian.

- Weź wolnego konia - przykazał mu jeszcze książę.

Evad pokłonił się i popędził za mury, gdzie przy palikach pasły się konie. Errel położył łokcie na stole i podparł brodę rękami. Znalazł sobie czyste ubranie, choć było na niego za duże.

Ryke zastanawiał się, czy przypadkiem nie należało do Istor. Tunika była fioletowa. Taką samą nosił Kol Istor. Ryke przetarł oczy, które mu zaszyły mgłą. Padał ze zmęczenia.

Sironen rozmawiał z komendantami o setce południowców z twierdzy Zilia. Służąca przyniosła z kuchni dzban wina, który przekazywano sobie wokół stołu, jak gdyby nie została tu stoczona żadna bitwa. Promienie zachodzącego słońca malowały szkarłatem anhardzką broń wiszącą na ścianach. Czirisowie siedzieli w niewielkim

oddaleniu od żołnierzy; przysłuchiwali się, ale nie wtrącali do dyskusji. Hadril zatopił twarz w dłoniach. Sorren wspierała głowę na ramieniu Norres.

- Panowie mi wybaczą. - Na ten głos Errel i Sironen podnieśli wzrok. Torib stanął przy stole z wielkim łąpskiem zarzuconym na wąż szyć chłopca. - Pomyślałem sobie, że to was zacieka. Ten młodzik powiada, że jest synem Berenta Jednookiego.

Ryke pamiętał go, choć chłopaczek wyszczupłał od chwili ich pierwszego spotkania. Miał brudny i potargany kaftanik, lecz włosy jasne i poczochrane, a oczy niebieskie i blade jak ogniki na bagnach. Errel wyciągnął do niego rękę.

- Podejdź bliżej.

Chłopiec z wahaniem spełnił polecenie. Errel pokiwał głową.

- Ja ciebie dobrze pamiętam, a ty mnie nie poznajesz?

- Masz teraz inne włosy, panie.

- Zgadza się. Trudno się przyzwyczaić, co?

Ler przytaknął.

- Bałeś się, kiedy zaczęła się bitwa? - pytał Errel.

- Tak, ale on był ze mną. - Wskazał na Toriba. - Kazał mi pójść do kuchni i schować się w garze. Miałem stamtąd wyjść, gdy zrobi się cicho.

- Dobrze, że posłuchałeś. Jesteś głodny?

- Tak, panie.

- Daj mu jeść w kuchni - nakazał książe.

Torib pokłonił się, chwycił chłopca za rękaw i przyciągnął do siebie.

- Ty przecież jesteś zastępcą dowódcy straży - powiedział Sironen. - Czyż nie powinieneś siedzieć w obozie?

Okrągła twarz Toriba skrzywiła się w lekkim uśmiechu.

- Rozmawiałem ze służkami, panie. O zapasach żywności. - Jeszcze raz się pokłonił i, trzymając przy sobie chłopca, udał się do kuchni. Ler odszedł sztywnym krokiem z opuszczonymi rękami i żalem widocznym na twarzy.

A więc jednak Kol nie kazał zgładzić Lera. Errel miał rację. Proporce Tornoru powiewały na blankach niczym pranie na sznurze. Ale Becke nie żyła. Myśli Ryke'a uciekały przed tym wspomnieniem, jak żaby przed wężem. Będzie musiał powiadomić matkę. Tylko on mógł to zrobić, nikt inny. Przykrył ręką oczy.

Służący wniósł półmisek z parującym, przyrumienionym mięsiwem. Sos jeszcze bulgotał. Wszyscy rzucili się ochoczo na jadło, nabijając sobie kaski nożami.

- Może powinniśmy prosić zielony klan o pośrednictwo w rozmowach z zamkiem Zilia? - zapytał Lunę, zastępcę Sironena. Kiwał przed ustami kawałkiem wieprzowiny, aby nieco ostygł.

Jego pytanie nie spodobało się przy stole.

- Co to, nie masz już sił mieczem kręcić?

- A jakie jest twoje zdanie, panie? - Lunę pochylił się w stronę Errela. Z mięsa kapał sos.

Księżę spojrzał mu w oczy.

- To już od was zależy, nie ode mnie.

- Jak to? - zdziwił się Sironen.

Errel z impetem położył dłonie na stół.

- Nie zostanę w Tornorze!

Z kuchni wkraść się wolno na salę czarny pies. Komen-danci popatrzyli na swego wodza, a potem na siebie.

- To po co była ta cała wojna? - zapytał Arno.

- Pozbyliście się Kola Istora. Prędzej czy później musielibyście z nim walczyć.

Sironen spoważniał.

- Ty jesteś władcą Tornoru.

- Chyba że komuś go przekażę.

- Komu? - spytał Arno.

Sorren oderwała głowę od ramienia Norres. Errel długo obracał pierścień na palcu.

- Mój ojciec miał jeszcze jedno dziecko - powiedział.

Sironen zachnął się. Położył ręce na stole.

- Athor był mężczyzną. Pewnie spłodził ich tuzin. Cóż z tego?

Ryke zadrżał. Pot zrosił mu czoło.

- Mówię o dziecku, które mogłoby rządzić – rzekł Errel. - O dziecku, które jest lepszym ode mnie wojownikiem.

Słuchali teraz z wielkim zaciekawieniem.

- Któż to taki? - dopytywał się Arno.

Errel skierował spojrzenie na czirisów. Sorren siedziała wyprężona jak struna. Niezwykła bladość pokryła jej twarz. Norres nie ruszała się, jakby była rzeźbą z kamienia. Oczy błyszczały jej od łez.

- Przyjmiesz to ode mnie, siostrzo?

Sorren kiwnęła głową. Errel nachylił się ponad stołem i wrzucił jej pierścień do ręki.

Komendanci Sironena wydali z siebie okrzyk zdumienia. Jak dziedziniec długi i szeroki, jeńcy odwracali ku nim głowy, wsparci na miotłach tak samo, jak kiedyś wspierali się na mieczach. Arno zerwał się z ławki i położył ręce na biodrach. Srebrne naszywki połyskiwały na jego ubraniu.

- Jakże to?! Kobieta ma być panem twierdzy?

Sorren przechyliła na bok głowę.

- Przecież widziałeś, jak walczę. Machnął wzgardliwie ręką.

- Umiesz walczyć, zgoda. Ale walczą też psy i wilki. Ważne jest, czy umiesz dowodzić ludźmi!

Dobre pytanie, pomyślał Ryke.

Sorren zacisnęła palce na pierścieniu.

- Byłam kiedyś posłańcem - powiedziała. - Należałam do zielonego klanu. Zapytaj mojego brata, to ci powie.

Wszystkie twarze zwróciły się na księcia, który przytaknął skinieniem głowy. A Sorren ciągnęła:

- Kimże ty jesteś, żeby na mnie naskakiwać, skoro przyjęto mnie do zielonego klanu?

Lune wydał usta.

Arno patrzył ze złością. Wyglądał teraz isticie jak smaracz.

- Kobiety są po to, żeby się pieprzyć i rodzić dzieci! - oświadczył buńczucznie. - Nie nadają się do rządzenia!

Sorren wstała. Oczy jej pociemniały.

- Za to, coś powiedział, gówniarzyku, uszy do łba przybiję ci gwoździami!

Przeskoczyła ławkę i zbliżyła się zwinnie do niego. Przez chwilę gapił się na nią z niedowierzaniem, aż nagle uzmysłowił sobie, że to nie żarty. Przybrał pozycję obronną, sięgając do pasa po swój długi nóż. Obcasy stukały po kamienną posadzkę. Oboje się okrążali. Sorren przystąpiła do walki z pustymi rękami. Jej wejrzenie było twarde i skupione. Arno wysunął nóż z pochwy. Trzymał go niewprawnie, zaciskał kurczowo palce na rękojeści z brązu. Wtem rzucił się na Sorren. Uskoczyła przed ostrzem z zadziwiającą gracją. Wan mruknął z zadowoleniem. Arno obrócił się z furją, aby ją jak najszybciej dopaść. Uśmiechnęła się do niego słodko i uniosła dłonie, jakby chciała powiedzieć: Pokonam cię gołymi rękami chłopczyku. Ciął nożem na odlew, jakby miał w ręku miecz, lecz ona w tym samym momencie okrążyła przeciwnika, wbiła mu kolano w plecy, wykręciła prawą rękę i przewróciła go na ziemię. Nóż wypadł mu z dłoni. Sorren podniosła go błyskawicznie. Lewą ręką ścisnęła mu gardło, aż odgiął w tył głowę i wyprężył w łuk ciało. Drapał obcasami kamienną posadzkę, próbując bez powodzenia uwolnić się od dławiącej go ręki. W końcu go puściła. Łapczywie wdychając powietrze, przewrócił się twarzą do ziemi. Sorren wstała zadyszana, podeszła do stołu i włożyła pierścień na mały palec lewej ręki.

- Tornor należy do mnie! - oświadczyła.

\*\*\*

Nazajutrz w twierdzy zjawił się Sterret. Nic a nic się nie zmienił. Jego laska, jak zawsze, głośno kołatała na kamieniu. Dopiero na widok jego twarzy, która nie postarzała się ani odrobinę od ich ostatniego spotkania, Ryke zdał sobie sprawę, jak krótko trwała ich nieobecność na zamku. Uciekł stąd z Errelem niespełna półtora miesiąca temu. A jednak w

tym czasie zasmakowali zimy, lata, a potem znowu zimy, wędrując z północy na południe i z powrotem. Teraz w Tornorze nastąpiła wiosna. Ptactwo gnieździło się na gzymdach, a konie brykały w trawie z wigorem źrebaków. Cóż za ironia: właśnie o takiej wiosnie marzył w Waninie.

Ze Sterretem spotkał się przy rozbitej bramie. Jeden z żołnierzy zaopiekował się wierzchowcem starca.

- Dzień dobry - przywitał się, jakby znajdowali się u wejścia do jego domu.

Ryke przypuszczał, że Evad opowiedział mu, kto przeżył.

- Masz pozdrowienia od matki - dodał gość.

- Zdrowa? - zapytał Ryke zwyczajowo.

Sterret przyglądał się zrujnowanym koszarom.

- Tak - odparł. - Trzyma się jakoś. - Niewątpliwie ustalał już po cichu, ile drewna będzie potrzeba na odbudowę zniszczeń. - A co z księciem?

- Nic mu nie jest - rzekł Ryke. Poprawił przekrzywiony kołnierz i wskazał na wejście do sali. - Chodźmy! - Drobił krok, aby nie wyprzedzić zanadto Sterreta. Nie zamierzał oznajmiać naczelnikowi wioski, że Errel rzekł się tytułu księcia i praw do Tornoru.

Sorren i Errel siedzieli na ławce pod błyszczącą włócznią, której tuleja tuż poniżej grotu rozszerzała się w kształt smoczej paszczy.

Ryke przyprowadził do nich Sterreta. Pokłonił się obojgu, lecz oczy, z przyzwyczajenia, kierował głównie na Errela.

- Pani - przywitał się formalnie. - Przedstawiam ci Sterreta, naczelnika wioski.

Sorren wstała, Errel zaś nie ruszał się z miejsca. Ryke oddalił się, choć przedtem jeszcze zobaczył rosnące zdumienie na obliczu gościa.

Usiadł w słońcu. Po dziedzińcu niesły się krzyki Gama, który beształ chłopców stajennych. Ryke miał nadzieję, że przyzwyczai się do widoku południowców w barwach Tornoru. Sironen proponował zostawić na zamku niewielką załogę.

„Torib zgłosił się na ochotnika na stanowisko tymczasowego komendanta, chyba że chciałabyś wybrać kogoś innego”.

Sorren zawiesiła spojrzenie na obłudnie uśmiechniętym grubasie.

„A odjechał już stary dowódca jazdy?”

„Wolisz południowca? - zdziwił się Torib. - Zważ, pani, że...” - Urwał, widząc jej minę.

„On bierze żołąd i walczy - stwierdziła. - A skoro może walczyć za Iстора, może też walczyć za mnie”.

Sironen wysłał żołnierza, aby odnalazł Gama i natychmiast go przyprowadził. Przybywszy z miotłą w ręku i obandażowaną nogą, pokłonił się lekko. Sorren skrzyżowała ręce na piersiach i wbiła w niego wzrok. Zwilżył językiem wargi.

„Mam na imię Sorren, starcze - powiedziała. - Jestem córką Athora i siostrą Errela. Ten zamek wraz z posiadłościami należy teraz do mnie. Potrzebuję dowódców straży. Zostaniesz jednym z nich?”

Szczęka mu opadła. Odślonił wielkie, żółte zęby, jakie miawały muły.

„Dlaczego akurat ja?”

„Nie wystąpiłeś nigdy przeciwko mnie i znasz się na koniach”.

Zgiął się niezgrabnie w ukłonie, przesuwając po butach mokrą miotłą.

„W takim razie jestem do usług, pani”.

- Ryke. - Ów miękki głos wdarł się brutalnie w jego wspomnienia. Zerwał się na równe nogi. Nie słyszał, kiedy podeszła doń cicho i stanęła przed nim. Zastanawiał się, jak ma się do niej zwracać. - Nie chciałam cię przestraszyć.

- Nie przestraszyłaś - zapewnił.

- Mogę usiąść?

Śmieszne pytanie, pomyślał. Nie było takiego miejsca w Tornorze, gdzie nie mogłaby usiąść. Każdy kamień tu do niej należał.

- Proszę bardzo.

Usadowiła się przy nim z kolanami podsuniętymi pod brodę i skrzydełkiem jasnych włosów opadających na policzek.



Nosiła jedwabną sukienkę, haftowaną w ciemnozielone kwiaty, męskie bryczesy, a na czole czerwoną wstążkę oznaczającą przynależność do czirisów. Poglądziła włosy.

- Dobre miejsce sobie wybrałaś.

- Niezgorsze.

Jej wzrok błędził po wewnętrznym dziedzińcu. Przywędrował skądś czarny pies. Ryke nie miał pewności, czy to jego wilczur. Zagwizdał cicho. Zwierzę odwróciło łeb, lecz nie podeszło bliżej. Ruszyło pewnym krokiem w stronę budynku mieszkalnego.

- Cieszę się, że już po wszystkim. - Wskazała ręką sfatygowaną twierdzą. - Tyle nienawiści w tak niedużym miejscu...

- To już naprawdę koniec? - spytał Ryke.

- Na pewno dla mnie. - Rysy jej się ściągnęły. Usiadła prosto. - Ryke, muszę cię o coś prosić.

Czekał cierpliwie.

- To będzie trudne pytanie - ciągnęła. - Chcę mieć przy sobie silnych ludzi. Wielu myśli jak ten szczeniak Arno. Przypuszczają, że nie zdołam utrzymać warowni.

Chciała, żeby został komendantem. Poglaskała palcami ciepłe, szorstkie kamienie i czekał, aż to z siebie wydusi.

- Gam będzie jednym z dowódców straży. Sironen zgodził się uprzejmie, żebym sobie wybrała któregokolwiek zastępcę dowódcy jego straży i dała mu stanowisko komendanta w Tornorze. Możesz być pewien, że nie wezmę Toriba. - Uśmiechnęła się znacząco. - Trzecim dowódcą straży mianuję Norres.

Spojrzał na nią bystro. Dłuższą chwilę nie odrywała od niego wzroku.

- Obiecała, że przynajmniej rok zostanie w Tornorze.

Sam fakt, że starała się zapanować nad głosem, świadczył o tym, że tę obietnicę poprzedziły ogromne rozterki duchowe. Rodziło się pytanie, czy żołnierze pod dowództwem Norres będą patrzeć na nią jak na mężczyznę czy jak

na kobietę? A może znowu stanie się gianinem?

- Wan przyśle z Wanimy mistrza majdanu. Wystarczy mi trzech dowódców straży. Wan mówi, że na południu to zwyczajna sprawa.

- A ja myślałem... - Zawahał się. Przeciągnął się, gdyż pobolewały go plecy. - Czego chcesz ode mnie?

Z kuchni wyszła czarnowłosa kucharka i ruszyła w stronę furty. Huśtała bezceremonialnie trzymanym za łapki bezgłowym kurczakiem. Nuciła. Zawiewający to z jednej, to z drugiej strony wiatr, przynosił strzępy melodii. Spozstrzegł się, że dokłada słowa w myślach. „Bom przybył tu ze stron dalekich...”

- Chcę, żebyś udał się do Podchmurnej Twierdzy - rzekła. - Zostań regentem i opiekunem Lera. Chłopiec potrzebuje przy sobie silnej ręki, a ja potrzebuję silnej ręki i lojalnego przyjaciela pomiędzy mną, a twierdzą Pel. Jakoś nie ufam temu Sironenowi. Ogłosisz zaciągi do wojska po wioskach i zagrodach. Stawią się głównie starcy i gołowąsy, ale sobie poradzisz. Teraz przede wszystkim wezwiemy zielony klan, aby zaprowadził trwałą pokój między poszczególnymi twierdzami.

Kobieta z kurczakiem szła przejściem między wewnętrznym a zewnętrznym dziedzińcem. Zastanawiał się, czy niesie go dla Toriba. Znów pogładził kamienie. Podejrzewał, że jego wyjazd był jednym z warunków, od jakich Norres uzależniła swoją obietnicę. Mógł się jeszcze nie zgodzić.

- Najpierw porozmawiam z Errelem.

- Oczywiście - powiedziała ciepło.

Akurat gdy mijał drzwi do budynku mieszkalnego, wyszła Norres. Przystanąła z ręką na klamce. Nie odezwała się, a i jemu nie przychodziło do głowy nic, o czym mógłby z nią porozmawiać. Wyłonił się zza niej czarny wilczur. Zamknęła drzwi.

Ryke poszedł dalej. Errela, Hadrila i Wana odnalazł na schodach do wieży, gdzie wygrzewali się jak koty w promieniach słońca. Wan siedział na najniższym stopniu z nogą ułożoną na poduszce. Miał nagi tułów i policzki obsypane

jednodniowym zarostem. Hadril siedział jeden stopień wyżej, a Errel - z czerwoną opaską czirisów nad łokciem - jeszcze nad nim.

- Witaj - rzekł Wan. - Usiądziesz z nami?

- O ile wiem, Maranth miała przywiązać cię do krzesła.

- Rana szybko się goi. Poza tym poszliśmy na pewien kompromis. Przyrzekła na mnie nie krzyżeć, w zamian za co ja przyrzekłem skakać na jednej nodze. - Trącił kolano Hadrila. - Zsuń się o stopień, czelito.

Hadril usłuchał polecenia. Ryke przeszedł między nimi i usiadł na drugim stopniu.

Trochę przeszkadzało mu to, że Errel siedzi nad jego plecami. W budynku mieszkalnym ktoś trzasnął drzwiami. Maranth wyszła na plac spacerowym krokiem. Umyła włosy, które teraz odstawały na wszystkie strony. Ryke przemieścił się o jeden stopień do góry i to samo zrobił Hadril. Maranth usiadła obok męża i obrzuciła go krytycznym spojrzeniem.

- No co, oszczędzam nogę! - zastrzegł się.

Wyraz jej twarzy złagodniał.

- W porządku, nie będę krzyżeć. - Przytuliła się do niego. Gdy ich ciała tak doskonale do siebie przywarły, Ryke poczuł ukłucie bólu... które nie miało nic wspólnego z raną na żebrach. Nie znalazł nigdy nikogo, na kim mógłby się w ten sposób wesprzeć.

- Co będziesz teraz robić? - rzucił pytanie nad ramieniem Hadrila.

- Poczekam, aż się zasklepi ta cholerna dziura - odpowiedział Wan. Objął Maranth w talii.

- A potem?

- Wrócę do mojej doliny, rzecz jasna. - Wydawał się zdziwiony. - A cóż innego miałbym robić?

Skóra swędziała Ryke'a pod płóciennym opatrunkiem. Postanowił pójść do medyka i poprosić o zmianę bandażu.

- Jedź na południe. Miałbyś za sobą poparcie twierdzy północy. Poproś o uchylenie wyroku zesłania. Wróć do domu.

Mówiąc to, lękał się, czy Wan nie rozzłości się na to, że wspomina tak otwarcie o jego przeszłości. Hadril mógł jeszcze o niczym nie wiedzieć.

Rosły południowiec wykręcił się do Ryke'a. W jego oczach nie było gniewu.

- Coś ci się pomieszało. Ja przecież wracam do domu.

Hadril zdjął koszulę. Potarł nagim ramieniem o kolano Ryke'a.

- Ty też wracasz? - zapytał go ten ostatni.

- Tak. - Młodzieniec położył koszulę na kolanach, aby ją poskładać. - Nie podoba mi się na północy. Tutaj jest zimno i często wybucha wojna.

Mówił to głosem drżącym z przejęcia. Słyszając jego zdecydowanie, Ryke poczuł się stary ponad swoje lata. Zwilżył spierzchnięte usta.

- Książę...

Errel odwrócił się prędko do niego.

- Nie powinienesz mnie tak nazywać - powiedział łagodnie.

- I ty wyjeżdżasz?

- Tak. - Errel wsparł łokcie na kolanach. Dotknęły się ich ramiona.

- Czemu?

- Dobrze wiesz czemu, Ryke. Z tych samych powodów co Hadril. Dobrze mi było w Waninie. Mam dość ciągłych wojen.

Gdy zmienił się kierunek wiatru, Ryke poczuł zapach Errela - ową szczególną woń, którą roztacza od urodzenia każdy człowiek, zawsze niezmienną i niepowtarzalną. Ryke wdychał ją wiele razy, gdy spali w jednym łóżku. Errel ogolił się; skórę wokół ust miał gładką i błyszczącą. Włosami muskał koszulę Ryke'a. Jego twarz uzyskała bardziej złocisty odcień niż twarz Sorren. Przypominał ją również niebieskimi oczami, choć jego były kapkę ciemniejsze. Właśnie to podobieństwo do Errela najbardziej kochał w Sorren. Oczywiście zaszyły mgłą. Zastanawiał się, czy umiałby jakoś wytłumaczyć to Norres.

- Sorren poprosiła mnie, abym udał się do Podchmurnej Twierdzy i zostałem jej tymczasowym panem - oznajmił.

Czirisowie milczeli.

- Trudno byłoby jej znaleźć bardziej oddanego sojusznika i przyjaciela - rzekł Errel chłodnym tonem, po czym dodał już cieplej: - Chciałbym, żebyś się tego podjął.

Hadril z pochyloną głową wydłubywał drzazgę z ręki. Wan i Maranth nie zwracali uwagi na nikogo oprócz siebie. Ryke wspomniawszy słowa Chayathy: „Uważaj, czego pragnie twoje serce”. Przedmiot jego pragnień był blisko, ale teraz oddalał się na zawsze. Nie dołożył wystarczających starań. Wydawało mu się, że ona go czaruje...

Po jego ręce wędrowała mrówka z kawałkiem trawy w pyszczku. Strzepnęła ją na ziemię. Z wartowni wyszło dwóch żołnierzy. Jeden z nich wskazał ręką majdan.

Zza grubych murów twierdzy dochodził melodyjny szum sędziwej rzeki, która płynęła z gór wezbraną falą u podnóża zamku. Ryke wyobraził sobie, jak wije się między skalnymi brzegami. Nie miała żadnego wyboru. O wszystkim decydowały skały. Wsłuchiwał się w jej spokojny głos. Może ona mu podpowie, co ma zrobić? Chyba coś mówiła, lecz niestety w języku, którego nie rozumiał.

Jeśli chciał ich o coś prosić, to tylko o jedno:

- Mógłbym pojechać z wami do Wanimy.

- Nie jesteś czirisem.

Żal ścisnął mu gardło.

- To prawda.

- Złożyłeś przysięgę mojemu ojcu - powiedział Errel. - Teraz cię z niej zwalniam.

Ryke popatrzył na północ ponad murami zamku. Ostre zbocza gór strzelały w niebo, wycinając z chmur białe pasy. Obłoki toczyły się na południe.

Nie możesz mnie z niej zwolnić, pomyślał.

- Dziękuję, książę.

Gdy wstał, zrobili mu przejście. Zszedł ostrożnie, aby nie potknąć się o czyjeś nogi.

Sorren czekała na niego w głównej sali. Zamierzał powiedzieć jej, że się zgadza.

**Koniec tomu pierwszego. Następny tom nosi tytuł  
„Tancerze z Arunu”**

## Załącznik: opis kart do wróżenia

0)

TANCERZ. Karta nieoznaczona liczbą. Nagi młodzieniec z przepaską biodrową. Lewa noga uniesiona. Włosy jasne, spadające na plecy. Oczy szare. Bez brody. Za nim granatowe niebo. Wschodzi sierp księżycy. Na twarzy radosny wyraz wyższości.

1)

TKACZ. Kobieta w zielonej sukni, siedząca przy krośnie. Włosy ciemne, opadające luźno na ramiona. Wokół niej okno. W rękę trzyma czółenka. Na tkaninie rysunek kwitnącego drzewa.

2)

MARZYCIEL. Śpiąca kobieta. Nad łóżkiem okno, a w nim dwie czerwone gwiazdy. Kobieta leży na wznak z dłońmi splecionymi na kołdrze. Włosy jasnozłote, długie.

3)

KRÓLOWA. Kobieta o jasnych włosach, stojąca przed drzwiami. W dali pola, stodoła, sad. W rękę trzyma bukiet kwiatów. Uśmiecha się. Obok niej biały chart.

4)

KRÓL. Poważny mężczyzna, siedzący na drewnianym krześle z wysokim oparciem. Odzienie srebrne i czerwone. Oczy niebieskie, włosy jasne. Na prawej dłoni pierścień z rubinem. U stóp odpoczywa czarny wilczur.

5)

UCZONY. Mężczyzna w czarnej, obszywanej srebrem opończy. Stoi przy stole, z ręką na stosie pergaminów. Oczy ukryte pod kapturem.

6)

KOCHANKOWIE. Kobieta i mężczyzna podający sobie ręce nad murem. Mur pokryty bluszczem i niebieskimi kwiatami.

256

7)

ŁUCZNIK. Naga kobieta z przepaską biodrową. Za nią sierp księżycy. Stoi bokiem i napina łuk. Jasne włosy spadają na plecy.

8)

POSŁANIEC. Postać w zielonym płaszczu z kapturem. Jedzie po śniegu na bułanym koniu. Niebo granatowe i bezchmurne.

9)

JEŹDZIEC. Mężczyzna jadący stepem na karym koniu. Włosy jasne i rozwiane, podobnie jak grzywa wierzchowca. Trawa ciemnozielona. Koń bez siodła i uzdy.

10)

ASTROLOG. Kobieta stojąca na balkonie. Patrzy w gwiazdy. Włosy długie, oczy niebieskie. Nosi niebieską suknię. Przed nią stół, a na nim zwój pergaminu. Twarz surowa

11)

ILUZJONISTA. Młodzieniec stojący na jednej nodze. Szaty pomarańczowe i czerwone. Uśmiecha się. Żongluje kolorowymi piłeczkami. Pod szyją niebieska kryza.

12)

WILK. Głowa i barki szarego wilka. Zęby odsłonięte. Warczy. Kły długie i żółte. Oczy czerwone.

13)

ORZEŁ. Ptak szybujący nad przepaścią. Szpony rozłożone jak przed pochwyceniem ofiary. Końce piór jasnożółte. Niebo granatowe. Skały czerwone o zachodzie słońca.

14)

FENIKS. Ptak stojący bezpiecznie wśród płomieni. Widziany z boku. Pióra wielobarwne, pstrokate.

15)

LUSTRO. Odbija widok domu, drzew i jeziora tak dokładnie, że nie sposób stwierdzić, co jest prawdą, a co odbiciem. Żadnej postaci ludzkiej.

16)

WIEŻA. Wysoka kamienna wieża wali się w gruzy. Uderza w nią piorun. Poniżej uciekają ludzie i konie.



257

17)

KOŁO. Wielka obręcz z ośmioma szprychami. Pomiedzy nimi postacie mężczyzn i kobiet, dzieci i starców; próbują się wyrwać na wolność.

18)

DEMON. Szkaradna, rogata postać przypominająca człowieka. Dzierży wagę. Nagie, często zielone ciało, rozwidlony ogon. Szczyrzy kły w uśmiechu.

19)

ŚMIERĆ. Ludzki szkielet w łanie zboża. Czerwone oczy. Niebo szare jak o zmroku.

20)

KSIĘŻYC. Pełnia nad taflą wody. U brzegu stoi kobieta ze wzniesionymi rękami. Widziana od tyłu. Włosy płowe, długie. U jej stóp czarny kot.

21)

SŁOŃCE. Krąg ludzi ze złączonymi rękami. Czasem sześciu, czasem więcej, lecz zawsze przynajmniej trzy kobiety i trzech mężczyzn. Wśród nich dzieci. Za nimi stodoła, młyn, stado kóz. Ziemia w jasnych promieniach słońca. We włosy kobiet wplecione kwiaty.